


TRYLOGIA NIEPOSKROMIONYCH

BEZWZGLĘDNY KSIĄŻĘ

MEGHAN

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

MARCH

 editored

Tytuł oryginału: Savage Prince (Savage Trilogy #1)

Tłumaczenie: Olgierd Maj

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

ISBN: 978-83-283-9047-8

Copyright © 2018 Savage Prince by Meghan March LLC

Polish edition copyright © 2023 by Helion S.A.

All rights reserved.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

https://editio.pl/user/opinie/beztn1_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

- [Poleć książkę na Facebook.com](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Rozdział 1

Temperance

Dlaczego ma na sobie maskę?

Instynktownie robię krok w tył, gdy ciężkie drzwi otwierają się, odsłaniając wysokiego odźwiernego, którego twarz zasłonięta jest czarno-czerwoną skórzaną maską.

Karnawał już się skończył, a ta pochodząca sprzed wojny secesyjnej posiadłość jest oddalona o dziesiątki kilometrów od Bourbon Street, gdzie niezależnie od pory roku zabawa i hulanki trwają o każdej porze dnia i nocy.

Luijano, jesteś piękna, ale czasem w nocy bywasz też przerażająca.

Odźwierny wskazuje mi gestem, żebym weszła do środka. Przez ułamek sekundy waham się na progu, przyciskając do siebie torebkę, jednak w końcu przechodzę pod łukiem nad drzwiami. Mężczyzna zamyka za mną potężne drewniane odrzwia z głośnym łupnięciem i rygluje je długą zasuwą.

Jestem zamknięta w środku. W co ja się wpakowałam?

Czuję, jak dreszcz przebiega mi po plecach i lekki sweterek nie wystarcza, by ochronić przed chłodem, który mnie nagle przenika.

To nie jest nawiedzony dom. Ani loch. Jestem tu z wizytą u potencjalnego klienta. Nakazuję rozbudzonej wyobraźni, żeby się uspokoiła, ale krew szumi mi w uszach, konkurując z dochodzącym skądś powolnym, rytmicznym i prymitywnym łupaniem basów.

Rozłożyłysty dom w pobliżu bagnistego brzegu rzeki przypomina mi scenerię z filmów, zwłaszcza w zestawieniu z otaczającymi go potężnymi drzewami obrosniętymi zwisającym mchem. Tego typu rezydencje i ich bogaty wystrój napawają mnie większym lękiem i niepokojem niż żyjące w mulistych wodach aligatory.

Czuję, jak moje zmysły przełączają się na wyższy bieg, gdy obrzucam wzrokiem lśniące drewniane podłogi przykryte grubymi dywanami, które prawdopodobnie kosztowały więcej, niż zarabiam w ciągu roku. Przyćmione światło gazowych kinkietów wzmacnia atmosferę niesamowitości i kłóci się z dudniącym rytmem muzyki.

Kolejny raz żałuję, że nie zebrałam więcej informacji przed staniem się na to spotkanie, ale byłam ostatnio tak zajęta, że ledwo znajdowałam czas, żeby w porze lunchu przegryźć choć kilka kęsów.

Było warto, powtarzam sobie. Mam teraz porządną pracę. Teraz nie wnoszę już błota na butach do domu.

Wiem, że znalazłam się we właściwym miejscu, jednak mam wrażenie, że moje lśniące markowe szpilki mają ochotę poprowadzić mnie do drzwi i do auta... tyle że już go tam nie ma, bo nadmiernie gorliwy parkingowy zdążył je odprowadzić, zanim jeszcze drzwi się przede mną otworzyły.

Przełykam gulę w gardle, po czym prostuję ramiona i spoglądam na odzwiernego, który najwyraźniej czeka, aż się uspokoję.

Gdy napotykam jego ponury wzrok, nie odzywa się ani słowem. Wyciągam do niego liścik, który znalazłam na biurku w Seven Sinners. Bierze go ode mnie i przebiega wzrokiem po wydrukowanym tekście, jednak nadal nie mówi ani słowa.

— Mam się z kimś tu zobaczyć? — mówię i ku mojej irytacji te słowa brzmią raczej jak pytanie niż stwierdzenie. Otrząsam się z niepokoju i przybieram pewniejszy ton głosu. — Mam się tu z kimś spotkać w interesach. Czy mógłby mnie pan zaprowadzić do biura?

Odźwierny wskazuje na imponujące schody, po czym oddaje mi list.

Wyrwam mu go z ręki i widzę, że moje spocone palce zostawiają na kartce smugi. Powinam była się zorientować po luksusowym kremowym papierze, że to miejsce nie będzie jak inne bary i kluby, które przyszło mi odwiedzać, żeby sprzedawać im whiskey Seven Sinners.

— Dziękuję — mówię, kiwając głową, jednak również i tym razem nie pada żadna odpowiedź. *To miejsce jest naprawdę dziwne.* Trzeba załatwić sprawę jak najszybciej i zmywać się stąd.

Staram się nie pokazywać po sobie, jakie wrażenie robi na mnie to wszystko, i ruszam w stronę pokrytych złoto-czerwonym chodnikiem schodów.

Przyszłam tu tylko po to, żeby sprzedać im whiskey. Mnóstwo whiskey.

Mam wrażenie, że wykładzina pod podeszwami butów wibruje coraz mocniej z każdym moim krokiem. Gdy mijam zakręt schodów, widzę, że na ich szczycie czeka na mnie kolejny zamaskowany mężczyzna.

Podaję mu zaproszenie i spoglądam za niego na wylewającą się zza zamkniętych podwójnych drzwi plamę światła.

Tam musi mieścić się klub. Widzisz, a więc nie ma w tym miejscu niczego dziwnego.

Ale wiem, że to nieprawda. Może to tylko kwestia rozbuchanej wyobraźni, ale mam wrażenie, że czuję w powietrzu zapach seksu. Obrazy tego, co być może dzieje się za tymi zamkniętymi drzwiami, zalewają mój umysł i z trudem zmuszam się, żeby z powrotem skupić uwagę i czekać na instrukcje mężczyzny.

Przechyliła głowę na bok i rusza w głąb pomalowanego na biało-złoto korytarza, oddalając się od drzwi. Zatrzymuje się przy zakręcie,

jakby czekając, aż za nim pójdę, więc odrywam stopy od podłogi i ruszam za nim. Torba obją mi się o biodro. Zrównuję się z nim, jednak zamiast poprowadzić mnie dalej, odsuwa się, odsłaniając kolejne kręcone schody, i wskazuje, żebym po nich weszła.

Poważnie? Sądziłam, że to spotkanie w interesach, a nie kara za to, że od sześciu miesięcy nie odwiedziłam siłowni.

Podbicie stóp zaczyna mnie boleć. Wygladzam spódnicę, poprawiam torbę na ramieniu i wspinam się na górę. Przynajmniej odczuwany dyskomfort odrywa moje myśli od tego, jak dziwaczne wydaje się to miejsce.

Będę musiała sprzedać naprawdę mnóstwo whiskey, żeby ta wyprawa okazała się warta zachodu.

Gdy docieram na szczyt, spotyka mnie tam kolejny mężczyzna, oczywiście w masce. Jest potężnie zbudowany jak zawodnik amerykańskiego futbolu.

Gdzie u licha są wszyscy? Co to za klub, w którym odźwierni nie odzywają się ani słowem i nie widać żadnych podchmielonych gości krążących między salą a toaletami?

Nie mam czasu, żeby zadać którekolwiek z tych pytań. Mój trzeci przewodnik odczytuje słowa z zaproszenia, które mu podaję, i rusza w głąb korytarza w stronę biura menedżera. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Na końcu korytarza znajdują się ozdobne drzwi ze starymi klamkami z brązu. Mężczyzna otwiera je i gestem potężnej dłoni wskazuje, żebym weszła do środka.

Przywołuję na twarz swój najbardziej profesjonalny uśmiech, biorę głęboki oddech i przygotowuję się do oczarowania kogoś, kto znajduje się w środku, do tego stopnia, żeby kupił więcej whiskey, niż zamierzał.

Pewnym krokiem wchodzę do środka.

— Cześć! Jestem Temperance... — zaczynam i urywam, gdy orientuję się, że krzesło za biurkiem, oświetlone jedynie przyćmionym światłem lampki, jest puste.

Szybko obrzucam spojrzeniem resztę pomieszczenia, jednak nie dostrzegam żadnych oznak życia.

Co u licha?

— No dobrze... — odchrząkuję i jestem gotowa, żeby odwrócić się na pięcie i wyjść stamtąd, jednak w tym momencie moją uwagę przyciąga błyskające światło.

Nie dociera ono jednak z biura, w którym się znajduję, lecz z pomieszczenia obok, które widzę poprzez szybę, będącego chyba lustrem weneckim.

Czy naprawdę to widzę?

Poprzez „to” rozumiem olbrzymie łoże, wykonane z drewna i żelaza, z baldachimem z czarnego jedwabiu, opartym na słupkach, do których przywiązane są linki.

Sypialnia. I to perwersyjna.

Jasny gwint.

Cofam się o krok, szukając dłonią klamki, jednak mój wzrok zatrzymuje się na czarnej masce kobiety, która właśnie wchodzi do pokoju. Za nią pojawia się bardzo umięśniony mężczyzna bez koszuli, trzymający dłoń na jej krzyżu.

To nie jest jedynie jakiś modny, tajny klub, który chce wyposażyć swoje półki w doskonałą whiskey.

To seksklub.

Powinam być przerażona i uciec z krzykiem w kierunku samochodu. Zamiast tego jednak wrastam w podłogę.

Mam miejsce w pierwszym rzędzie, z którego mogę oglądać realizację jednej ze swoich najbardziej nieprzyzwoitych fantazji. Kilka miesięcy temu zdobyłam się wreszcie na to, żeby spróbować ją zrealizować. Bóg jeden wie, że nie mam czasu na związek, jednak moje

próby znalezienia w Nowym Orleanie seksklubu, który nie byłby podejrzany, nie przyniosły żadnych efektów. Nie jest to coś, co można wyszukać w mapach Google ani na forach czy blogach, które przeglądałam.

Prawdziwy tajny seksklub.

Czuję dreszcz podniecenia, jakbym właśnie odkryła klucz do innego świata. Mężczyzna zamyka drzwi do pokoju i powoli okrąża kobietę, po czym kładzie jej dłonie na ramionach i popycha na klęczki. Ma na twarzy wyraz zwycięzcy oceniającego swoją zdobycz wojenną. Jego ramiona i klatka piersiowa są pokryte tatuażami, ma na sobie skórzane spodnie i wydaje mi się to szalenie seksowne.

Racjonalna część mojego umysłu mówi mi, że powinnam odwrócić wzrok, nie wkraczać w tę intymną scenę. Szybko spoglądam na drzwi, którymi weszłam, jednak nie widzę, żeby ktokolwiek przez nie wpaadał i mówił mi, że trafiłam tu przez pomyłkę.

Kobieta, ubrana w czerwoną bieliznę, ma wzrok zwrócony ku podłodze, jednak ja nie jestem równie zdyscyplinowana i nie mogę oderwać oczu od jej towarzysza i tego, jak mięśnie jego tyłka prężą się pod czarną skórą spodni.

Gdy zatrzymuje się przed nią, puszcza jej ramię i zanurza dłoń w miodowolotych włosach, chwytając je na karku i zmuszając ją, żeby spojrzała mu w twarz.

Są całkowicie i bez reszty pochłonięci sobą i żadne z nich nie spogląda nawet w stronę ściany, która służy mi za okno do podglądania. *Czy oni wiedzą? Muszą wiedzieć.*

Słyszę jego głos głośno i wyraźnie.

— Tam na dole próbowałam zwrócić na siebie moją uwagę, dziewczyno. Masz ją teraz.

Serce wali mi głośno, gdy sięga do rozporzeka swoich spodni i rozpina go, uwalniając ciężkiego kutasa.

Przygryzam dolną wargę, żeby stłumić okrzyk „o mój Boże!”, który usiłuje mi się wyrwać z ust. Ból przypomina, że to, co widzę, to nie jest tylko mój sen.

To się dzieje naprawdę.

Moja świadomość toczy nierówną bitwę, każąc mi się odwrócić, zejść po schodach, wybiec przez frontowe drzwi, znaleźć samochód i uciekać stąd jak najdalej.

Jednak ta myśl pryska tak samo jak pamięć o tym, że miałam tu zawierać interesy, gdy widzę, jak mężczyzna ujmuje swój gruby członek i mocno za niego pociąga, po czym gładzi kciukiem główkę. Wydaje mi się, że czerwono-fioletowy trzon pulsuje mu w dłoni. Wargi mi drżą, a uda same się zaciskają.

Dlaczego to tak cholernie podniecające widzieć, jak mężczyzna dotyka się w ten sposób?

Ręką, którą trzyma ją za włosy, przysuwa jej głowę bliżej swojego penisa.

Słodki Jezu, nie powinno mnie to podniecać. Ale spocone dłonie i pulsująca wilgoć między nogami zdradzają, że jest inaczej.

To najbardziej podniecająca rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

— Chcesz tego? Czy dlatego właśnie byłaś nieznośna? — pyta, a jego głos jest przytłumiony, jakby docierał do mnie z kiepskich głośników. Może to przez krew, która pulsuje mi w głowie, zagłuszając normalne dźwięki. Tak czy siak, jego szorstki, głęboki głos pobudza zmysły, sprawiając, że moje ciało pokrywa się gęsią skórką.

— Tak, panie — odpowiada kobieta, oblizując wargi.

Przyciąga jej twarz bliżej do swojego członka.

— Pokaż mi, jak bardzo — rozkazuje jej.

Czuję, że sutki twardnieją mi jak kamyki na dźwięk tego rozkazu. Gorąco, zupełnie nieodpowiednia fala gorąca przeszywa całe moje ciało, gdy dłoń kobiety wędruje pomiędzy jej nogi.

— Nie wolno ci się dotykać, dopóki ci nie pozwolę. Sprawię, że twoja dupka będzie cała czerwona, zanim będziesz mogła włożyć paluszek do tej cipuszki.

Zaciskam mocno uda, tak jakby groził właśnie mnie. Jakby to mnie rozkazywał i mnie dominował.

Żałuję, że tak nie jest.

— Połóż dłonie na moich udach. Będę cię pieprzył w usta. Przypomnę ci, do kogo należą.

W pokoju rozlega się cichy jęk i jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że wydała go ona, a nie ja. No dobrze, na dziewięćdziesiąt.

Wiercę się na krześle, pierś unosi mi się i opada coraz szybciej, gdy patrzę, jak kobieta opiera dłonie na jego umięśnionych udach, a on powoli, centymetr za centymetrem, wsuwa jej swój członek do ust.

O mój Boże, nie mogę na to patrzeć. Nie powinnam na to patrzeć. Nie jestem nieprzyzwoitą zdziłą, która lubi patrzeć na takie rzeczy. Naprawdę nie.

Ale jestem obrzydliwą kłamczuchą, a te słowa wcale nie pomagają mi oderwać wzroku od najbardziej erotycznej sceny, jaką kiedykolwiek widziałam.

Mężczyzna jedną dłonią ujmuje kobietę za podbródek, zmieniając nieco kąt ustawienia jej głowy. Jednocześnie wsuwa się w nią dalej. Z każdym kolejnym pchnięciem większa część jego twardego kutasu wnika głębiej w jej usta.

Pokój rozbrzmiewa jego jękami, a moja wilgotna cipka odpowiada na każdy z nich pulsowaniem.

— Czujesz to? Chcesz więcej?

Jej zduszony, błagalny okrzyk „więcej!” sprawia, że przechodzi mnie dreszcz, a oddech staje się płytszy. Moje wewnętrzne mięśnie zaciskają się, gdy wyobrażam sobie, jak jego kutas wsuwa mi się w usta i do gardła. To uczucie jest tak rzeczywiste, że niemal naprawdę się dławię.

To mogłabym być ja.

Jej palce wpijają się w jego nogi, a moje naśladowują ten ruch, tyle że zamiast na skórę, natrafiam na materiał spódnicy. Dwie cienkie warstwy tkaniny — tylko tyle dzieli mnie od doprowadzenia się do orgazmu mniej więcej w dwie i pół sekundy.

Moje palce napinają się i rozciągają. Naprawdę pragnę ich użyć.

Nawet o tym nie myśl, Temperance. Nawet się nie waż.

I wtedy on spowalnia ruchy i wysuwa penis z jej ust. Członek lśni w przyćmionym świetle, gdy on obejmuje go dłonią i zaczyna gładzić. Żądza kobiety jest widoczna w napięciu jej mięśni, nie odrywa wzroku od jego leniwych ruchów.

— Nie dojdę w twoich ślicznych usteczkach, nie dzisiaj. Dzisiaj wezmę tę dupkę, którą mnie tak drażniłaś. Przerzucę cię przez łóżko tak, żebyś widzieć twoją cipkę i tę ciasną dziurkę. Naprawdę robię się zajebiście twardy, gdy myślę o tym, jak najpierw spiorę ci tyłek, a będzie cały czerwony, nim wreszcie zanurzę się w środku.

Och, do jasnej cholery. To nie fair.

Przelykam ślinę napływającą do ust i cofam się, aż natrafiam na krawędź biurka. Chwieję się w butach na wysokich obcasach i muszę chwycić się blatu, żeby złapać równowagę.

Krzyżuję nogi i lekko kołyszę się do przodu i do tyłu, powstrzymując się z całej siły, żeby nie zrobić czegoś więcej. *Przyszłam tu w interesach, nie dla przyjemności*, przypominam sobie, jednak ta myśl ulatnia się z mojej głowy natychmiast po tym, jak mężczyzna znowu się odzywa.

— Powiedz mi, żebym wsadził ci w pupę, żebym nią zawładnął, zawłaszczyl tak, żebyś nigdy nie zapomniała, do kogo należy.

Kobieta rozchyła usta, język wysuwa się z nich i wilży jeden z kącików warg.

— Tak, proszę pana.

Mężczyzna pochyla się i wyciąga do niej dłoń.

— Wstań.

Kobieta posłusznie podaje mu rękę i wstaje z wdziękiem. Jego ruchy nagle stają się gwałtowniejsze, odwraca ją i przekłada przez łóżko.

Serce wali mi jak młotem, zaciskam mocno uda, podczas gdy mężczyzna odsuwa na bok jej majteczki, odsłaniając cipkę i tyłek.

To obsceniczne, ale nie jestem w stanie odwrócić wzroku.

Czuję, jak paznokcie wbijają mi się w uda przez materiał spódnicy, gdy on rzuca ostro kolejny rozkaz.

— Rozłóż nogi.

Nieustępliwy ton jego głosu rozbrzmiewa w moich uszach i jakaś część mnie chce zrobić to samo, co tamta kobieta, która rozsuwa nogi szerzej, odsłaniając jeszcze bardziej nieprzyzwoity widok.

Temperatura między moimi nogami wzrasta, mam wrażenie, że o milion stopni, i nagle zaczynam żałować, że w tym tygodniu nie zrobiłam prania, bo miałabym na sobie bieliznę, a nie mam. Robię się mokra i odnoszę wrażenie, że za chwilę soki pociekną mi po nogach.

Czuję, jak narasta we mnie bezwstydne, lubieżne uczucie i zaczynam się wiercić, zaciskając uda jeszcze mocniej, co jednak nie zmienia tego, jak reaguje moje ciało. Zwłaszcza gdy mężczyzna uderza ją dłonią w miejsce między nogami. Kobieta podrzuca biodra szarpnięciem i z jej ust wyrывa się jęk.

Och, dobry Boże, on uderzył ją w cipkę.

Zakrywam usta dłonią, żeby stłumić gwałtowny oddech, i czuję, jak zęby wpijają mi się w skórę.

Mężczyzna wsuwa w kobietę palec, po czym wysuwa go z powrotem.

— To należy do mnie. Pokażesz ją komukolwiek innemu, a ja zwiążę cię i doprowadzę nad krawędź tyle razy, że będziesz półprzytomna, nim wreszcie pozwolę ci dojść. To obietnica.

Odsuwa się od niej i znowu wymierza klapsa, tym razem w tyłek. Ona wydaje okrzyk, a na jej pośladku wykwita czerwony ślad dłoni. Mężczyzna chwyta ją mocno za pupę i krzyk zmienia się w jęk rozkoszy.

— Błagam.

— Uwielbiam słuchać, jak błagasz — puszcza ją i wymierza kolejnego klapsa. — Ale musisz pamiętać o dobrych manierach albo nic nie uzyskasz.

— Błagam, panie!

Jej jęk otula mnie, gdy on gładzi pośladek, który przed chwilą uderzył. Czuję, jak krawędź biurka wpija mi się w tyłek, ale to nie to samo.

Chcę wiedzieć, jakie to uczucie.

Ta prawda przesywa mój umysł z siłą huraganu. Jest nie do powstrzymania, bezwstydna, niewiary-kurwa-godna.

Czy to możliwe, żeby spontanicznie doznać orgazmu? Muszę stąd uciekać. Jednak zamiast tego zaciskam palce na krawędzi blatu, jakbym tylko w ten sposób mogła się zatrzymać w miejscu.

— Błagaj mnie.

Czuję, jak moje sutki stają się twardsze niż diamenty, i czekam, aż kobieta zacznie go błagać. *Proszę, chcę to zobaczyć...*

Moje życzenie spełnia się.

Och, dobry Boże, pójdę prosto do piekła.

Mężczyzna chwytą swojego kutasa jedną dłonią, jej tyłek drugą i ustawia się w wejściu do cipki.

— Najpierw cipka. Jeszcze nie jesteś dla mnie całkiem gotowa.

Oddycham tak szybko, że grozi mi hiperwentylacja.

Muszę coś zrobić. Muszę...

Moja zdolność do racjonalnego myślenia ulatnia się, w momencie gdy on wchodzi w nią i jej krzyk wypełnia mi uszy. Wbija się w nią raz za razem i czuję, że jej nienawidzę. Nienawidzę tego, że to ona odczuwa te brutalne pchnięcia, które wyrrywają jęki rozkoszy z gardła, podczas gdy ja odczuwam jedynie ssącą pustkę między nogami.

Pragnę tego. Potrzebuję tego. Minęło już zbyt wiele czasu, odkąd czułam... coś takiego. Chociaż jeśli mam być szczerą, to nigdy nie czułam niczego nawet zbliżonego do tego.

Ciemna krawędź przyjemności jest czymś, o czym jedynie czytałam, o czym marzyłam i śniłam.

Jej jęki i krzyki stają się głośniejsze. Mężczyzna ją chwali. Zamykam oczy. Słucham jego słów i wyobrażam sobie, że szepcze je do mnie.

Moje palce wędrują w stronę skraju spódniczki i centymetr po centymetrze podsuwam ją w górę. *Potrzebuję czegoś więcej, choćby odrobinę...*

— Moja niegrzeczna sekretarka powinna wiedzieć, że nie wolno jej się dotykać podczas godzin pracy.

Głęboki, schrypnięty głos dobiega mnie gdzieś z cienia i obmywa moje ciało, pozostawiając gęsią skórę.

Szok sprawia, że zastygam w bezruchu, trzymając w palcach skraj spódnicy. Słyszę trzeszczenie krzesła i bezcielesny głos przyjmuje formę wysokiego mężczyzny o szerokich ramionach, który wkracza w plamę przyćmionego światła. Czarna skórzana maska przysłania górną połowę jego twarzy, jednak przeszywające niebieskie oczy płoną spoza niej żywym ogniem. Mam wrażenie, że moja skóra gorzeje pod tym spojrzeniem.

— Czy ma pani cokolwiek na swoje usprawiedliwienie, pani Smith? — Jego wargi są idealne... nie licząc tego, że nazwał mnie błędnym nazwiskiem.

— Eee, yyy... — zaczynam dukać, usiłując znaleźć słowa, które mogą jakoś wyjaśnić tę szaloną sytuację. — Przepraszam, ale chyba się pan pomylił...

Mruży oczy, jednak ich ogień nie przygasa.

— W moim biurze nikt mi się nie sprzeciwia. Druga szansa, pani Smith.

— Ale ja przyszedłam tu, żeby... — podejmuję drugą próbę wyjaśnienia sytuacji, jednak on przerywa mi, przechylając głowę.

— Dostają to, czego chcę — mówi, podkreślając każde słowo i robiąc krok w moim kierunku. — A dzisiaj wieczorem chcę *ciebie*.

Bezwzględny książę

Przygryzam dolną wargę w chwili, gdy zsuwa garnitur najpierw z jednego ramienia, a potem z drugiego. Odslania w ten sposób idealnie wyprasowaną białą koszulę, równie idealnie dopasowaną do szerokich ramion, grubych bicepsów i wąskiej talii.

Jasny gwint, ten człowiek to wcielenie seksu.

— Jeśli za dziesięć sekund nadal będziesz w tym biurze, uznam, że to oznacza „tak, proszę pana, jestem gotowa”.

Zerkam na drzwi i z powrotem na niego, gdy rozpoczyna odliczanie.

— Dziesięć...

Rozdział 2

Temperance

Jestem tak zszokowana, że kamienieję. Racjonalny umysł mówi mi, że powinnam podbiec do drzwi, otworzyć je i uciekać, dopóki mogę. Jednak inna część mnie, ta, która szukała dokładnie takiego miejsca jak to, mówi, że dziś wieczorem mogę być kim tylko on chce, żebym była — na przykład panią Smith.

Jedyną osobą, którą *nie* muszę być, jest przeraźliwie nudna wersja Temperance Ransom, na której tworzenie poświęciłam lata.

— Dziewięć.

Nadal odlicza, gdy odpina spinki mankietów i podwija rękawy białej koszuli, odsłaniając przedramiona pokryte kolorowymi tatuażami.

Słodki Panie. Tatuaże pod garniturem? Czy to w ogóle fair?

— Osiem.

Moje uda zaciskają się bezwiednie, gdy on powtarza odmierzone ruchy, odsłaniając jeszcze więcej opalanej i wytatuowanej skóry.

Ten piękny mężczyzna przygotowuje się do wymierzenia kary swojej niegrzecznej sekretarce. To rola odgrywana w seksklubie.

Powinam wyjaśnić mu jego błąd. Naprawdę to właśnie należałoby zrobić. Ale... oszalały puls mówi mi, że powinam przynajmniej przekonać się, co jeszcze skrywa się pod tym eleganckim ubraniem.

— Siedem. — Sięga do krawata, rozluźnia węzeł, po czym rozwiązuje go. — Sześć. Kończy się pani czas, *pani Smith*.

Akcent położony na nazwisko wydaje mi się wyzwaniem lub sprawdzianem. *Może chce mnie w ten sposób zachęcić?*

Czy on wie, że nie jestem tą, za którą mnie bierze? Nie mam na sobie maski, więc może widzieć moją twarz. To musi być oczywiste... chyba że nigdy wcześniej nie widział *pani Smith*, a to umówione spotkanie na seks pomiędzy kompletnymi nieznajomymi. A w takim przypadku...

— Pięć.

Wnętrze moich ust nie przypomina już Sahary. Wręcz przeciwnie, teraz odczuwam w nich powódź stulecia, gdy patrzę, jak mężczyzna odpina górne guziki koszuli, odsłaniając pięknie rzeźbioną pierś i kolejny smakowity tatuaż. To idealny kontrast. Z każdym kolejnym odpinanym guzikiem fasada szacownego biznesmena coraz bardziej znika, ukazując mężczyznę z moich snów. Pragnę, żeby mnie posiadał.

Sądząc po ogniu w jego oczach, doskonale poradziłby sobie z tym zadaniem.

— Cztery.

Potrzebuję tego. Ma wielkie dłonie, przy których guziki koszuli wydają się miniaturowe, i sędzę, że mógłby mnie nimi sponiewierać, aż krzyczałabym z rozkoszy.

— Trzy.

Rozchyła śnieżnobiałą koszulę, ukazując twarde mięśnie brzucha, okolone z dwóch stron tatuażami rozciągającymi się od żeber do bioder. Są niczym rama dla ciała, które jest w takim stopniu dziełem sztuki, że nie sądziłam, że coś takiego jest w ogóle możliwe w rzeczywistości.

To naprawdę nie jest fair. Moje spojrzenie zatrzymuje się, natrafiając na ostro odcinający się trójkąt mięśni i tatuaż, który znika pod spodniami. Przygryzam wargę, chyba głównie po to, żeby powstrzymać się od ślinienia. Nie ma tu żadnej decyzji do podjęcia — sprawa jest już przesądzona. Nigdzie się stąd nie ruszam.

— Dwa.

Czy fakt, że opieram decyzję na tym, jak wygląda jego ciało i jak rozkosznie pręży się, gdy on rusza w moją stronę, świadczy o tym, że jestem płytka? Nie, to coś *pierwotnego*. Pragnę go. Nie obchodzi mnie, że nie wiem, jak się nazywa, a on nie zna mojego imienia, ani to, że nigdy więcej się już nie zobaczymy.

Potrzebuję tego.

— Jeden. — Kącik jego pięknych ust unosi się, a moje sutki i łechtaczka zaczynają pulsować w odpowiedzi. — Niech cię Bóg ma w opiece, bo teraz jesteście zajebiście moja.

Porusza się jak dziki kot, szybko i wydajnie. Wyciąga dłoń i chwytają obydwa moje nadgarstki, unieruchamiając je przede mną.

Wyrywa mi się cichy piskliwy okrzyk, gdy ściąga mnie z biurka i odwraca przodem do niego. Puszcza moje dłonie tylko po to, żeby przenieść rękę na moje plecy i pochylić mnie, aż piersi przyciskają mi się do drewnianego blatu.

— Czy wie pani, czym jest w tym kontekście „recydywa”?

— Nie — szepczę. *Blagam, niech się okaże, że to prowadzi do tego, że będę go mieć.*

— Nie założyła pani maski. Ile razy będę musiał sprać ten brzośkwiniowy tyłeczek, żeby przypomnieć pani o zasadach?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale nie mogę z siebie dobyć głosu.

— Każda sekunda, przez którą muszę czekać na odpowiedź, wydłuża karę.

Czuję zawrót głowy. Co mam powiedzieć? Czy mam skłamać? Czy powiedzieć prawdę?

— Trzy — odpowiadam zdyszana.

— Trzy... plus jeszcze za to wahanie. Plus to, że twój tyłek pragnie więcej... powiedziałbym, że dziesięć.

— Ale...

— Dalej, kłóć się ze mną. Być może spodoba ci się rezultat. — Jego groźby brzmią jak obietnice, gdy wypowiada je tym niskim, zmysłowym głosem.

Krzyk, dobiegający z drugiego pomieszczenia, na chwilę odwraca naszą uwagę. Nie mogę się powstrzymać i odwracam głowę, żeby zobaczyć, co tam się dzieje.

— Pieprzy ją w tyłek, a ona jest tym zachwycona.

Czuję dreszcz przebiegający wzdłuż krzyża, jednak nagle szkło oddzielające nas od tamtego pokoju staje się matowe i nieprzeźroczyste.

— Co? — zaczynam, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś wyjaśnienia.

Nieznamy unosi niewielki pilot, którym najwyraźniej jest w stanie kontrolować przejrzystość szyby.

— Chyba dość już widziałaś. Teraz twoja kolej.

— Ale...

Sama nie wiem, co chciałam powiedzieć, ale i tak nie zdążę tego zrobić, bo nagle odczuwam na pośladku palące uderzenie jego dłoni. Czuję rozchodzące się po skórze ciepło, a następnie chłód powietrza, gdy odsuwa rękę i uderza z drugiej strony.

Jasny gwint. Poprzez palący ból i mrowienie odczuwam też dreszcz przyjemności. On nie czeka, że będę liczyć uderzenia, więc widocznie nie uważa tego za konieczny element protokołu — nie żebym wiedziała, jaki jest obowiązujący w takich sprawach protokół... wiem tylko tyle, ile wyczytałam w książkach.

Przygotowuję się na kolejne uderzenie, jednak on zamiast tego chwyta mnie za pośladki i miętosi je, co intensyfikuje jeszcze moje doznania.

— Szlag, twój tyłek jest do tego wręcz stworzony.

Potrzebuję całej swojej samokontroli, żeby nie wygiąć się w łuk i nie przysunąć bliżej niego, szukając kontaktu.

Nie powinno mi się to aż tak podobać. Nie powinnam pragnąć więcej. Powinnam uciekać z krzykiem.

Ale pieprzyć wszystkie „powinno” i „nie powinno”. Teraz jest czas, by żyć. To coś, czego nie robiłam od bardzo dawna.

— Już skończyłeś? — Nie rozpoznaję schrypniętego głosu, który dobywa się spomiędzy moich warg. Brzmię odważniej i pewniej niż kiedykolwiek od wielu lat.

Zamiast obsypać mnie znowu klapsami, na chwilę nieruchomieje.

— Nierozważna sekretarka... Gdybyś tylko wiedziała, do czego jestem zdolny...

Słowa zamierają mu na wargach i zaczyna gładzić kciukiem moje biodro, a następnie szybko wymierza mi cztery kolejne klapsy, z których każdy ląduje w miejscu wcześniej nietkniętym, dzięki czemu odczuwam rozkoszne palenie na całych pośladkach.

Wiję się na białce, zdradzając tym samym, jaką mi to sprawia przyjemność.

Znowu masuje te miejsca, nim zacznę odliczać pozostałe uderzenia w myślach. *Cztery. Trzy. Dwa. Jeden.*

O dziwo, nie jestem jeszcze gotowa, żeby to się skończyło. Uda zaciskają mi się mocniej, niż wtedy gdy obserwowałam tę drugą parę.

O mój Boże, a jeśli ktoś nas obserwuje?

Usiłuję odepchnąć się od biurka, jednak on mocnym chwytem za biodra przytrzymuje mnie w miejscu.

— Jeśli nie możesz tego znieść...

— Kto nas ogląda? — pytam ostro, przerywając mu.

Zaciska mocniej palce na moich biodrach.

— Nikt nas nie ogląda.

Nie mam powodu, żeby mu wierzyć, a jednak wierzę.

Ciepło jego twardego ciała przesącza się przez moje ubranie. Gdy pochyla się naprzód, czuję ciężar jego klatki piersiowej na plecach.

— Ale wydaje mi się, że podobałoby ci się, gdyby było inaczej. — Jego głos obniża się do mruczenia i całe moje ciało sztywnieje.

— Nie — odpowiadam niepewnie.

Czuję gorący oddech przy uchu.

— Jesteś tego pewna? — Wolną dłonią gładzi moją skórę, tym razem muskając niebezpiecznie blisko miejsca, gdzie łączą się uda. Mam wrażenie, że moje podniecenie promieniuje w tym miejscu gorącem.

— Nie chciałabyś, żeby jakiś nieznajomy obserwował teraz, jak cię dotykam? Żałując, że nie jest mną? Żałując, że ten przywilej nie należy do niego, ale rozumiejąc, że ma pecha, bo jedyne ręce, które mogą cię dziś dotykać, należą do mnie?

Jego słowa pieszczą płatek mojego ucha i czuję, jak na skutek odmalowywanych obrazów cała pokrywam się gęsią skórką.

— Ty też jesteś nieznajomy.

Muska palcami moje wilgotne z podniecenia wargi sromowe.

— Nie wydaje mi się, żeby twoje ciało obchodziło, kim jestem. Dlaczego zostałeś? Mogłaś uciec. Gdy tylko uświadomiłaś sobie, że znalazłaś się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze i ta scena nie była przygotowana dla ciebie — mogłaś uciec. Zostałaś jednak, ponieważ chciałaś. Spróbuj temu zaprzeczyć.

Czuję ucisk w żołądku i ponownie próbuję się podnieść, jednak on mi nie pozwala.

— Ja... ja... — urywam, nie znajdując żadnej wymówki.

Jego dłoń nieruchomieje.

— Nie możesz zaprzeczyć. Gdzieś pod tym schludnym i porządnym strojem kryje się mała świntuszka, która marzy o tym, żeby wyrwać się na wolność.

Nawet nie ma pojęcia, jak bliski jest prawdy. Trzymałam swoją dzikość z młodych lat pod kluczem i spętaną łańcuchami, wszystko po to, żeby uwolnić się od przeszłości.

— Powinnam iść.

Jego oddech znowu owiewa moje ucho i dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa.

— Może i powinnaś, ale tego nie zrobisz.

Wsuwa we mnie palec i w pomieszczeniu rozlega się mój jęk.

— Właśnie, księżniczko. Dzisiaj wieczorem należysz do mnie i zamierzam się tobą cholernie dobrze zająć.

Wszelkie myśli o ucieczce ulatniają się, gdy zaczyna mnie pieprzyć palcem pewnymi ruchami i robi to tak długo, aż zaczynam błagać.

— Proszę, jeszcze... potrzebuję więcej.

Mruczy i wsuwa we mnie drugi palec. Obydwa ledwo się razem mieszczą, a ja przysuwam się do niego, żeby poczuć to przyjemne rozciąganie.

Minęło zbyt wiele czasu, odkąd dotykał mnie ktokolwiek poza mną.

Jęczę głośno, zupełnie tracąc poczucie przyzwoitości. Nie dzisiaj. Dzisiaj dostanę to, czego odmawiałam sobie od lat.

— Potrzebuję twojego kutasa. Błagam, teraz...

Wyciąga palce z pochwy i uderza mnie między nogami, co wywołuje u mnie orgazm i krzyczę głośno.

Uderzył mnie w cipkę.

Wiję się, usiłując się poruszyć, jednak on wsuwa dłoń w moje włosy i przytrzymuje mnie w miejscu. Może to i lepiej, bo instynkt podpowiada mi, żeby odwrócić się i paść przed nim na kolana, mając nadzieję, że tak piękny mężczyzna wyposażony jest w porządną, grubą pytę.

— Chcesz mojego kutasa? Myślisz, że możesz to znieść?

— Tak! — wykrzykuję odpowiedź i on rozluźnia uchwyt. Kilka sekund później słyszę szelest folii.

— Mogę się nie zmieścić w tej ciasnej, małej cipce. Myślisz, że wytrzymasz, gdy cię wypełnię do samego końca?

Czuję wilgoć między udami.

— Wielkie obietnice... — zaczynam mówić, jednak w tym momencie czuję, jak coś grubego i twardego trąca moją szparkę.

— Książniczko, u mnie wszystko jest wielkie. — Jego nastawienie mogłoby mnie zniechęcić, jednak gdy wpycha się we mnie, uświadamiam sobie, że jego słowa nie wynikały z arogancji, lecz z pewności siebie.

Naprawdę jest *olbrzymi*.

Zaciska palce na moich włosach, chwytając je na karku, podczas gdy wchodzi w moją śliską szparkę coraz głębiej, aż po same jądra.

— Czy jestem dla ciebie wystarczająco duży?

— O Boże.

— Nie przestawaj się modlić, będzie trochę ostro.

Gdybym myślała racjonalnie, to słowo „ostro” wzbudziłoby we mnie panikę i chęć ucieczki, jednak tak się nie dzieje. Wyciągam ręce i chwytam za krawędź biurka.

— Wytrzymam — odpowiadam, a w moim głosie brzmi wyzwanie, jakby uzewnętrzniło się moje dawne ja z czasów buntowniczej młodości, zagłuszając profesjonalną i opanowaną kobietę, którą jestem teraz.

To najwidoczniej jest właściwa odpowiedź, która uwalnia bestię znajdującą się za mną. Nieznajomy wycofuje się nieco, po czym zaczyna mnie pieprzyć w równomiernym rytmie głębokich i płytkich pchnięć na przemian. Nieustępliwie uderza w ten punkt, który rozpala moje ciało. *Ten facet wie, co robi.*

To moja ostatnia spójna myśl. Palce zaciskają mi się na krawędzi blatu. Mam ochotę rzucać głową na obie strony, jednak on przytrzymuje mnie dłonią.

Bierze mnie w posiadanie, dominuje, nie pozostawia innego wyboru, niż ulec i przyjąć ten łomot, który mi zapewnia.

Uwielbiam to.

Czuję, jak narasta we mnie kolejny wstrząsający orgazm, a gdy on zmienia rytm pchnięć, moje ciało zostaje rzucone na nowy poziom chaosu.

Pchnięcie po pchnięciu... Nie wiem nawet, co za splątane słowa padają z moich ust.

Nie mogę przestać dochodzić. To nie jest wielokrotny orgazm, to ciągły, nieustanny orgazm. Wiję się, staję się jęczącym ciałem pozbawionym choćby jednej spójnej myśli oprócz: „Nie przestawaj”.

Nie robi tego. Moja samokontrola rozpada się, nie jestem w stanie już dłużej utrzymać się na nogach.

Ogłusza mnie szum krwi w uszach, jednak nie na tyle, żeby umknął mi jego ryk ekstazy, po którym spowalnia swoje ruchy.

— Kurwa! — puszcza moje włosy i chwyta mnie dłońmi za biodra, po czym przyciąga ostatni raz mocno do siebie i wreszcie nieruchomieje.

Przez dłuższą chwilę mam wrażenie, że serce zaraz mi pęknie, nie nadążając z przepompowywaniem krwi, jednak w końcu zwalnia.

Na tę chwilę nie byłam przygotowana. Nie wiem, co powiedzieć ani co zrobić. Nie wiem, co myśleć, jak uzasadnić tę aberrację w starannie poukładanym życiu.

Co ja, u diabła, zrobiłam?

Intensywność tej chwili nagle opada, gdy on odsuwa się i czuję, jak jego gruby, długi penis wysuwa się ze mnie. Odczekuję długie dwie sekundy, nim obciągnę spódnicę, i odpycham się od biurka. *Muszę stąd uciekać.*

Szybko zerkam przez ramię i widzę, że jest odwrócony do mnie plecami i idzie w stronę drzwi, których wcześniej nie zauważyłam. Przez chwilę znowu tracę wątek, gdy spoglądam na grę mięśni jego idealnie uformowanego tyłka. *Jezu Chryste, czy to w ogóle sprawiedliwe?*

To nie ma znaczenia. *Muszę już iść. To nigdy nie powinno się było wydarzyć.*

Odrywam spojrzenie od jego tyłka, chwytam torebkę, ściągam szpilki i na bosaka ruszam do drzwi. On zauważa moją próbę ucieczki dopiero, gdy je otwieram.

— Co u... — Jego głęboki głos urywa się, gdy zatrzasną drzwi za sobą i biegnę w kierunku schodów.

Biegnij, pospiesz się. Szybciej!

Zbiegam po schodach, o mało nie spadając z nich głową w dół, jednak udaje mi się w ostatniej chwili złapać poręcz i zachować równowagę. Na niższym piętrze jakiś mężczyzna spogląda ze zdumieniem, widząc moją paniczną ucieczkę, jednak krew szumi mi w uszach zbyt głośno, bym była w stanie usłyszeć, co do mnie mówi.

Chyba w głębi ducha spodziewałam się jakieś syreny alarmowej, jakbym była intruzem, którego należy powstrzymać, jednak nic takiego się nie dzieje i udaje mi się dotrzeć do drzwi frontowych, nie łamiąc sobie kostki.

— Kluczyki! Potrzebuję moich kluczyków. I samochodu. Natychmiast. Proszę się pospieszyć, to nagły wypadek.

Mężczyzna przy drzwiach prostuje się gwałtownie i kiwa głową, po czym otwiera drzwi i rzuca polecenia w kierunku kołnierzyka, w którym zapewne ma ukryty mikrofon.

Wsuwam stopy w szpilki, następnie chwiejnie schodzę po ostatnich kilku schodkach prowadzących na łukowaty podjazd, rzucając nerwowe spojrzenia za siebie.

MEGHAN MARCH

Czy on będzie mnie ścigał?

Czy chciałabym, żeby to zrobił?

Nie mogę pozwolić sobie na odpowiedź na ostatnie pytanie.

Podchodzę do miejsca, do którego powinien zostać przyprawiony mój samochód, wciąż spodziewając się, że drzwi za mną mogą w każdej chwili otworzyć się z trzaskiem, jednak nic takiego nie następuje. Po chwili zza rogu wyjeżdża mój ford bronco. Omal nie tratuję wysiadającego parkingowego, tak mi się spieszy, żeby dostać się do środka.

Drżąc, zatraskuję mu drzwiczki przed twarzą i wduszam gaz.

Co ja najlepszego zrobiłam?

Rozdział 3

Temperance

To pytanie nęka mnie przez całą drogę do domu i nadal rozbrzmiewa w głowie, gdy docieram do Dzielnicy Francuskiej i znajduję miejsce parkingowe, na którym zostawiam bronco. Wątpliwości drepczą za mną krok w krok, gdy idę w stronę starej żelaznej bramy zamykającej wejście na wewnętrzny dziedziniec budynku, w którym na pierwszym piętrze znajduje się moje maleńkie mieszkanko.

W myślach nadal widzę idealne męskie ciało pokryte tatuażami. Stukam obcasami po bruku, serce bije mi nierówno i zastanawiam się, czy to możliwe, że dostałam permanentnej palpacji po najlepszym seksie w swoim życiu.

To niewielka cena do zapłaty, mówię sobie, nim zdołam stłumić tę myśl.

Nie mogę jednak zignorować faktu, że nadal go czuję między nogami.

Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego nie uciekłam? Przecież nie było tak, że rzucił na mnie zaklęcie lub zahipnotyzował swoim kutasem.

Nie, to się zdarzyło odrobinę później. Z ust wyrывa mi się ni to śmiech, ni to jęk. Docieram wreszcie na dziedziniec.

— Czy to ty, Temperance?

Próbuję przebić wzrokiem mrok rozjaśniany jedynie chińskimi lampionami i porozwieszanymi na drzewach lampkami choinkowymi. Basen lśni rozmytym niebieskim światłem. Wreszcie mój wzrok natrafia na czerwonego smoka wymalowanego na plecach czarnego jedwabnego kimona. Nad kołnierzem kimona widzę siwe, puszyste włosy.

Cholera, to właścicielka mieszkania, które wynajmuję.

— Przepraszam, że ci przeszkodziłam, Harriet, ja tylko...

Obraca się z zaskakującą werwą jak na swój zaawansowany wiek.

— Oho, ho, dziewczyno, masz włosy jak po seksie. Czyli przynajmniej jedna z nas miała udany wieczór.

Zaciskam oczy, zawstydzona.

— Ja... och... to znaczy...

— Wreszcie dogodził ci prawdziwy mężczyzna, powiedziałabym. Najwyższa pora, dziewczyno. Zaczynałam się już martwić, że jesteś straconym przypadkiem, i że w głowie ci tylko praca i praca, a nie zabawa. Zaczynałam się zastanawiać, czy nie poszukać innego najemcy, żeby wreszcie zaczęło się tu coś dziać.

Mrugam dwukrotnie, gdy ona rusza w moją stronę, szurając pantoflami na wysokich obcasach, ozdobionymi różowymi pomponikami.

— Miałaś zamiar mnie wyrzucić, bo za dużo pracuję?

Wiedziałam, że ma trochę nie po kolei pod sufitem, ale nie sądziłam, że jest kompletną wariatką.

— To miało być rozwiązanie w ostateczności, najpierw chciałam ci wysłać striptizera. Dziewczyno, potrzebujesz w życiu odrobinę przyjemności. Cały czas poruszasz się jedynie między domem i pracą, to cholernie nudne.

Wreszcie zaczyna do mnie docierać, co mówi, ale i tak jestem w szoku.

— Jestem nudna?

— Oczywiście, że tak. I przysięgam, wychodzisz ze skóry, żeby taką pozostać, ale nie dzisiaj... Dzisiaj wygląda na to, że przeleciał cię facet z prawdziwego zdarzenia. — Siada przy stoliku na patio i sięga po butelkę wina. — Weź sobie kieliszek, siadaj i opowiedz mi pikantne szczegóły, a może zaliczę ci to na poczet części czynszu.

Jestem oszołomiona. Pokonuję dzielącą nas odległość i siadam przy stoliku.

— Przysięgam, to nic takiego.

— Dziewczyno, chodzisz na rozstawionych nogach. Niejedno w życiu widziałam, mnie nie zszokujesz.

Sięgam po kieliszek z winem i pociągam długi łyk. *Dobry Boże, naprawdę tego potrzebowałam.*

— Nie powinnam się nawet przyznawać do tego, co dzisiaj zrobiłam.

Stare oczy Harriet niemal rozjaśniają się na te słowa i uśmiecha się szeroko.

— To są właśnie *najlepsze historie*. Dawaj, przysięgam, że zabiorę ją ze sobą do grobu.

Zaciskam powieki.

— Zdaje się, że przypadkowo trafiłam do seksklubu.

Kieliszek Harriet z brzękiem uderza o metalowy blat stolika.

— Wiedziałam, że to będzie dobra historia. Jak można *przypadkowo* trafić do seksklubu?

Opowiadam jej o liściku, który trafił do mojego biura, i o tym, jak popędziłam na spotkanie pewna, że chodzi o sprzedaż whiskey... i o tym, jak na koniec uciekłam z tego pokoju.

Harriet klaszcze w dłonie z dziecięcym podekscytowaniem.

— Jeszcze jest dla ciebie nadzieja, Temperance. Kiedy tam wracasz?

MEGHAN MARCH

Jestem zaskoczona jej reakcją. Nie spodziewałam się wprawdzie, że będzie mnie osądzać, ale z pewnością nie oczekiwałam z jej strony zachęty.

— Nigdy. Nie mogę. To nie ja. Nie jestem tak...

— Interesująca? Zainteresowana seksualnymi przygodami? Gotowa na porządne pieprzenie przez prawdziwego mężczyznę?

— Nie wiem nawet, jak on ma na imię!

Harriet zbywa to machnięciem ręki.

— Gdybym dostała centa za każdego faceta, którego imienia nie znałam, byłabym jeszcze bogatsza, niż jestem. Nie możesz traktować życia tak poważnie. I tak wszyscy w końcu umrzemy. A teraz idź na górę, weź ze sobą resztkę tego wina i wypij dość, żeby zapomnieć o tym, czego „nie powinnaś” lub „nie możesz”. Jeśli potrzebujesz, żebym wysłodziła, kim jest ten facet, daj mi znać. Mam *znajomości*.

Nie mogę nawet zacząć sobie wyobrazić, jakie *znajomości* może mieć Harriet, podstarzała artystka, od dziesięcioleci mieszkająca w Nowym Orleanie... jednak w jej przypadku wszystko jest możliwe.

Gdyby powiedziała mi, że królowa angielska jest jej najlepszą psiapsiową, nie byłabym wcale zaskoczona.

Sięgam po butelkę, zamierzając nalać jej kolejny kieliszek, jednak mnie powstrzymuje.

— Nie martw się, druga butelka już się chłodzi. Ta należy do ciebie, chlapij sobie porządnie. Gdybyś miała potem ochotę na kąpiel nago w basenie, to śmiało, będę w pracowni aż do świtu.

Czuję nagle ostre ukłucie zazdrości na myśl o spędzaniu czasu w pracowni i tworzeniu czegoś z niczego.

Jeszcze jedna rzecz, o której nie powinnam myśleć.

Nie mam w swoim życiu miejsca również i na to.

Chwytam butelkę wina i uśmiecham się.

— Dobranoc, Harriet.

— *Bonne nuit*, Temperance.

Rozdział 4

Temperance

Nie byłam w stanie przestać myśleć o piątkowej nocy i to nie tylko dlatego, że wciąż go czuję przy każdym kroku. Żadne inne doświadczenie w moim życiu nawet się do tego nie zbliżyło.

I nie mam żadnego pojęcia, kim on jest, ani jak mogłabym się z nim skontaktować.

To chyba dobrze, prawda?

Nadal myślami jestem przy nim, gdy w poniedziałkowy poranek przychodzę do destylarni. Kiedy tylko obracam klucz w zamku, czuję, jak ogarnia mnie wilgotne gorąco i zapach. To jest znajome, zwyczajne, bezpieczne, nie impulsywne i szalone.

Zrobiłam karierę. Wypracowałam sobie nazwisko. W tych murach cieszę się szacunkiem i nikt nie kwestionuje, że na niego zasługuję. Nie jestem już jakąś dziewczyną z nad bagien, która szaleńczo walczy, próbując za wszelką cenę przeżyć, mimo że życie rozdało jej kijowe karty.

Stukając obcasami po starej betonowej posadzce przypominam sobie, że chociaż whiskey nie jest moją pasją, to jednak obrałam dla siebie dobrą drogę. Nie ma znaczenia, że więcej czasu spędzam tutaj niż we własnym mieszkaniu. Ta praca to przywilej i staram się udowodnić, że na niego zasługuję.

Utrata panowania nad sobą i pozwolenie, żeby moja dzikość doszła do głosu, nie pomogą mi w tym zadaniu, mogą jedynie wykazać, że straciłam rozum. Muszę zapomnieć o tym mężczyźnie.

Koniec z wizytami w tym klubie.

Koniec z pięknym wytatuowanym mężczyzną.

Koniec ze schodzeniem z obranej ścieżki.

Przekręcam gałkę w drzwiach do swojego biura i zamieram, widząc, że lampka na blacie jest zapalona, a czyjeś skórzane buty o grubych podeszwach spoczywają na moim kalendarzu.

Co u diabła? Moja dłoń odruchowo wędruje do pistoletu w torebce.

— Strzel do mnie, a sama będziesz musiała mnie łątać.

Nic nie byłoby w stanie zatrzymać mnie w pół ruchu skuteczniej niż charakterystyczny głos mojego brata.

— Co, u diabła, tutaj robisz? Zdejmij te cholerne buciska z mojego biurka. Nie możesz tu być.

Nie mam pojęcia, jak w ogóle Rafe dostał się do środka. Mąż mojej szefowej upewnił się, że to miejsce ma lepszą ochronę niż Fort Knox albo londyńskie Tower. W końcu Keira jest jego klejnotem koronnym.

Buty Rafe'a pozostają dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej.

— Nie mogę już nawet przyjść i zapytać swojej młodszej siostry, czy kompletnie postradała rozum? Bo to jedyna przyczyna, dla jakiej mogłaś się pojawić w Przystani.

— Przystani? — To słowo spływa z moich ust, jakby było w obcym języku.

Rafe ściąga nogi z biurka, pozostawiając ślady błota na kalendarzu, i mam ochotę go trzasnąć.

Naprawdę ciężko pracowałam, żeby nie zostawiać po sobie nieporządku, gdziekolwiek się ruszę, ale Rafe to inna sprawa. Nigdy nie będzie nikim innym, niż chłopcem znad bagien, i nie widzi w tym nic złego, ba, jest wręcz z tego dumny.

— Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi, dziewczyno.

Zerkam na zegarek.

— Nie mam czasu na udawanie czegokolwiek. Za godzinę mam spotkanie z szefową, a zostało mi jeszcze tyle do zrobienia w ramach przygotowań, że potrzebowałabym na to dwóch godzin.

— Może w takim razie powinnaś pracować w ten weekend, zamiast odwiedzać seksklub.

Do głębi zszokowana otwieram szeroko usta.

— Kazałeś mnie obserwować?

Wzrusza ramionami.

— Nie mam czasu, żeby się tobą opiekować, Tempe, niezależnie od tego, że wydajesz się tego potrzebować.

— Kto ci powiedział?

Rafe przygląda mi się z uwagą.

— Nieważne. Ważne jest to, czy naprawdę postradałaś rozum. Nie obchodzi mnie, jak bardzo wydajesz się sobie ważna i lepsza od wszystkich, istnieją pewne miejsca, które nie są dla ciebie, i Przystań jest jednym z nich. Przychodzą tam naprawdę źli ludzie, żeby znaleźć to, co ich kręci, i nie mówię tu o ludziach takich jak my, tylko o bogatych i wpływowych sukinsynach, którzy nie wahałoby się przeżuć cię na papkę i wyrzucić do śmieci.

Jego ostrzeżenie naprawdę mną wstrząsa.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— I nie powinnaś wiedzieć. Nigdy nie powinnaś się tego dowiedzieć. Trzymaj się z daleka od tego miejsca i od wszystkich, których się tam widuje.

Opieram dłonie na biodrach.

— A skąd niby wiesz tak dużo o tym miejscu?

— To nie ma znaczenia, ale fakt, że wiem, powinien tym bardziej stanowić dla ciebie ostrzeżenie.

Przewracam oczami, bo nie pierwszy raz słyszę te pouczenia. Mój brat zdecydowanie mieści się w kategorii „niezły sukinsyn”. Nawet

w dobre dni nie trzyma się litery prawa i nie wiem, czy kiedykolwiek to robił. To zresztą kolejny powód, dla którego jego obecność w moim biurze nie jest najlepszym pomysłem niezależnie od tego, że mąż mojej szefowej jest wcieleniem pojęcia „poza prawem”.

— Nie mam zamiaru z tobą o tym rozmawiać, więc jeśli tylko po to tu przyszedłeś, to możesz wyjść tą samą drogą, którą wszedłeś.

Rafe wstaje z mojego fotela i rusza przez pokój.

— Tempe, naprawdę zasługujesz na coś lepszego niż to miejsce i ci ludzie. Masz dobre życie, w którym cieszysz się szacunkiem, i Bóg jeden wie, jak bardzo się zaharowywałaś, żeby to osiągnąć. Nieraz mi to wypominałaś. Chcesz stracić? To trzymaj się z ludźmi z Przystani.

Spoglądam w ciemnobrązowe oczy takie same jak moje.

— Nie potrzebuję już, żebyś mówił mi, co mam robić. Sama świetnie sobie radzę.

Zaciska szczęki, jakby miał ochotę mnie udusić. Rozpoznaję ten wzrok i ignoruję go. Po kilku długich sekundach, w trakcie których toczymy walkę na spojrzenia, on wzdycha.

— Posłuchaj, jesteś wszystkim, co mi zostało. Jeśli spodziewasz się, że nie będę się martwił o młodszą siostrę, to chyba postradałaś cholerne zmysły.

— U mnie wszystko w porządku.

Prycha.

— Nie jest w porządku, Tempe, i nie było od dawna, ale nie mam teraz czasu, żeby to naprawiać. Muszę lecieć. Mam robotę. I to dużą.

Rafe nigdy nie opowiada mi, czym się zajmuje, więc to, że teraz o tym wspomina — i to akurat w takim miejscu — oznacza, że nie jest to jakaś tam robotka, ale naprawdę *gruba sprawa*. Czuję, jak dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa, ponieważ wiem, że to, czym zajmuje się Rafe, nie jest rodzajem pracy, w której ma się gwarancję bezpiecznego powrotu do domu.

— Co? Gdzie?

Przechyliła głowę w prawo.

— Powinnaś wiedzieć, że nie należy mnie pytać o takie rzeczy.

— Jak długo to potrwa? Kiedy wrócisz?

Wyciąga dłoń i trąca końcówki moich włosów.

— Wiesz, że za nic nie przegapiłbym twoich urodzin, więc na pewno do tego czasu.

Niepokój, który narasta we mnie, lekko słabnie.

— Jesteś pewien?

Zaciska dłoń na moim ramieniu.

— Cholernie pewien. Ale musisz mi jedno obiecać.

— Co?

— Zaufaj swojemu instynktowi. Jeśli coś wzbudzi twój niepokój, poinformuj Mounta. Nie wahaj się. On będzie wiedział, co zrobić.

Znowu przenika mnie dreszcz, jakby ktoś przeszedł po moim grobie. Może dlatego, że Rafe nigdy wcześniej nie mówił, że powinnam się zwrócić do kogoś innego o pomoc. Nigdy.

— Rafe...

— Wszystko będzie dobrze. Zawsze spadamy na cztery łapy, prawda? — Przyciąga mnie do siebie i mocno przytula. — Nie próbuj wracać do szalonych dni naszej młodości, a jeśli masz jakieś potrzeby, to umów się na randkę z jakimś prawnikiem czy bankierem. Trzymaj się z daleka od Przystani, słyszysz?

Mocno go ściskam.

— Nie mów mi, co mam robić, tylko wróc bezpiecznie.

— Zawsze wracam.

Puszcza mnie i obserwuję, jak wychodzi z biura. Mój niepokój rośnie, w miarę jak Rafe się oddala.

Boże, zadbaj o jego bezpieczeństwo. Jest wszystkim, co mi zostało.

Rozdział 5

Temperance

— Puk, puk. — Stukam w drewnianą ościeżnicę drzwi prowadzących do biura szefowej dokładnie pięćdziesiąt osiem minut później i staram się wołać wesołym głosem.

Keira, moja szefowa, która jest oszałamiającą rudowłosą pięknoscią, uśmiecha się na mój widok.

— Cześć, Temperance. Właśnie miałam zamawiać śniadanie; chcesz to, co zawsze?

Nigdy nie odrzucam propozycji jedzenia. Być może dlatego, że zbyt często jako dziecko kładłam się spać z burczącym żołądkiem, a może dlatego, że jestem wiecznie głodna, w każdym razie moja odpowiedź jest z góry przesądzona.

— Oczywiście!

Pomalowane czerwoną szminką wargi Keiry wyginają się w uśmiechu i przez chwilę przypomina mi się twarz kobiety w masce, którą widziałam w piątkowy wieczór. *Ta kobieta, którą obserwowałam...*

Muszę wyprzeć to wspomnienie i udawać, że to nigdy nie miało miejsca... jednak wspomnienia są tak żywe, że wydaje mi się to niemal niemożliwe.

Na szczęście Keira nie zauważyła mojego wahania, bo już rozmawia przez telefon, zamawiając nasze standardowe śniadanie.

Siadam na krześle przed jej biurkiem, trzymając na kolanach notes wypełniony listami rzeczy do zrobienia i różnymi szczegółami spraw, które jeszcze trzeba załatwić przed wielką galą charytatywną organizowaną w najbliższy czwartek w Seven Sinners przez lokalne schronisko dla kobiet Dom Marii.

Po udanej imprezie ostatekowej dla zespołu futbolowego Voodoo Kings po okolicy rozniosła się wieść, że Seven Sinners jest doskonałym miejscem do organizacji eleganckich przyjęć wymagających szczególnego rozmachu i splendoru. Teraz mamy mnóstwo rezerwacji, a praca, która zawsze była wymagająca, przestała mi pozostawiać w życiu czas na cokolwiek innego.

Dlatego właśnie nawet nie zakwestionowałam spotkania z potencjalnym klientem w piątkowy wieczór. Powinnam spróbować się dowiedzieć, jak właściwie doszło do tej pomyłki, jednak jestem zbyt zażenowana tym, co zrobiłam.

To już skończona sprawa.

Nigdy więcej nie będę o niej myśleć.

Chyba że w ciemności w moim własnym łóżku w środku nocy.

Całe to planowanie imprez nie znajdowało się od początku w zakresie moich obowiązków służbowych, ale Keirze się nie odmawia. Jest świetną szefową, a awans na dyrektorkę operacyjną Seven Sinners był czymś, o czym nie ośmieliłabym się nawet marzyć, kiedy dostałam pracę asystentki.

Gdy Keira kończy rozmowę, znowu się do mnie uśmiecha.

— A zatem czym powinnyśmy zająć się najpierw?

— Darczyńcy zaczną dzisiaj przywozić przedmioty na aukcję. Jeśli nie masz nic przeciwko, zamierzam je po prostu przechować u siebie w biurze, żeby nie były narażone na zniszczenie lub zgubienie. — W duchu dodaję „zwłaszcza że mój brat w najbliższym czasie na pewno

nie wpadnie z wizytą”. Znowu czuję niepokój, jednak spycham to uczucie na bok.

— To dobry pomysł. Zrób rejestr wszystkich ofiarowanych przedmiotów. Przeniesiemy je na górę, kiedy sala będzie już przygotowana.

— Tak jest. — Przechodzę do kolejnego punktu na liście. — Odile po raz trzeci prosiła mnie, żebym potwierdziła dokładną liczbę spodziewanych gości.

Keira krzywi się.

— W weekend dostałam e-mail od prezesa z informacją, że kilka osób odpowiedziało z opóźnieniem na zaproszenie, a są zbyt poważnymi potencjalnymi darczyńcami, żeby ich odrzucić.

— A więc potrzebujemy kilka miejsc więcej?

— Raczej piętnaście lub dwadzieścia.

Już widzę, jak szefowa kuchni w Seven Sinners goni mnie z rzeźniczym nożem po przekazaniu tej informacji.

— A może zechcesz porozmawiać o tym z Odile dziś po południu?

— Jeśli się jej boisz... — Śmieje się Keira.

— Nie boję się jej jako takiej, bardziej ostrzych narzędzi, które zazwyczaj miewa pod ręką — urywam, przypominając sobie, że to w końcu moja praca, więc muszę się tym zająć. — Ale to nie problem. Jestem pewna, że zgodzi się na zmiany.

Keira parska śmiechem i jest to jedyna odpowiednia reakcja.

— Oczywiście. Będzie zachwycona. Dam znać Domowi Marii, że nie będzie to problem, ale wpłynie na ostateczną cenę.

— I to jeszcze jak — mamrocę pod nosem, już myśląc o wyzwaniu, jakiemu będę musiała sprostać w ich imieniu, i robię sobie kolejną notatkę.

— Och, i kompletnie zapomniałam cię zapytać, czy nie chcesz ze sobą kogoś przyprowadzić — dodaje Keira. — Wiesz, że możesz, jeśli chcesz, mimo że będziemy w pracy... — Najwyraźniej moja twarz

przybiera jakiś dziwny wyraz, bo szefowa śmieje się. — ...ale oczywiście nie musisz!

Zmuszam wargi do czegoś na kształt uśmiechu i próbuję znaleźć jakąś odpowiedź, która nie brzmiałaby „Boże uchwaj!”

— Nie, dziękuję, to nie będzie konieczne.

— Jeszcze sobie pomyślę, że pracujesz tak ciężko, że nawet nie masz czasu się zabawić. A może Jeff Doon? Pytał mnie, czy się z kimś spotykasz, po tym wywiadzie dla lokalnej telewizji o wycieczkach po destylarni.

— Jeff Doon? Ten facet z izby handlowej? — pytam, jakbym nie wiedziała, kto to jest, przede wszystkim po to, żeby dać sobie trochę czasu na otrząśnięcie się z szoku. Nigdy bym nie podejrzewała, że mógłby okazać jakiegokolwiek zainteresowanie mną, biorąc pod uwagę, że w szkole średniej spotykał się z Keirą.

— Naprawdę nie ma w tym niczego dziwnego, był pod wrażeniem twojego projektu wycieczki i zastanawiał się, czy może chciałabyś z nim kiedyś skoczyć na drinka. Najwyraźniej uznał, że powinien najpierw poprosić o moje błogosławieństwo.

— Nie wiem, co powiedzieć. Ja... nie umawiam się na randki... wcale. — To prawda, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że to, co się zdarzyło w piątek wieczorem, na pewno nie było randką. Ale o tym nie zamierzam opowiadać mojej szefowej... Nigdy w życiu. — Poza tym nadal muszę opędzać się od awansów dostawcy mięsa przez te obietnice, które mu złożyłam, żeby załatwić okrawki, jakie chcieli Voodoo Kings, za tę cenę, którą mogliśmy zaoferować.

Keira chichocze w odpowiedzi.

— Jeśli kiedykolwiek się z nim umówisz, to obiecuję, że dostaniesz dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach. To wykracza poza zakres twoich obowiązków.

— Na razie znajdowałam wymówki, ale z jakiegoś powodu nie zniechęciło go to dostatecznie.

Keira przechyliła głowę w lewo.

— Przywołując mądre słowa Magnolii Maison, czy ostatnimi czasy spoglądałaś w lustro, dziewczyno? Bo jesteś seksowna jak jasna cholera!

Omial nie krztuszę się ze śmiechu.

— Chyba mówisz o sobie!

Wzrusza ramionami.

— Musisz gdzieś wyjść, coś porobić... To złagodzi nieco moje poczucie winy, że zbyt wiele pracujesz... A będę prosiła, żebyś znowu przejęła stery, bo mój mąż postanowił, że jedziemy na wakacje.

Prostuję się na krześle.

— Kiedy?

— Chciałby jechać w przyszłym tygodniu. Powiedziałam mu, że najpierw muszę zobaczyć, jak się uda impreza i...

— W porządku. Poradzę sobie. Wiesz, że wszystkim się zajmę. — Jestem dumna, że Keira może zostawić firmę w moich rękach i zniknąć na parę dni, nie musząc się obawiać, że wszystko spłonie do gołej ziemi.

— Powiem mu, że się zastanowię. Nie mogę ustąpić od razu, bo będzie myślał, że ma przewagę. Na tego faceta trzeba mieć dobry sposób i dobrze przemyślaną strategię. — Dzwoni komórka i Keira szybko ją odbiera. — Keira Kilgore.

Nie słyszę głosu po drugiej stronie, ale łatwo mogę się domyślić, kim jest rozmówca.

— Nawet nie próbuj. I zgodziliśmy się, że będę używała nazwiska Kilgore tak długo, jak istnieje Seven Sinners.

Lachlan Mount, jej mąż.

Czy wie, że mój brat tu był? Nie trzeba być specjalnie byстрыm, żeby założyć, że wie, kim jestem, a także kim jest Rafe i czym się zajmuje. Mount po prostu wie wszystko.

To kolejny powód, dla którego muszę uważać i pilnować, żeby zajęcie Rafe'a nie rzutowało na moje życie.

— Tak, nadal zastanawiam się nad tymi wakacjami. Nie, nie możesz przyspieszyć mojej decyzji.

Wpatruję się w sufit, nie chcąc sprawiać wrażenia, jakbym wsłuchiwała się w jej rozmowę. Na szczęście w tym momencie rozlega się pukanie do drzwi. Szybko podrywam się z krzesła, żeby otworzyć.

Śniadanie.

— Śniadanie dotarło, jak zapewne już wiesz, więc oddzwonię do ciebie później, po spotkaniu. Ja też cię kocham.

Keira rozłącza się, podczas gdy wracam do biurka z torbą z jedzeniem.

— Faceci! — Przewraca oczami, ale wiem, że tak naprawdę nadopekuńczość Mounta ją uspokaja.

Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jakby to było mieć mężczyznę, który patrzyłby na mnie tak, jak Mount na Keirę. Jakby mógł zabić każdego, przez kogo musiałaby się choć skrzywić. Cóż, szczerze mówiąc — byłby do tego zdolny.

— Powinnaś pojechać na wakacje. Poradzę sobie.

Uśmiecha się i zabiera za jedzenie.

— Wiem, że tak, Temperance. Nigdy w to nie wątpiłam.

— To dlaczego bawisz się z nim w kotka i myszkę?

Jej uśmiech staje się przebiegły.

— Bo tak właśnie należy postępować z mężczyzną takim jak Lachlan Mount. W przeciwnym wypadku przejechałby się po mnie niczym buldożer. Poza tym uwielbia mój temperament i dzięki temu cały czas musi się starać.

Obracam jej słowa w myślach, gdy jemy i rozmawiamy na temat kolejnych punktów niekończącej się listy spraw do załatwienia. Staram się nie myśleć o moim nieznanym.

MEGHAN MARCH

Miał w sobie coś takiego, co krzyczało „biorę to, czego chcę”. Podobnie jak Mount, byłby jak buldożer, nie do zatrzymania. *A mnie by się to podobało.*

Natychmiast tłumię w sobie tę myśl i zakopuję ją gdzieś głęboko. *Nigdy więcej go nie zobaczę, więc to nie ma znaczenia.*

Rozdział 6

Temperance

Goście mają zacząć przybywać w ciągu trzydziestu minut, a moje biuro wygląda, jakby przeszło przez nie tornado. Wszędzie walają się skrzynki i materiały do pakowania, ponieważ przedmioty przeznaczone na aukcję zostały odpakowane i przeniesione na górę.

To znaczy jeszcze nie wszystkie.

Przewracam oczami, zerkając na otwartą skrzynię opatrzoną napisem „Bardzo delikatne — uszkodzenie grozi śmiercią”. Gregor Standish, artysta, który ofiarował tę rzeźbę, był prawdziwym wrzodem na moim tyłku, odkąd postanowił się zaangażować w aukcję charytatywną Domu Marii. Jestem wprawdzie wdzięczna, że dzięki niemu mamy szansę zebrać jeszcze więcej pieniędzy, ale i tak w głębi ducha życzyłabym sobie, żeby zabrał tę potworność z powrotem. Wygląda jak kaktus wykonany z kul żółtego wosku, który zbyt długo pozostał na słońcu.

„Nowy Orlean powstaje”, głosi tytuł.

Dla mnie wygląda, jakby Nowy Orlean topił się w słońcu, ale co ja tam wiem? Sztuka, która mnie się podoba, nie zalicza się do inspirującej

ludzi do dyskusowania w grupach o kryzysie egzystencjalnym, nie żebym wiedziała, co to w ogóle może oznaczać.

Sztuka, która do mnie przemawia, jest surowa i oczywista. Może brak jej subtelności i jest jak cios pięścią w żołądek, gdy się ją zobaczy, ale to pewnie dlatego, że nie odebrałam dostatecznie subtelnego wychowania, żeby móc przeżywać kryzysy egzystencjalne.

Moje spojrzenie wędruje do rzeźby, która stoi w przeciwległym kącie biura. To dzieło nie trafi na aukcję, ponieważ nikt nie wpadłby na to, żeby poprosić autora o darowiznę. „Fleur de lys” ma półtora metra wysokości i wykonana jest z zespawanych kawałków złomu.

Sztuka ze śmietnika. Tak przynajmniej mój ojciec nazywał moje dzieła. Nadal słyszę w głowie jego głos powtarzający mi, że lepiej byłoby sprzedać metal na złom niż marnować go w ten sposób.

To kolejny powód, dla którego nie jest mi smutno, że już go nie ma.

Odwracam się od skrzynki i rzeźby i sięgam po sukienkę wiszącą na drzwiach. Dyrektorka operacyjna Seven Sinners nie może przecież przybyć na galę w bluzce ze smugami kurzu po tym, jak całe popołudnie spędziła na ciężkiej fizycznej pracy, dopilnowując, by każdy przedmiot został właściwie wyeksponowany na górze.

Tyle że oczywiście nie wolno mi ustawić arcydzieła, jakim jest „Nowy Orlean powstaje”, bez obecności samego artysty, Gregora Standisha... który się spóźnia.

Na dwie minuty postanawiam zapomnieć o problemie z punktualnością pana Standisha. Zrzucam buty, poprawiam pończochy i ściągam z wieszaka małą czarną, która zarazem podkreśla mój profesjonalizm i pozwala wyeksponować atuty.

Wkładam ją na siebie i sięgam do zamka na plecach. W momencie gdy udaje mi się go przesunąć o parę centymetrów ponad pupę, łapie mnie skurcz w ramieniu, a do drzwi, w których zapomniałam przekręcić klucz, nim zaczęłam się przebierać, ktoś puka.

— Cholera — szepczę, podskakując na jednej nodze i próbując wykręcić sobie ramię, żeby z powrotem uchwycić suwak, który wyslizgnął mi się z palców. — Proszę chwilę zaczekać!

Drzwi otwierają się i do środka wtyka głowę mężczyzna.

— Och, przepraszam, nie chciałem przyłapać pani w dezabilu.

To Ronnie Lyle, kolejny darczyńca, który już wcześniej w tym tygodniu wywarł na mnie nieprzyjemne wrażenie, przywożąc nagi autoportret. Nie żebym miała coś przeciwko aktom... Jedynie przeciwko temu typowi.

— Proszę chwilę zaczekać, panie Lyle, zaraz z panem porozmawiam.

Jego uśmiech staje się szerszy i zaczynam odczuwać niepokój.

— A może mógłbym pani pomóc z tym zamkiem, którego chyba nie może pani osiągnąć. Każdy dżentelmen postąpiłby tak na moim miejscu.

— Poradzę sobie.

— Z pewnością, ale każdemu od czasu do czasu potrzebna jest pomocna dłoń. — Wchodzi do biura i zamyka za sobą drzwi.

Zgrzytam zębami, usiłując zachować przyjazny wyraz twarzy, i z trudem powstrzymuję się, żeby nie powiedzieć mu, by natychmiast z powrotem otworzył drzwi. Jeśli spróbuje mnie dotknąć, połamię mu palec.

— Doceniam ten *dżentelmeński* gest. — Omal nie dławię się, wypowiadając te słowa, jednak on nie wydaje się mnie słuchać, odkąd odwróciłam się do niego plecami. Zapewne nie widział kobiety w negliżu przez ostatnią dekadę. Chociaż, z drugiej strony, facet ma władzę i pieniądze, więc mogę się mylić. *Ble*.

Słyszę szuranie butów po betonowej posadzce, gdy podchodzi bliżej. Z każdym jego krokiem bardziej się napinam.

— Jest pani bardzo piękną kobietą, pani Ransom — mówi i robię wszystko, co w mojej mocy, żeby się nie skrzywić ze wstrętem.

Czuję jego oddech na uchu i mam ochotę uciec, jednak stoję stopami w pończochach twardo w miejscu. Nie usatysfakcjonuję go, dając mu do zrozumienia, że budzi mój wstręt i strach. Zyskałby zbyt wielką władzę i nie zgadzam się na to.

Zamek zaczyna wędrować w górę, jednak zatrzymuje się w miejscu, gdzie znajdowałoby się zapięcie stanika.

— Po gali przyjeżdża po mnie limuzyna i z chęcią zabrałbym panią...

Odwracam się, wyrывая mu z palców zamek. Sięgam za siebie i podciągam go ostatnie kilka centymetrów.

— Już sobie poradziłam, bardzo dziękuję. Proszę iść na górę, bar wkrótce zostanie otwarty.

Drzwi do mojego biura znowu się otwierają.

— Temperance, czy potrzebujesz pomocy... — Keira urywa, orientując się, że nie jestem sama... i że nie mam na sobie butów. — Pan Lyle! Nie wiedziałam, że ma pan jakieś sprawy z panią Ransom, czy mogę panu w czymś pomóc?

Lyle cofa się i chrząka za zakłopotaniem.

— Nie, nie, dziękuję. Właśnie mówiłem pani Ransom, że naprawdę zrobiliście już kawał dobrej roboty i jestem bardzo ciekawy, ile pieniędzy zbierze dzięki wam Dom Marii na pomoc tym nieszczęsnym kobietom.

Kłamstwa gładko spływają z jego języka, a mój wewnętrzny wykrywacz obłechów wskazuje poziom alarmowy.

— Jestem pewna, że wszystko pójdzie świetnie — zapewnia Keira i nie mogę się nie zastanawiać, czy wyczuwa mój dyskomfort. — Czy zechce mi pan towarzyszyć na górę i tam osobiście wypróbować whiskey Phoenix, którą, jak wiem, planuje pan zakupić? Pani Ransom przyda się odrobina prywatności, żeby mogła zakończyć przygotowania.

Lyle odwraca się z powrotem w moją stronę i przesuwa po mnie spojrzeniem.

— Oczywiście. Do zobaczenia wkrótce, pani Ransom.

Rozdział 7

Temperance

Przeciskam się przez tłum, uśmiechając się i patrząc, jak goście sączą najlepszą whiskey Seven Sinners, ale w środku zaczynam się rozklejać. Ronnie Lyle nadal stara się mnie osaczyć, Gregor Standish nie raczył się jeszcze pokazać, a aukcja zaczyna się za dziesięć minut.

Wychodzę z zatłoczonej restauracji i wślizguję się do wnęki obok toalet. Gwar rozmów jest tu o tyle cichszy, że przypomina jedynie niski pomruk. Wyciągam telefon, żeby znowu zadzwonić do Standisha.

Połączenie natychmiast zostaje przekierowane na pocztę głosową.
— Gdzie on, do diabła, jest?

Odwracam się i szukam wzrokiem Keiry. Muszę ją powiadomić o sytuacji, żebyśmy mogły podjąć decyzję.

W tłumie dostrzegam przez ułamek sekundy twarz, której widok sprawia, że staję jak wryta, a całe moje ciało oblewa gorąco.

*Znam te usta. Znam ten zarys szczęki i te szerokie ramiona.
Nie. To niemożliwe. Umysł płata mi figle.*

Nie ma mowy, żeby facet z klubu mógł się tu znaleźć.

Mrugam dwukrotnie, wpatrując się w niego, aż nagle spojrzenie lodowatoniebieskich oczu pada prosto na mnie. Na jego twarzy odbijają się zdumienie i błysk rozpoznania.

Nie, to nie może się dzieć. Pokrywam się gęsią skórką, podczas gdy on mi się przygląda. Spojrzenie przesuwa się po moim ciele, po czym wraca do twarzy. Jeden z kącików jego ust unosi się i na twarzy pojawia mu się wyraz przypominający satysfakcję.

Czy to pułapka? Czy zamierza do mnie podejść? Co, u licha, mam mu powiedzieć?

Telefon wibruje i odrywa mnie od pojedynku na spojrzenia, w który zostałam wciągnięta przez nieznanego. Tego nieznanego, któremu pozwoliłam się przelecieć w piętnaście minut po tym, jak go spotkałam.

Ładnie, Temperance.

Spoglądam na telefon i wzdycham z ulgą, widząc numer Gregora Standisha.

— Panie Standish?

Dobiegająca mnie odpowiedź jest zniekształcona i niemożliwa do odcyfrowania.

— Proszę pana?

Słyszę coś, co brzmi jak „biuro”, i mam cholerną nadzieję, że to oznacza, że faktycznie czeka w moim biurze. Robię krok do przodu, patrząc w miejsce, gdzie przed chwilą stał nieznanomy, jednak już go tam nie ma.

Czy naprawdę tu był? Czy też padłam ofiarą halucynacji na wspomnienie wszystkich orgazmów, które mi zapewnił?

Przeciskam się przez tłum w kierunku schodów, usiłując rozmawiać ze Standishem, jednak jego telefon przerywa po każdym słowie. W piwnicy, gdzie mieści się moje biuro, zasięg jest jeszcze gorszy, więc naprawdę mam nadzieję, że po prostu tam na mnie czeka.

Połączenie zostaje zakończone, gdy znajduję się w połowie drogi.

Cholera.

Dziesiątki razy wypowiadam słowo „przepraszam”, idąc w stronę schodów. Popycham drzwi i chwytam za poręcz, żeby zbiec na dół. Gdy docieram do pierwszego podestu, słyszę, jak drzwi na górze zamykają się z trzaskiem.

— Znowu uciekasz? — Ten głęboki, schrypnięty głos jest nie do pomylenia z żadnym innym.

— To ty — szepczę.

Jego ruchliwe usta wyginają się w coś, co mogłoby uchodzić za uśmiech. Chłonę widok twarzy bez maski. Nie jest przystojny w klasycznym stylu, bardziej szorstki i autentyczny jak sztuka, którą lubię. Jego męskie rysy wywierają uderzające wrażenie i brak im subtelności.

— Tak, to ja — potwierdza i niemal leniwie schodzi po schodach, aż staje tuż przede mną.

Moje sutki z wyraźną aprobatą witają wysoką sylwetkę w idealnie skrojonym garniturze, jednak mózg nadal nie potrafi pojąć, co się tu dzieje.

— Co tu robisz?

— A jak sądzisz?

— Nie mam pojęcia, ale...

— Znowu uciekasz, jak mówiłem. To, zdaje się, jeden z twoich talentów.

— Nie, mam tu pewną sprawę do załatwienia.

— Może ja też.

Niebieskie oczy rozpalają się, a wyraz twarzy mówi, że prędeej przeleciałby mnie tu na betonowej klatce schodowej, niż zajmował się interesami.

— Nie możesz tu być. Musisz wyjść.

— Kto tak powiedział? Może zostałem zaproszony, *pani Smith*.

Dziesiątki razy czytałam listę gości, ale potem Keira dodała osoby, które odpowiedziały na zaproszenie w ostatniej chwili. Może on jest jedną z nich? Jakie są na to szanse?

Nazwisko, którym zwracał się do mnie tamtej nocy, zatrzymuje mnie w miejscu.

— Próbowałam ci powiedzieć, że nią nie jestem.

Robi krok w moją stronę, napierając na mnie, i kładzie dłoń na ścianie obok mojej głowy.

— Nie obchodziło mnie, kim jesteś, gdy zobaczyłem, jak obserwujesz tamtą parę.

— Ja wcale... — zaczynam szybko, pragnąc zaprzeczyć.

— Nie marnuj oddechu na kłamstwa. To było zajebiście seksowne. Tak samo jak ty.

Ma w oczach takie pożądanie, że czuję, jak gorąco rozchodzi się od moich sutków aż do lechtaczki. Wmawiałam sobie, że to jedynie atmosfera klubu i obserwowanie tej drugiej pary sprawiły, że nasze spotkanie było aż tak napięte, ale teraz widzę, że się myliłam.

To on. Ten człowiek odziany jest w pewność siebie i siłę, nie tylko elegancki garnitur.

— Nie mogę tego zrobić tutaj. Nie teraz.

— Zrobić czego? Przecież tylko rozmawiamy.

— Jestem w pracy.

Unosi brew.

— To może później?

Trudno mi się sprzeciwić reakcji własnego ciała, zwalczyć impuls, żeby wyciągnąć dłoń i dotknąć jego twardej piersi, pamiętać, dlaczego powinnam jak najszybciej zbiec w dół po tych schodach.

— Nie mogę. Ta noc... to był błąd.

Przyciska drugą dłoń do ściany, zamykając mnie między swoimi ramionami jak w klatce. Jednak nie czuję się osaczona, zamiast tego moje ciało ogłasza bunt i pragnie owinać się wokół niego.

Boże, tak pięknie pachnie.

Zmuszam się do stłumienia tych reakcji i zaciskam pięści, żeby powstrzymać się od dotknięcia go.

— Błąd? Tak sobie powtarzasz? Bo ja pamiętam co innego: piękną kobietę, która odpowiadała na moje polecenia, więc mogłem sprać jej tyłek, aż stał się czerwony, a potem pieprzyć ją, aż doznała takiego orgazmu, że bałem się, że jej cipka zmiażdży mojego kutasa.

O mój Boże. Jego słowa są niczym oliwa dolana do płonącego we mnie ognia i nie jestem w stanie odpowiedzieć w żaden rozsądny sposób.

Opuszcza głowę i muska moje czoło wargami, przesuwając je w stronę ucha.

— Nie mogłem przestać o tym myśleć.

Nie jestem w stanie nic powiedzieć, jedynie biorę drżący oddech.

— Spotkajmy się znowu. Dzisiaj wieczorem.

Unoszę głowę, spoglądając w jego palące oczy.

— Ale...

— Powiedz „tak”, do cholery, a przysięgam, że tego nie pożałujesz.

— Nie mogę.

Lodowatoniebieskie oczy lśnią tłumioną energią.

— Ależ możesz i chcesz to zrobić. — Opuszcza jedną rękę i wyciąga coś z kieszeni.

To wizytówka.

Wciska mi ją w dłoń.

— Do zobaczenia wieczorem.

Wycofuje się, nie odrywając spojrzenia od moich oczu, aż wreszcie odwraca się, żeby ruszyć po schodach z powrotem na górę. Ja nadal tkwię w miejscu jak wmurowana, gdy znika w drzwiach.

Co jest ze mną nie tak, do cholery? Nawet nie zapytałam, jak się nazywa.

Bardziej niż czegokolwiek innego pragnę pognać za nim, ale...
Standish.

Cholera. Wsuwam wizytówkę do biustonosza i biegnę.

Gdy docieram do biura, widzę, że nie ma w nim nikogo. Standisha nie ma również na korytarzu ani na parkingu i ochrona zaprzecza, jakoby widziała kogoś odpowiadającego jego rysopisowi.

MEGHAN MARCH

Świetnie, kurna, świetnie.

Na mój telefon przychodzi esemes.

Keira: *Aukcja się zaczyna. Gdzie jesteś?*

Cholera.

Szybko wstukuję odpowiedź.

Temperance: *Już idę.*

Pędzę do windy i wjeżdżam na górę. Wysiadając, słyszę, że aukcja pierwszego przedmiotu już się rozpoczęła.

Standish ma zajebistego pecha i nie zamierzam wziąć za to winy na siebie.

Kolejne kwoty płyną z ust aukcjonera wartko jak rwący strumień, gdy przeciskam się przez tłum, żeby znaleźć moją szefową i wyjaśnić, dlaczego rzeźby Gregora Standisha nie będzie na aukcji.

Gdy zerkam na scenę, staję w miejscu.

O słodki Panie. To nie może się dziać naprawdę.

Na scenie stoi rzeźba, jednak nie jest to bezkształtna żółta masa.

Nie.

To moja rzeźba.

Rozdział 8

Temperance

— Czy mam dwadzieścia tysięcy? — pyta aukcjoner i w odpowiedzi tabliczki wznoszą się w powietrze, gdy padają kolejne kwoty. Trzydzieści tysięcy. Czterdzieści. Czterdzieści pięć.

Krew odpływa mi z głowy i mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Licytacja spowalnia i aukcjoner wreszcie ją kończy.

— *Sprzedane...* panu z numerem trzydzieści siedem za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Gratulacje, sir. Następny przedmiot to...

Przestaję słyszeć, co mówi, szukając w tłumie numeru 37, jednak nie widzę nigdzie takiej tabliczki ani ludzi gratulujących szczęśliwemu zwycięzcy.

Kto, u licha, zapłaciłby pięćdziesiąt patyków za moją rzeźbę? To nie może się dziać naprawdę.

W żołądku mi się przewraca, jakby skakało w nim stadko ropuszek. Przeciskam się przez tłum, szukając Keiry. Stoi z boku sceny w towarzystwie wysokiego, ciemnowłosego i przystojnego męża.

Na mój widok robi zbolałą minę.

O, cholera, cholera, cholera. Zaraz wylecę z pracy.

— Nie wiem, co się stało — szepczę, kiedy tylko się do nich zbliżam.
— Standish zadzwonił i próbowałam go namierzyć i... nie mam pojęcia, jak to tu trafiło.

Zamiast patrzeć na mnie z dezaprobatą, Keira krzywi się.

— Strasznie cię przepraszam!

— Co?

— To moja wina. Aukcjoner powiedział mi, że brakuje nam jednego przedmiotu, więc powiedziałam ludziom, żeby przynieśli z twojego biura ostatnią rzeźbę niezależnie od tego, czy Standish się pojawił, czy nie. Przynieśli tę i nie uświadomiłam sobie błędu, zanim nie znalazła się na scenie i nie zaczęła się licytacja. Może możemy ją odzyskać? Wyjaśnić, co zaszło, i anulować transakcję?

— Żartujesz? Jeśli ktoś chce za to zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów, to czy naprawdę sądzisz, że zamierzam go od tego odwozić? Zwłaszcza że pieniądze idą na szczytny cel.

— Jesteś pewna? Zapłacę, żeby ją dla ciebie odzyskać, przysięgam.

Potrząsam głową w zdumieniu, jednak zanim zdążę odpowiedzieć, podchodzi do nas przepiękna kobieta z długimi czarnymi włosami i klepie Keirę w ramię.

— Musisz mi powiedzieć, kim jest autor tej rzeźby. Zostałam przelicytowana, ale wiem z całą pewnością, że to nie jest Gregor Standish.

Zaczyna się. Nie ma mowy, żeby ktoś mógł wziąć moją sztukę ze złomu za dzieło Gregora Standisha.

— W życiu nie licytowałabym tak wysoko jednego z tych jego szkaradzeństw wyglądających jak stopione kredki świecowe.

Ze zdumienia odejmuje mi mowę.

Keira spogląda raz na kobietę, raz na mnie.

— Musisz zapytać Temperance. To ona była koordynatorką aukcji, a ta rzeźba pojawiła się w ostatniej chwili i została źle opisana. Musimy o tym poinformować nabywcę i zobaczyć, czy w związku z tym nie zechce anulować swojej oferty.

Kobieta wyciąga do mnie dłoń i odruchowo nią potrząsam.

— Nazywam się Valentina Hendrix, jestem właścicielką galerii Noble Art. Jeśli nabywca się wycofa, to kupię tę rzeźbę w tej samej cenie. Chcę ją mieć i chcę poznać nazwisko artysty, który ją stworzył.

Jakimś cudem udaje mi się zachować pokerową twarz po tych deklaracjach. Noble Art to jedna z najlepszych galerii w Dzielnicy Francuskiej. Jest tak droga i prestiżowa, że nigdy nie ośmieliłam się na nic więcej niż zagłądanie z chodnika przez witrynę do środka.

— Temperance? — ponagla mnie Keira, gdy nic nie odpowiadam.

Odzyskuję mowę i wraz z nią zdolność do kłamstwa.

— Zdaje się, że artysta oferował ją anonimowo. Niestety nie mogę podać nazwiska.

Jedna z idealnych ciemnych brwi Valentyny unosi się.

— Anonimowo, hm? — Przygląda mi się w sposób, którego nie potrafię zinterpretować. — Już to gdzieś słyszałam.

Cholera, wie, że kłamię.

— Przepraszam, muszę znaleźć kupca i wyjaśnić mu zaistniałą pomyłkę.

— Bądźmy w kontakcie, Temperance. Podtrzymuję swoją ofertę.

Nadal w szoku, przemierzam tłum, mamrocząc pod nosem „przepraszam” raz za razem. Nie wiem, co mogłabym powiedzieć.

Dzisiejszy wieczór nie mógłby bardziej różnić się od tego, czego się spodziewałam, nawet gdyby cały budynek nagle zapadł się pod ziemię.

Przemykam z boku sceny zbudowanej na potrzeby aukcji i próbuję zwrócić na siebie uwagę asystenta aukcjonera, który zajmował się przenoszeniem przedmiotów. Unosi palec, po czym wynosi kolejny przedmiot.

Po chwili wraca i schodzi ze sceny, gdy aukcjoner rozpoczyna licytację następnego przedmiotu.

— W czym mogę pomóc?

— Kto kupił tę pierwszą rzeźbę? Muszę porozmawiać z tą osobą. Wzrusza ramionami.

— Jakiś mężczyzna, ale nie jestem pewny, kto to był. Tam w rogu jest stolik, przy którym przyjmujemy pieniądze, może uda się go tam złapać.

Rany, czemu sama o tym nie pomyślałam?

Zapewne dlatego, że mój mózg nie funkcjonuje prawidłowo po wszystkich niespodziankach, które miały dzisiaj miejsce.

— Dzięki.

Kieruję się w przeciwny koniec pomieszczenia, gdzie przy stoliku zbierane są datki i pieniądze za wylicytowane przedmioty. Siedzący za nim mężczyzna unosi na mnie wzrok sponad stosu papierów.

— Muszę porozmawiać z osobą, która kupiła pierwszą rzeźbę, zanim dokona zapłaty.

— Już za późno, zapłacił.

— On? Jak wyglądał?

Mężczyzna ma na sobie okulary ze szklami grubymi jak denka od butelek.

— Nie jestem pewny. To był mężczyzna.

— Starszy niż pan? Młodszy? Siwy? Z fioletowymi włosami?

Przyjmuje wyraz twarzy pełen dezaprobaty.

— Obawiam się, że nie sporządziłem rejestru jego cech, ale mam jego czek, jeśli to pomoże.

Otwiera teczkę i go wyjmuję. Wyrrywam mu papier z dłoni.

— „Nunya Holdings Sp. z o.o.”?

— Tak. Ma wysłać kogoś po rzeźbę jutro rano. Powiedział, że nie może jej zabrać dziś wieczorem.

— Dziękuję.

Gdy się odwracam od stolika, telefon znowu wibruje. Spoglądam na niego.

Gregor Standish.

Bezwzględny książę

Och, dobry Boże. Ciekawa jestem, czy dowiedział się, że w miejsce jego rzeźby wystawiono na sprzedaż inną. Będzie żądał mojej głowy na półmisku.

Odrzucam połączenie, przełączając je na pocztę głosową.

Może poczekać do jutra.

Rozdział 9

Temperance

Po finale imprezy i skończonych porządkach w restauracji spotykam się z Keirą w swoim biurze. Obie wpatrujemy się w nierozpakowaną do końca ohydną, żółtą, rozpływającą się masę.

— Czy Standish do ciebie dzwonił? — pytam.

Kiwa głową.

— Jakież osiem razy. Przełączyłam na pocztę głosową.

— Tak mi przykro.

— To nie twoja wina. To by się nie zdarzyło, gdyby raczył pojawić się na czas. Jeśli będzie robił jakiegokolwiek problemy... Cóż, sama wiesz, że rozjadę go jak ołowianym walcem.

— Wyobrażam sobie — mówię drwiąco. Gdyby Standish choć spojrzął krzywo na Keirę, wątpię, by mógł jeszcze kiedykolwiek wykonać jakąkolwiek rzeźbę. — Pewnie lepiej będzie, jeśli to ja z nim porozmawiam. Nie chciałabyśmy, żeby zniknęła czy coś w tym stylu.

Keira śmieje się, ale obydwie wiemy, że to nie do końca żart.

— Znalazłaś kupca?

Potrząsam głową.

— Niezupełnie, ale mam nazwę jego firmy i ma przysłać kogoś jutro, żeby odebrał rzeźbę. Znajdę go i dam mu możliwość wymiany na oryginalną lub wycofania oferty.

— A jeśli się nie zgodzi?

Spoglądam przez ramię na stopionego kaktusa.

— To Standish może sobie odebrać swoją rzeźbę i zabrać do domu.

Keira śmieje się.

— Przysięgam, nigdy nie zrozumiem współczesnej sztuki. Szczerze mówiąc uważam, że twoja rzeźba była tysiąc razy fajniejsza i nie wyglądała jak musztardowy glut.

Czuję po tych słowach rozchodzące się w brzuchu ciepło. Wiem, że mówiąc „twoja rzeźba”, odnosiła się jedynie do faktu, że byłam jej właścicielką, ale ten komplement i tak sprawia mi przyjemność.

— Dzięki.

— Naprawdę mi przykro, że to skopałam. Jeśli uda ci się znaleźć podobną, zapłacę za nią.

Zaciskam wargi.

— To nie będzie konieczne.

— Mówię szczerze. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

— Nie sądzę, żeby istniała druga taka sama, ale doceniam ofertę.

— Pragnąc zmienić temat, dodaję: — Dam ci znać, gdy już skontaktuję się z kupcem i porozmawiam ze Standishem.

Uśmiecha się do mnie ciepło.

— Chciałabym, żebyś wiedziała, że w czasie wakacji chcę przeprowadzić rozmowy kwalifikacyjne, żeby zatrudnić dodatkową osobę do pomocy. Wiem, że planowanie imprez nie jest twoim ulubionym zajęciem, więc chcę mieć kogoś, kto będzie się tym zajmował.

Czuję ucisk w żołądku.

— Och... Dobrze... Ale nie chodzi o to, że sobie z tym nie radzę?

— Oczywiście, że nie! Nie powinnaś tak myśleć. Zdaję sobie sprawę, że masz w tej chwili mnóstwo pracy, a ja nauczyłam się na tobie

MEGHAN MARCH

polegać, bo wiem, że jesteś taka jak ja — nie odpuszczasz, choćby nie wiem co. Rozumiem jednak, że nie da się tego robić zbyt długo, nie ryzykując wypalenia, a nie chciałabym, żeby cię to spotkało.

— Och, dziękuję. Doceniam to.

— Możesz już iść, zajmę się resztą spraw dzisiaj wieczorem. Harowałaś jak wół, żeby ta impreza się udała, więc może idź się zabawić.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie. — Keira kiwa głową.

— W takim razie nie będę protestować. — Chwytam torebkę z szuflady biurka i wychodzę, żegnana machnięciem ręki Keiry. Gdy docieram do samochodu, przypomina mi się rozkaz, który otrzymałam.

„Spotkajmy się znowu. Dzisiaj wieczorem”.

Otwieram bronco i wsiałam do środka. Przez ułamek sekundy rozmyślałam, czy nie wyjechać z miasta i nie skierować się na krętą wiejską drogę, która zaprowadzi mnie do bramy pewnej posiadłości...

Ale zamiast tego skręcam w prawo.

Przejeżdżam przez trzy skrzyżowania, po czym gwałtownie zawracam na środku drogi przy akompaniamencie cudzych klaksonów.

Rozdział 10

Temperance

Z każdym przejechanym kilometrem rosną moje oczekiwania — jak również wrażenie, że jestem kompletnie szalona. To jednak nie zmienia faktu, że ciało aż mi wibruje od nerwowego podekscytowania.

Nie powinnam tego robić. Jestem tego świadoma bardziej niż własnego imienia.

Nie podejmuję już w życiu pochopnych decyzji. Zbyt ciężko pracowałam na osiągnięcie tego, co mam teraz, żeby poważać się na zbędne ryzyko.

Tak, parę miesięcy temu szukałam takiego klubu jak ten. Moja ciekawość wzrosła, gdy usłyszałam, jak gracze z Voodoo Kings rozmawiają o tym, dokąd pojedą po imprezie ostatekowej. Pod koniec tego samego tygodnia usłyszałam przy lunchu końcówkę rozmowy dwóch pań wspominających o klubie, w którym zachowuje się anonimowość i można realizować swoje fantazje.

Dwa takie zdarzenia w jednym tygodniu sprawiły, że stało się to naprawdę kuszące, jednak moje próby odnalezienia takiego miejsca nie przyniosły efektów. Czy odważyłabym się pójść do Przystani, gdybym ją wtedy odkryła?

Bardzo wątpliwe.

Najbardziej prawdopodobnym zakończeniem byłoby położenie się do łóżka z jakąś świńską książką i zabawką erotyczną, po czym zrobiłabym sobie dobrze przed pójściem spać.

To, co wydarzyło się tamtej nocy, *było* błędem, nawet jeśli ten nieznamy się z tym nie zgadza.

Dziewczyny takie jak ja nie mogą sobie pozwolić na lekkomyślność. Rzadko dostajemy w życiu szanse, więc zmarnowanie ich ma poważne konsekwencje.

Jak więc brzmi moja dzisiejsza wymówka? Szaleństwo? Ciekawość? Jedno i drugie?

Stwierdzam, że to nie ma znaczenia, gdy podaję nazwisko komuś po drugiej stronie domofonu zamocowanego na słupie przy bramie. Teraz, gdy wiem, co się za nią kryje, kute żelazo wydaje mi się jeszcze bardziej dekadentkie.

Ktoś naprawdę nie szczędził pieniędzy i zatroszczył się o to, żeby otoczenie budynku było równie idealne jak jego wnętrze. Drzewa są starannie przycięte, zwieszające się z nich mchy wydają się artystycznie udrapowane, przyćmione światła wzdłuż podjazdu wzmagają jeszcze kuszącą atmosferę tego miejsca. „Chodź!”, wołają. „Nie wahaj się. Nigdzie indziej nie znajdziesz takiego miejsca jak to... a już na pewno takiego mężczyzny jak on.”

Moje rozmyślenia zostają nagle przerwane.

— Witamy z powrotem, szanowna pani — słyszę głos w domofonie i brama się otwiera.

Trzymam stopę na hamulcu i zastanawiam się po raz tysięczny, odkąd zawróciłam w tę stronę, co ja, do cholery, wyprawiam.

Zawróć, mówię sobie. Zawróć i nie oglądaj się za siebie. Zapomnij o tym miejscu i o tym mężczyźnie i wróć do swojego bezpiecznego, nudnego życia.

W głowie rozbrzmiewają mi ostrzeżenia brata na temat przychodzących tu ludzi. Złych ludzi. Czy to oznacza, że mój nieznajomy jest jednym z nich? A jeśli nawet tak... to czy mnie to w ogóle obchodzi?

Zaciskam mocno powieki i słyszę w głowie jeszcze inny głos, tym razem donioślejszy.

Masz tylko jedno życie. Żyj, korzystaj z niego i niczego nie żałuj.

Gdy te dwa głosy kłócą się w mojej głowie, brama znowu zaczyna się poruszać — za chwilę zamknie się i zostanie na zewnątrz — a to z kolei uczyniłoby mój wewnętrzny spór bezcelowym, jako że pozabawiono by mnie wyboru.

Moja dłoń, spoczywająca na rączce biegów i gotowa wrzucić wsteczny, pod wpływem instynktu robi coś wręcz przeciwnego. Wrzucam gaz, opony piszczą na asfalcie i samochód rusza, nim brama zamknie się, odcinając mnie od miejsca, do którego przyjechałam.

Jeszcze tylko ten jeden raz.

Ukradnę jeszcze jedną noc i odejdę. Mogę to zrobić. Rafe nigdy się o tym nie dowie. Nikt nie będzie o tym wiedział: tylko nieznajomy i ja.

Z tym mocnym postanowieniem biorę kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Przede mną jedzie jeszcze jeden samochód, biały mercedes. Zatrzymuje się i parkingowy odbiera od wysiadającego mężczyzny kluczyki. Na widok innego gościa uspokajam się nieco, przynajmniej na chwilę, po czym uderza mnie kolejna myśl.

A co jeśli zobaczę kogoś, kogo rozpoznam lub kto może rozpoznać mnie? Potrzebuję maski, a nie jest to coś, co wożę w swoim bronco. Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej?

Gdy mercedes odjeżdża, z drzwi frontowych wychodzi kolejny zamaskowany mężczyzna i zbliża się do mojego samochodu. Ma na sobie podobny garnitur jak odźwierni i parkingowi, których widziałam poprzednim razem, jednak w innym kolorze. Obchodzi auto i moje zdenerwowanie sięga zenitu.

— Poinformowano mnie, że może pani potrzebować pewnego akcesorium.

Mój umysł, który i tak jest skołowany samą bliskością tego miejsca, natychmiast podsuwa mi obrazy dziesiątek różnych akcesoriów, o które mogłoby chodzić.

— Słucham? — pytam, odsuwając się nieco od drzwiczek.

Przygląda mi się z ciekawością i wyjmuje coś srebrnego z kieszeni na piersi, po czym wyciąga to w moją stronę.

— Pani maska.

— Och, tak, dziękuję. — *Czego się spodziewałaś, Temperance? Klamer na sutki?*

— Proszę wysiąść z auta i pokazać swoją kartę, pomogę pani zawiązać maskę.

Moją kartę?

— Chwileczkę. — Odwracam się od okna, wyjmuję wizytówkę z biustonosza — ma się tę klasę, prawda? — i podaję mu ją.

— Dziękuję, proszę pani.

Wyślizguję się z samochodu, po czym pochylam się, sięgając po torebkę. Zawieszam ją na ramieniu, odbieram od mężczyzny maskę i staję do niego plecami. Sprawnie zawiązuje ją, a ja nieco poprawiam, nim znowu odwracam się w jego stronę.

— Proszę za mną.

Wyraźne unikanie używania mojego nazwiska jest jasnym sygnałem, że ceni się tu anonimowość, co mi najzupełniej odpowiada. Wolę, żeby tak właśnie było.

Starając się okazać większą pewność siebie, niż naprawdę czuję, idę za mężczyzną po schodkach prowadzących do drzwi frontowych. Gdy się otwierają, znowu zostaję przeniesiona do innego świata.

We wnętrzu rozlega się powolne, rytmiczne dudnienie basów, dochodzące z wyższych pięter, które jest niczym puls budynku.

Zastanawiam się, czy dziś wieczorem będę miała okazję zobaczyć pomieszczenie, z którego dochodzi muzyka.

— Ja się panią zajmę — słyszę znajomy głos. Głos, którego nie chciałam tutaj słyszeć.

Moje spojrzenie wędruje ku kobiecie stojącej u wejścia do holu. To najlepsza przyjaciółka mojej szefowej, Magnolia Maison.

Panie w niebiosiach, jakie były na to szanse? Nie odpowiadam na własne pytanie, bo rzeczywiście, któż mógłby się spodziewać spotkania najsłynniejszej burdelmamy w seksklubie? Oczywiście, że to było do przewidzenia, ale...ja się tego nie spodziewałam. A teraz... ona mogłaby o tym opowiedzieć mojej szefowej. *Świetnie.*

Opuszczam głowę i udaję, że kaszlę, dzięki czemu mogę skryć dolną połowę twarzy w żalostnej próbie zatarcia swojej tożsamości. Liczę, że dzięki temu uda mi się w przyszłości uniknąć niezręcznej rozmowy z Keirą.

— To tu nie zadziała, *chérie*. Musimy porozmawiać. — Magnolia kiwa na mnie palcem. — Chodźmy.

— Ale... — zaczynam protestować, jednak ona odwraca się i rusza w głąb domu.

— Nie martw się. Nie spóźnisz się — rzuca, odwracając się przez ramię. — Jego jeszcze tu nie ma.

Przełykam ślinę, czując jak żołądek fika mi koziołka. *Jak dużo wie?* Gdybym miała zgadywać, założyłabym, że *wszystko*, ponieważ tak właśnie działa Magnolia.

Prowadzi mnie w głąb korytarza do urządzonego z przepychem pokoju, który wygląda trochę na buduar, a trochę na biuro. Ściany pokryte są złoto-czerwoną tapetą i to odważne zestawienie pasuje do osobowości Magnolii, przynajmniej na tyle, na ile ją znam.

— Zamknij za sobą drzwi.

Zamykam drewniane skrzydło i opieram się o nie, przyciskając torebkę do boku.

— Proszę, nie mów Keirze o tym, że tu byłam. Ta decyzja nie ma nic wspólnego z pracą. To... sprawa osobista. I szczerze mówiąc, naprawdę nie chcę się z tego tłumaczyć, rozumiesz?

Magnolia odwraca się ode mnie i moich błagań i ujmuje w dłoń kryształową karafkę, stojącą na mosiężnym wózekczku barowym z lustrzanymi półkami. Ze strzępków informacji, które do mnie docierały, wiem, że Magnolia była burdelmamą od lat — przynajmniej do czasu wypadku sprzed kilku miesięcy, w którym ona, a także Keira i ja, zostałyśmy ranne.

Znowu otwieram usta, żeby wypełnić ciszę i zapytać, co robi, jednak rezygnuję z tego, gdy Magnolia się odzywa.

— Wszystko, co dzieje się tutaj, jest sprawą *osobistą, chérie*. — Zerka na mnie przez ramię, wkładając z powrotem korek do karafki. — Keira nie musi o niczym wiedzieć, tak samo jak jej mąż. Potrafię dochowywać tajemnic. — Zaczynam odczuwać niepokój, gdy odwraca się w moją stronę i unosi szklaneczkę do pomalowanych na czerwono ust. — Zaproponowałabym i tobie, ale obydwie wiemy, że byś odmówiła.

To stwierdzenie — i znajomość moich preferencji — umacnia mnie w przekonaniu, że Magnolia Maison nie jest osobą, którą można by lekceważyć.

Dłonią, w której trzyma szklanekę, wskazuje na skórzany fotel, zwrócony oparciem w stronę nierozpalonego kominka.

— Usiądźmy i porozmawiajmy przez chwilę.

Nie wiem, dlaczego jej słucham, ale nogi same prowadzą mnie w kierunku fotela. Magnolia siada na szeszlunku obitym wytłaczaną tkaniną.

— Kto wie o tym, że tu jesteś? — pyta i nie jest to pytanie, którego się spodziewałam.

— Nikt.

Przechyła głowę na bok.

— Gdy spotykasz się z niebezpiecznym mężczyzną, zawsze powinnaś kogoś poinformować, dokąd się wybierasz. Tak nakazuje rozsądek.

— Niebezpiecznym?

— Och, dziewczyno, naprawdę nie masz pojęcia, w co się wpakowałaś, prawda?

Myślę o mężczyźnie, którego spotkałam wcześniej w destylarni. Zaprosił mnie tu i nie byłam w stanie się oprzeć.

Nie chcąc wydawać się tak naiwna, jak na to wygląda, prostuję się na fotelu.

— Potrafię o siebie zadbać.

Magnolia uśmiecha się, po czym odrzuca głowę do tyłu i wybuchając serdecznym śmiechem.

— Boże, jesteś tak samo uparta jak Ke-ke. Kiedyś też musiałam jej wytłumaczyć, jak działa świat, nie spodziewałam się jednak, że będę to musiała tłumaczyć tobie. Powinnaś już wiedzieć, że ludzie nie zawsze są tacy, jacy się wydają.

Uczucie niepokoju powraca.

— Co masz na myśli?

— Wiem o tobie, o twojej rodzinie, o tym, skąd pochodzisz.

Sztywnieję i unoszę podbródek.

— No i?

— Nie musisz zaraz przyjmować postawy obronnej, dziewczyno, nie chcę ci zagrozić. Chcę ci pomóc.

— Jak niby? — zaczynam trafić cierpliwość.

— Dając ci kilka pomocnych rad. Po pierwsze wszystko, co się dzieje w klubie, zostaje w klubie. Nie wynoś tego na zewnątrz, bo wtedy właśnie sprawy mogą przyjąć ryzykowny obrót.

— Brzmisz, jakbyś uważała, że w ogóle nie powinnam się tu znaleźć.

Pociąga kolejny łyżeczek ze szklanki.

MEGHAN MARCH

— Wcale nie. Możesz tu przychodzić i pieprzyć się, ile zechcesz. Jestem ostatnią osobą, która chciałaby cię za to osądzać. Musisz jednak uważać. Bądź sprytna. Pamiętaj, że to nie jest twój świat i nie masz narzędzi, żeby uporać się z konsekwencjami swoich poczynań, jeśli wyniesiesz jakieś informacje poza klub. Mężczyzna, od którego jesteś uzależniona, jest piekielnie uprzejmy, ale jeszcze bardziej niebezpieczny.

Przychodzi mi do głowy milion pytań, jednak gdy otwieram usta, żeby zadać pierwsze z nich, ktoś puka do drzwi.

Magnolia spogląda na nie, po czym jeszcze raz patrzy mi oczy.

— Czekaj mnie kolejne spotkanie. Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała, masz mój numer. On powinien już tu być. Baw się dobrze, Temperance, ale nie zapominaj o rozsądku.

Rozdział 11

Temperance

Ostrzeżenie Magnolii ciąży mi na barkach, gdy idę za prowadzącym mnie mężczyzną po kręconych schodach.

Ciężko pracowałam, żeby umknąć przez niebezpiecznym życiem, jakie prowadzi mój brat, jednak najwyraźniej udało mi się wdepnąć we własne kłopoty. Po tym, co usłyszałam od Magnolii, powinnam się skierować do drzwi frontowych, odebrać kluczyki od samochodu i pełnym gazem oddalić bez oglądania się za siebie.

Ale tego nie robię.

Rozmowa z Magnolią wywarła na mnie wręcz odwrotny wpływ. Żadna część mnie nie chce uciekać. Zamiast tego z każdym krokiem robionym w kierunku tego mężczyzny — niebezpiecznego mężczyzny — czuję, jak moje zmysły budzą się, a serce bije coraz mocniej.

Nie wiem, co jest ze mną nie tak, ale czuję, że ryzyko mnie pociąga. Może jestem jak ćma lecąca do płomienia, który ją spali, a może nie mogę już dłużej funkcjonować bez tego, czego mi brakowało. *Ekscytacji. Ryzyka.* Nie żyłam, lecz jedynie wegetowałam.

Co więcej, z ostrzeżenia Magnolii wypływa też fałszywe poczucie bezpieczeństwa — jeśli nic nie wyjdzie poza te mury, mogą flirtować z niebezpieczeństwem, jednak uniknąć zranienia.

Nie jestem na tyle głupia, żeby ryzykować swoje bezpieczeństwo, jednak myśl o naginaniu zasad, które sobie narzuciłam, i o tym, żeby wreszcie zacząć żyć, sprawia, że adrenalina zaczyna mi krążyć w żyłach. Po miesiącach przeżytych jakby we śnie wreszcie czuję się w pełni przytomna i ożywiona.

Obstawa doprowadza mnie bliżej miejsca, gdzie — jak się spodziewam — czeka mój nieznajomy. Zalewają mnie wspomnienia pierwszego pobytu tutaj i czuję, jak krew zaczyna we mnie wrzeć.

Gdy zatrzymuję się przed drzwiami na drugim piętrze, wiem już, że ostrzeżenia Magnolii dzisiaj niczego dla mnie nie zmienią. Pragnę tego, co może mi dać ten mężczyzna. Wezmę to i odejdę bez żalu.

— Przyjemnego wieczoru — mówi mój przewodnik i odchodzi.
Przyjemnego? Liczę na rozkosz i zamierzam się w niej w pełni zanurzyć.

Z lekkim uśmiechem na twarzy sięgam do gałki i przekręcam ją. Czuję zapach starego papieru i widzę wewnątrz wypełnione regałami z książkami. *Biblioteka?*

Świeci się tylko jedna lampka, rzucając jasny krąg na dwa duże, skórzane fotele — obydwie są puste. Jednak tym razem wiem już, że nie powinnam zakładać, że jestem tu sama.

— Gdzie jesteś?

— Zastanawiałem się, czy przyjdiesz. — Głos dobiega z cienia, jakby tam właśnie było jego miejsce, jakby tam właśnie żył.

Może ja też mogę... przez jakiś czas.

Odwracam się w kierunku głosu, czując przypływ mocy.

— Wątpiłeś we mnie?

— Obawiałem się, że ty zwątpisz w siebie. Cieszę się, że się myliłem. Rzuć torebkę i odwróć się.

Skoro tylko słyszę rozkaz, zapominam o wszystkich ostrzeżeniach i obawach. *Potrzebuję tego.*

W tym pokoju nie muszę być sobą, nie muszę być szanowaną i odpowiedzialną Temperance Ransom. Nie muszę się martwić, że zrobię coś źle lub coś zawalę. Nie ja tu rządę i to uczucie uderza mi do głowy.

Zwłaszcza, że *on* podejmuje decyzje.

Odkładam torebkę na podłogę i odwracam się do niego plecami.

— Grzeczna dziewczynka — słyszę aprobatę w jego głosie. — A teraz usiądź w fotelu po prawej.

Obchodzę fotel i siadam, wbijając palce w wytłaczane podłokietniki.

Czarny prostokąt przede mną rozjaśnia się jak włączony telewizor, jednak okazuje się być oknem, ukazującym wewnątrz sąsiedniego pokoju.

Znowu raj dla podglądacza. Moje podekscytowanie wzrasta do chwili, gdy uświadamiam sobie, na co patrzę.

To biuro, w którym byliśmy ostatnio.

— O mój Boże, ktoś nas wtedy oglądał? — Mój głos unosi się o oktawę, a serce zaczyna walić jak oszalałe. Obracam głowę na bok, jednak nie jestem go w stanie dostrzec przez szerokie oparcie fotela, na którym siedzę.

— Czy to by ci się podobało?

— Nie miałam na twarzy maski. — Moje myśli wirują jak oszalałe. Próbuję sobie przypomnieć układ pokoju i gdzie mogło się w nim znajdować okno, przez które teraz zaglądam. — Zobaczyliby...

— Wszystko — kończy za mnie i jego głos słychać teraz z mniejszej odległości. — Ale ja nie lubię publiczności, to nie w moim stylu.

Oddycham z ulgą, zapadając się w miękki fotel, i nie mam już wrazenia, że serce za chwilę mi eksploduje.

— Dzięki Bogu.

— Ale gdyby było inaczej... — głos rozlega się tuż ponad moim ramieniem. Sztywnieję, gęsia skórka pokrywa odsłonięte ramiona i barki. — ...to jakież zająbicie piękny widok by im się ukazał. Ty przełożona

przez biurko. Odcisk mojej dłoni na twoim tyłku. Twoja słodka cipka na widoku, gdy rozłożyłaś nogi. Ten widok został wypalony w moim mózgu, jednak nic nie podnieca mnie bardziej niż myśl o tym, jak wyglądałaś, obserwując tamtą parę. Chcę znowu patrzeć, jak kogoś podglądasz.

Po tych słowach oblewam się gorącym, które jeszcze narasta, kiedy drzwi do drugiego pokoju otwierają się, w chwili gdy stojący w rogu zegar wybija pierwszą.

Siadam prosto na fotelu, gdy kobieta ubrana w elegancką garsonkę, dość podobną do tej, jaką miałam na sobie tamtej nocy, wchodzi do biura w towarzystwie mężczyzny w spodniach od garnituru i koszuli z podwiniętymi rękawami.

Patrzę, jak mój nieznajomy — człowiek, którego znam w sensie biblijnym, lecz żadnym innym — podwija rękawy koszuli, odsłaniając muskularne i wytatuowane przedramiona, było jedną z najbardziej podniecających, erotycznych rzeczy w moim życiu. Tak naprawdę do tej kategorii zalicza się wszystko, co działo się w tamtym biurze i co z niego widziałam.

Krzyżuję mocno nogi, kiedy kobieta zatrzymuje się przed biurkiem. Moje ruchy nabierają większego znaczenia, gdy uświadamiam sobie, że on obserwuje *mnie*. Odwracam się, żeby sprawdzić, gdzie się znajduje.

— Nie martw się, widzę cię dostatecznie dobrze. Patrz na nich. — Jego głos znowu rozlega się gdzieś w cieniu, jednak tym razem z innego kąta pomieszczenia, z którego prawdopodobnie ma bezpośredni widok na mój fotel, ale niezbyt dogodny ogląd tego, co dzieje się w drugim pokoju.

Jak, u licha, porusza się tak bezgłośnie? Jest niczym duch.

— Jest inaczej, gdy wiem, że tu jesteś. Nie mogę po prostu o tym zapomnieć.

W odpowiedzi śmieje się chrapliwie.

— Nawet nie waż się o mnie zapominać. A teraz patrz na nich.

Przyjmuję to jako wyzwanie i odrywam wzrok od ciemnej sylwetki w mroku, skupiając się zamiast tego na mężczyźnie, który właśnie rozpina kołnierzyk koszuli, krążąc wokół kobiety przed sobą.

— Myślałaś, że nie zauważę, jak dotykasz się pod stołem podczas spotkania? — pyta, kompletnie zanurzony w roli, którą ma odgrywać.

Chyba że... w Przystani też znajduje się jakaś sala konferencyjna i odbywają się spotkania? Ta myśl uderza mnie nagle, ale odkładam ją na później, gdy on zatrzymuje się obok kobiety przy biurku.

A tak przy okazji, nie jestem w stanie zapomnieć o moim nieznanym. Nawet patrząc na rozgrywającą się przede mną scenę, nie przestaję czuć na sobie jego spojrzenia.

— Nie potrafiłaś utrzymać swoich paluszków z dala od tej spragnionej małej cipki nawet przy ludziach, prawda?

Jej spojrzenie skierowane jest w dół, ale cała aż emanuje podekscytowaniem i wiję się niecierpliwie w butach na wysokich obcasach. *Czy ja tak właśnie wyglądałam, gdy stałam w tym samym miejscu, obserwując inną erotyczną scenę?*

— Odpowiedz mi albo kara będzie dwa razy surowsza.

Przygryza wargę.

— Nie, nie mogłam się powstrzymać.

— Chciałaś się dotykać, chociaż wszyscy mogli cię widzieć?

— Tak — szepcze, ale nie pobrzmiwa w tym wstyd, tylko triumf. — Wiesz, że lubię...

— Wiem, co lubisz, kotku. I będziesz miała swoją publiczność. Odwróć się i rozstaw nogi.

O mój Boże, oni wiedzą, że ich obserwujemy. Ta myśl pojawia się w mojej głowie, a po niej „a przynajmniej mam taką nadzieję”. Sama nie chciała-bym, żeby ktoś mnie podglądał bez mojej wiedzy.

Zaraz, a czy chciałabym, żeby ktoś mnie obserwował, gdybym była o tym uprzedzona? Sztywnieję w fotelu na tę myśl, ale zapominam o niej, gdy kobieta słucha jego rozkazu, a on kładzie dłoń na jej krzyżu i przyciska ją do blatu.

Wtedy to byłam ja.

— Czy pamiętasz, jakie to uczucie, gdy twoje cycuszki były przyściśnięte do blatu? Jak to było, gdy rozłożyłaś nogi, czekając na to, co zamierzałem zrobić?

Jego głos staje się głębszy, chropawy, i moje sutki prężą się niemal boleśnie. Zmieniam pozycję na fotelu i rozkrzyżowuję nogi.

— Odpowiedz.

— Tak, pamiętam.

— To dobrze. — Moją uwagę zwraca szelest rozpinanego zamka, jednak nie dobiega z drugiego pokoju.

O mój Boże, czy on...

— Twoje oczy właśnie stały się cholernie wielkie — mówi mój nieznajomy. — Czy chciałabyś widzieć mojego kutasa w dłoni?

Zaciskam palce na poręczach, czując, jak majteczki zalewa fala wilgoci.

— Rozsuń nogi — poleca.

— Ale...

— To nie ty tu rządzisz, księżniczko. A teraz rozsuń nogi.

To niweczy resztki mojego oporu. Rozsuwam nogi, naprężając maksymalnie spódnice.

Mężczyzna w biurze ściąga krawat i przykłada go do pleców kobiety.

— Skoro nie potrafisz panować nad swoimi dłońmi, oznacza to, że muszę je skrępować, żebyś już nie mogła łamać zasad. — Owija jej nadgarstki krawatem i związuje razem.

— Podoba ci się to? Patrzenie, jak ją wiąże? — pyta z rogu mój nieznajomy.

Odchrząkuję i z trudem dobywam z siebie głos.

— Tak.

To wyznanie sprawia, że zalewa mnie kolejna fala wilgoci.

On wydaje z siebie chrypliwy jęk, co sprawia, że odrywam wzrok od tamtego mężczyzny, który sprawdza siłę więzów, i próbuję przebić spojrzeniem mrok, pragnąc zobaczyć *jego*.

— Podciągnij spódnicę. Chcę widzieć więcej.

Przygryzam w odpowiedzi wargę. Jego słowa są bardziej chropawe, a ton głosu budzi we mnie coś, co tylko on potrafi we mnie wyzwolić. Pragnienie *posłuszeństwa i wyzbycia się kontroli*.

Nie waham się, nie kwestionuję rozkazu, rozluźniam palce wcześnie kurczowo w oparciu fotela i chwytam za skraj spódnicy.

— Wyżej. Pokaż mi wszystko.

Podciągam spódnicę, aż ukazują się koronkowe ściągacze pończoch. Z każdym kolejnym centymetrem czuję się odważniejsza.

— Więcej.

Nie przestaję, aż wreszcie widać czarne majteczki.

— Patrz na nich, nie na mnie.

Chłodne powietrze owiewa moją skórę, gdy zmuszam się do spojrzenia na okno.

Dlaczego wtedy nie mogłam oderwać wzroku od pary w sypialni, a teraz zarys sylwetki w ciemności wydaje mi się bardziej hipnotyzujący niż scena rozgrywająca się przede mną?

Bo to on.

Słyszę odgłos uderzenia, po którym rozlega się jęk kobiety i to przyciąga moją uwagę do pary przede mną.

O mój Boże, on daje jej klapsy w tyłek.

Komentarz nieznanego wygłoszony wcześniej — o tym, że ktoś mógłby widzieć ślad jego dłoni na moim tyłku — przypomina mi się nagle z całą siłą. Kto by pomyślał, że taki widok może być tak cholernie seksowny?

— Dotykaj się. Chcę zobaczyć, jak wsuwasz palce do majtek.

Znowu na niego spoglądam.

— Nie patrz na mnie, patrz na nich, albo zostaniesz ukarana.

Poruszam biodrami na fotelu, bo nie mogę złączyć ud.

— Kurwa, to podnieca mnie jeszcze bardziej niż to, co robią oni. Jesteś większą świntuszką, niż mogłem się spodziewać. A teraz zacznij poruszać palcami.

Zupełnie jakby kontrolował moją dłoń, unoszę ją i sięgam między uda. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Nigdy nie dotykałam się, gdy ktoś inny patrzył. Najbliższe temu doświadczeniu było, kiedy omal nie zaczęłam się masturbować wtedy w biurze, nim zorientowałam się, że jednak nie jestem tam sama.

Moje palce zawisają nad koronką.

— Raz — słyszę jego głęboki głos. — Dwa...

Wiem bez pytania, że to odliczanie oznacza moją karę za to, że się waham.

Gdy wsuwam palce pod koronkowe majtki, on wydaje z siebie kolejny jęk.

— Kurwa, nie masz nawet pojęcia, jak zajebicie seksowna jesteś teraz, z zadartą spódnicą, rozłożonymi nogami i palcami o cal od tej ciasnej cipki, której nie byłem w stanie wyrzucić ze swoich myśli. *A niech mnie.* — Ostatnie dwa słowa wypowiada szeptem jak modlitwę i to mnie ośmiela.

Pod majteczkami przesuвам palcem wzdłuż wilgotnej szparki. Palec gładko ślizga się po nagromadzonej tam wilgoci.

Przygryzam wargę, jednak i tak wrywa mi się stłumiony jęk. Rozchyłam wargi i otwieram usta, gdy muskam swoją lechtaczkę.

— Jesteś mokra?

Scena przede mną przekształca się w chór jęków i staję się coraz odważniejsza. Unoszę dłoń z lśniącym od wilgoci czubkiem palca.

— Bardzo. — Uśmiecham się z kocim zadowoleniem.

Jego warknięcie sprawia, że między moje nogi napływa kolejna mokra fala.

— Niegrzeczna dziewczynka. Poliz to, chcę wiedzieć, jak smakuje.

Bezwzględny książę

Wypuszczam powietrze, wahając się.

— Już.

Unoszę drżące palce do ust i smakuję własną lekko kwaskowatą słodycz.

— Powiedz mi, jak smakujesz.

Naglący ton jego głosu znowu dodaje mi odwagi.

— Dlaczego sam się nie przekonasz?

Rozdział 12

Temperance

Wiem, że w ten sposób sprawdzam granice. Nie mogę nic na to poradzić. Wyzwolił we mnie coś, czego nie jestem w stanie kontrolować.

— To ja tu podejmuję decyzje, księżniczko. Zdejmij majtki. Chcę widzieć, jak pieścisz się palcami. — Jego głos brzmi jak niski warkot.

Czy to oznacza, że on też traci nad sobą kontrolę? Czy chciałabym, żeby tak było?

Spoglądam w ciemność, zastanawiając się.

Nie, chcę, żeby był na tyle silny, by móc odebrać mi kontrolę i utrzymać ją.

— *Już!*

To słowo pada z ciemności niczym rozkaz i przystępuję do działania. Ściągam w dół strzępek czarnej koronki i kopnięciem zrzucam z kostek.

— Rzuć je mnie.

Sięgam w dół, unoszę majtki, zwijam je w kulkę i ciskam w jego kierunku. Jego dłoń wyłania się z ciemności i chwyta je w powietrzu, po czym unosi do twarzy.

— Pachniesz niewiarygodnie i założę się, że smakujesz jeszcze lepiej. Włóż palce do cipki. Chcę patrzeć, jak doprowadzasz się do rozkoszy.

Jak to możliwe, że patrzenie, jak cień mężczyzny wacha moje majtki, jest bardziej seksowne niż obserwowanie tego, co dzieje się w pokoju obok? Zupełnie o nich zapomniałam, bo mężczyzna będący tu ze mną jest milion razy bardziej magnetyzujący z tym swoim szorstkim głosem, którym wydaje mi sprośne polecenia.

Szybko uzależniam się od tego głosu i tych rozkazów.

— Nie chcesz kazać mi czekać.

To ostrzeżenie wydaje się chłostać mi skórę i staję się nagle jeszcze bardziej świadoma nieprzyzwoitej pozycji, w jakiej siedzę. Moje palce zawisły nad skrajem prawej pończochy, tak blisko mojej muszelki.

Czy naprawdę to zrobię?

Odpowiedź pojawia mi się umyśle bez najmniejszego wahania.

Oczywiście, że tak, ale najpierw sprawię, że będzie tego pragnął tak samo jak ja.

Moja dłoń ląduje na podbrzuszu, a palec wędruje wzdłuż wcześniej odkrytej ścieżki.

Nie wypełniam jedynie rozkazów — odgrywam dla niego przedstawienie.

Mój palec okrąża lechtaczkę. Wzrok zaczyna mi się przyzwyczajać do ciemności, w której on siedzi. Jego dłoń zaciska się na moich majtkach.

— Nie kazałem ci się ze sobą drażnić.

— Trudno.

Porusza się szybciej niż się spodziewałam. Zrywa się z fotela, wsuwając penis z powrotem do spodni i zapinając guzik, po czym szybko przechodzi przez pokój i staje tuż przede mną. Przykuca i otwarty rozporek rozsuwa się, pozwalając mi ujrzeć fragment żylastego trzonu.

— Moje oczy są tutaj.

Spoglądam na niego, podczas gdy on opiera ramiona na oparciach fotela, więżąc mnie między nimi. Spomiędzy palców jego prawej dłoni wygląda koronka moich fig.

— Nie przestawaj z mojego powodu. Dopiero zaczynamy. — Pochyla się, zbliżając twarz do moich nóg i wciąga głośno powietrze. — Boże, naprawdę mam ochotę cię skosztować, ale najpierw chcę, żebyś pieprzyła się palcami.

Oniemiałam. Kompletnie odbiera mi mowę. Moje ciało jednak nie uległo takiemu samemu paraliżowi jak język.

Moje palce żyją własnym życiem i wślizgują się między nogi. Nie odrywam spojrzenia od jego twarzy i niebieskich oczu płonących pożądaniem.

Czy kiedykolwiek ktoś patrzył na mnie w ten sposób? Jakby mógł umrzeć z głodu, jeśli zaraz mnie nie skosztuje?

Czuję siłę i jestem coraz bardziej podniecona. Palce wślizgują się głębiej, rozsuwając wargi sromowe, odsłaniam się pod jego spojrzeniem.

To nieprzyzwoite, lubieżne, rozpustne... i *jestem tym zachwycona.*

— Jeszcze.

Wsuwam jeden palec do środka i jęczę, rozsuwając szerzej kolana.

— Tak, kurwa.

Moje biodra zaczynają się poruszać rytmicznie. Pieprzę się dla niego. Jęczę coraz głośniej, on również.

Widzę, że powoli traci nad sobą panowanie, jednak nie szybciej niż ja. Mój orgazm zbliża się prędzej niż kiedykolwiek w życiu. Z drugiej strony nigdy nie doświadczyłam niczego równie nieprzyzwoitego.

— Doprowadź się do szczytowania.

Nie czekałam na jego pozwolenie, jednak rozkaz przyspiesza wejście na kolejny poziom.

Gdy widzę, jak jego nozdrza rozszerzają się, wzrok zaczyna zasnuwać mi się mgłą. Poruszam dłonią szybciej, wsuwając palec coraz głębiej i trąc kantem dłoni o łechtaczkę.

— Tak blisko!

Wyciągam palce i przyciskam mocno łechtaczkę. Moje ciało reaguje na to tak, jakbym właśnie wcisnęła guzik uruchamiający detonację.

Rozdział 13

Temperance

Z gardła wyrywa mi się schrypnięty krzyk, całe ciało napręża się, a biodra kołyszą na fotelu.

Pokryta odciskami dłoń wyjmuję moją spomiędzy ud i wsuwa sobie moje palce do ust.

O mój dobry Boże, to najseksowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

Oblizuje palce do czysta i wydaje z siebie jęk.

— Słodka... kwaskowata i tak bardzo jedwabista... — Puszczam moje palce i wstaje, po czym obejmuje mnie obiema dłońmi w talii.
— Za chwilę zostaniesz wyruchana naprawdę mocno.

— Och, Boże, tak!

Kiwam głową, on jednak już podnosi mnie z fotela, tak jakbym nic nie ważyła, i opiera o ścianę. Skoro tylko stawia mnie na nogi, przyciskając do ściany, wyjmuję z kieszeni kondom.

— Wyjmij mojego kutasa.

Odpinam guzik w spodniach i jedwabny materiał osuwa się, uwalniając jego penis. Nakłada na niego kondom i mocno pociąga.

— Dasz radę to znieść? Bo właśnie ty do tego doprowadziłaś. To właśnie kupiłaś sobie tym przedstawieniem. To twoje seksowne jęki,

gdy dochodziłaś, doprowadziły do tego, tak samo jak smak twojej słodkiej cipki.

— Tak — mój głos brzmi błagalnie, bo nigdy nie pragnęłam niczego bardziej.

— To dobrze.

Znowu chwyta mnie w talii i unosi do góry.

— Obejmij mnie nogami.

Wyciągam ręce, żeby chwycić go za mocne barki i wykonuję polecenie, unosząc jedną nogę i owijając wokół jego wytatuowanego biodra.

Niemożliwe, żeby mógł...

Jednak on przesuwa się do przodu i ustawia w wejściu do mojej dziurki. Niebieskie oczy wbijają się w moje, gdy wchodzi we mnie aż po samą nasadę.

Między nami przechodzi żywa, nieskrępowana energia, jakby prąd. Jego nozdrza rozszerzają się, gdy ściska mnie mocniej, unosi moją drugą nogę i owija ją sobie wokół biodra, po czym wycofuje się i wbija we mnie znowu.

O tym właśnie nie przestawałam marzyć od ostatniego razu, gdy uciekłam z Przystani jak przerażone małe dziecko. O jego dominacji, jego zawładnięciu mną... i jeśli mam być szczerą, to również o jego kutasie.

Wbija się we mnie i wycofuje, a ja mam wrażenie, jakby robiąc to, drażnił wszystkie możliwe zakończenia nerwowe w moim ciele.

Unosi mnie wyżej i bez wysiłku utrzymuje w zapierającym dech pokazie siły. Wyginam ciało, ocierając się łechtaczką o jego twarde brzuch, kiedy zastyga w bezruchu.

Gdy znowu ze mnie wychodzi, jestem gotowa błagać.

— Proszę, potrzebuję dojść.

Zrywa wreszcie nasz kontakt wzrokowy i zerka w stronę okna pokazującego biuro.

— Popatrz na nich. Popatrz na nich teraz.

Odwracam głowę w stronę okna. Mężczyzna pieprzy przerzuconą przez biurko kobietę z rękami związanymi na plecach.

Jej usta są otwarte, jakby jęczała z rozkoszy, ale nie jestem w stanie nic usłyszeć poprzez szum w uszach i własny ciężki oddech.

— Chcę, żebyś dla mnie doszła, chcę, żebyś krzyczała tak głośno, że będą w stanie cię usłyszeć nawet przez dźwiękoszczelne ściany.

Znowu zwracam na niego wzrok i zapominam o parze w drugim pokoju.

— Trzymaj się.

Chwytam mocniej jego barki, a on niesie mnie na kanapę i układa w taki sposób, że moje biodra wspierają się na oparciu. Gdy już siedzę, znowu zaczyna wbijać się we mnie, uderzając jakiś punkt w środku pod idealnym kątem. Wije się pod nim, rzucam, jęczę i znajduję się na granicy obłędu, gdy wsuwa jedną dłoń między nas, po czym dotyka kciukiem mojej łechtaczki.

Własny krzyk rani moje uszy, jednak naprawdę nie obchodzi mnie, kto słyszy, ponieważ rozkosz, której teraz doświadczam, jest czymś niespotykanym i niepojętym.

Mam wrażenie, że rozpadam się na kawałki.

On nie pozwala mi przestać. Orgazmy następują jeden za drugim, on zaś nie ustaje i wyzwala jedną falę rozkoszy za drugą. Chrypnę, jednak nadal jęczę i krzyczę jak dzikie zwierzę, którym być może się stałam. Tak właśnie na mnie działa.

Jestem zupełnie pod jego kontrolą.

Moje ciało już nie należy do mnie.

Należy do niego. Ja należę do niego.

Tracę poczucie czasu, przestrzeni i wszystkiego innego, zanurzam się jedynie w intensywnej przyjemności, która przepływa przeze mnie. Wreszcie on krzyczy chrapliwie i czuję pulsowanie jego członka.

Wychodzi ze mnie i opada na kolana, skłaniając czoło na oparciu kanapy między moimi udami. Jedną dłonią obejmuje moją łydkę.

Czuję się wiotka, jakby pozbawiona kości. Jestem w takim stanie, że fakt, iż leżę przerzucona przez oparcie sofy, a męczyzna spoczywa między moimi udami, w ogóle mnie nie peszy.

Czuję przemożne zmęczenie i powieki same mi się zamykają. Jestem zbyt wycieńczona, żeby zrobić cokolwiek, więc odpuszczam wszystko.

Gdy się budzę, otacza mnie ciepło. Jestem owinięta grubym, miękkim kocem i czuję jakiś ciężar na brzuchu.

Mrugam kilkukrotnie, nim wzrok przystosuje się do przyćmionego światła w pomieszczeniu. Nadal leżę w bibliotece na niewielkiej sofie. Dwustronne lustro jest ciemne, a na brzuchu mam butelkę wody, z tych kosztownych, których normalnie bym nie kupiła. Obok niej widzę liścik.

To wystarcza, żebym wiedziała, że on wyszedł.

Nie chciałem zostawiać Cię samej, ale musiałem wyjść.

Chcę się znowu z Tobą zobaczyć.

To, że wyszedł, nie martwi mnie. Czuję zamiast tego ciepło nie tylko dlatego, że jestem owinięta puszystym kocem.

Chce się znowu ze mną zobaczyć.

Dlaczego tak mi przyjemnie to wiedzieć?

Czy ja chcę się znowu z nim zobaczyć?

Gdy tylko zadaję sobie to pytanie, odpowiedź jest dla mnie jasna.

Tak, zdecydowanie.

Rozwijam się z kokonu i staję na drżących nogach, podpierając się dłonią na oparciu kanapy, żeby złapać równowagę. Uśmiecham się lekko, widząc, że pończochy i sukienka znajdują się na swoim miejscu, a buty stoją obok torebki.

Gdy wsuwam je na stopy, uświadamiam sobie, że jednak czegoś brakuje w pokoju oprócz mojego nieznanego.

Nie mam swoich majątek.

Tłumię chichot, zaciskając usta.

A to świntuch. Nie mam pojęcia, dlaczego tak mi się to podoba, ale tak jest.

Schodzę na dół, odbieram swój samochód i ruszam w długą drogę do domu, nie mogąc się powstrzymać od odtwarzania w myślach naszego spotkania.

Gdy wreszcie kładę się we własnym łóżku, moje ciało czuje się rozkosznie wykorzystane i zaczynam kwestionować swoje zdrowe zmysły.

Nic nie wiem o tym człowieku poza tym, że jest niebezpieczny, a przynajmniej tak twierdzi Magnolia.

Jednak nawet to nie pozwala opanować nasilającego się uzależnienia.

Racjonalny umysł mówi mi, że nie mogę tak nadal postępować, że dzisiaj to musiał być ostatni raz. Tak byłoby roztropnie. To nie jest bezpieczne. Jednak ciało się z tym nie zgadza.

Muszę to robić nadal.

Jednak widzę pewną olbrzymią przeszkodę — nie mam jak się z nim skontaktować.

Motyle w moim brzuchu zamierają.

A jeśli on mnie nie odnajdzie?

Ale wiem, że to zrobi. On też to czuje.

Zasypiam z uśmiechem na twarzy.

Rozdział 14

Temperance

Następnego poranka, zamykając bronco na parkingu Seven Sinners, nadal myślami jestem w skotłowanej pościeli i nieprzyzwoitych snach, z których budziłam się spocona i z błaganiem. Każde napięcie obolałych mięśni sprawia, że szczegóły ostatniej nocy stają mi przed oczami jak żywe.

Jestem uzależniona od tego nieznanego i nie obchodzi mnie, że to szaleństwo.

Wszystkie te myśli ulatniają się z mojej głowy niczym woda z rozpalonego blaszanego dachu, gdy rozlegają się krzyki.

— Jak śmiałaś sprzedać jakiś złom jako moją sztukę!

Obelgi Gregora Standisha są niczym cios pięścią w żołądek. Artysta zatrząskuje drzwiczki swojego range rovera i rusza w moją stronę z twarzą pokrytą z wściekłości czerwonymi plamami.

— Panie Standish...

— Czy w ogóle widziałas ten śmieć? — Macha w moją stronę gazetą, podchodząc bliżej.

Odsuwam się z zasięgu jego wymachujących ramion i odchrząkuję.

— Proszę pana, jeśli pozwoli mi pan...

— Umieścili *moje nazwisko* pod zdjęciem tej ohydy. Do lunchu cały świat artystyczny będzie się ze mnie śmiał.

— Proszę pana...

— Nie mogę pozwolić, żeby moje nazwisko utożsamiono z tym pozbawionym wszelkiego smaku śmieciem udającym sztukę!

Każde wypowiedane przez niego słowo jest bezpośrednim ciosem potwierdzającym tylko to, czego zawsze się obawiałam: że moja sztuka nie jest dość dobra, żeby ktoś chciał ją oglądać. Czuję palące łzy napływające do oczu. Śmierć marzenia nigdy nie jest bezbolesna, nawet jeśli katowski topór znajduje się w rękach aroganckiego dupka.

Prostuję ramiona, nie chcąc pozwolić, żeby zauważył, jak celnie trafiają jego słowa. Nie może się dowiedzieć, że ta rzeźba została stworzona przeze mnie. Nikt nie może się dowiedzieć.

— Wystarczy, panie Standish. Jeśli chce pan złożyć skargę, może to pan zrobić w sposób cywilizowany, w przeciwnym razie będę zmuszona poprosić pana o wyjście stąd — staram się brzmieć autorytatywnie, mimo że wewnątrz jestem zupełnie załamana. Zbyt późno już na wznoszenie barier obronnych, ale teraz nie mam innego wyjścia, jak tylko udawać.

Twarz Standisha przyjmuje jeszcze intensywniejszy odcień czerwieni i gdyby nie był aż takim palantem, być może martwiłabym się o jego ciśnienie krwi. W obecnej sytuacji jednak mam gdzieś jego ewentualne problemy zdrowotne, skoro odnoszę wrażenie, jakby żywcem mnie patroszył.

— Moja sztuka — moje *autentyczne* dzieło sztuki — znajduje się w tym budynku i jeśli spróbujesz mnie powstrzymać od zabrania go, zniszczę tę firmę i tę sukę, która ją prowadzi.

Gdy tylko zaczyna obrażać Keirę, czuję, że wstępują we mnie nowe siły, jakby ktoś nagle wstrzyknął mi stal w kręgosłup.

— Panie Standish, w pana najlepszym interesie będzie przestać w tej chwili — zaczynam. On otwiera usta, żeby powiedzieć coś

nieprzyjemnego, jednak nie pozwalałam sobie przerwać. — Konsekwencje pana działań, jeśli pan tego nie zrobi, na pewno się panu nie spodobają.

Wyraz jego twarzy staje się złośliwy.

— Nie mów mi, co mam robić. Nie rozumiesz, z kim masz do czynienia.

Już mam na końcu języka, że to on nie wie, z kim ma do czynienia, i kolejne tego typu uwagi sprawią, że skończy w worku na zwłoki, jednak się powstrzymuję. Tego człowieka nie da się w tym momencie uspokoić ani rzeczową argumentacją, ani groźbami, zupełnie stracił nad sobą kontrolę.

— Sprawdziłem cię, gdy przestałaś odbierać moje telefony. Dyrektorka operacyjna? Dobre sobie! Nadal jesteś po prostu sekretarką. — W jego spojrzeniu błyska okrucieństwo i widzę, że go to cieszy. — Nie wiem, dlaczego byłem zaskoczony. Jesteś śmieciem z bagien, i tak właśnie wyglądała ta rzeźba. Chcę wiedzieć, kto stworzył ten kawałek złomu, i zamierzam wyciągnąć konsekwencje z faktu, że podał go za moje dzieło.

Trafiony. Zatopiony.

Zamiast jednak zatoczyć się w tył i dać mu poznać, jak bardzo mnie to ubodło, prostuję się.

— To była autentyczna pomyłka, panie Standish, i chciałam zauważyć, że nie doszłoby do niej, gdyby pozwolił nam pan przenieść pańską rzeźbę samodzielnie lub też zjawił się o umówionej porze zgodnie z instrukcjami, które panu przesłałam.

Marszczy nos, jakby ktoś podetknął mu kawałek gnijącego mięsa aligatora.

— Powinniście byli zaczekać. To tylko kolejny przykład waszego fatalnego zarządzania. To nie był niewinny błąd, to było zaplanowane.

Mam ochotę nawrzeszczyć na niego, że w żadnym razie nie była to *moja wina* i że w ogóle nie mógłby się bardziej mylić w każdym

z poruszanych przez siebie aspektów, ale wiem, że wrzaski na parkingu nie będą ani pomocne, ani produktywne.

Zastrzelenie go na parkingu mogłoby być lepszym rozwiązaniem, ale zdaje się, że w więziennych pomarańczowych ciuchach niezbyt byłoby mi do twarzy.

Ale brat mógłby mi pomóc pozbyć się ciała... Ta myśl sprawia, że na twarz wypływa mi krwiożerczy uśmiech.

— Nie będę się z panem dłużej kłócić, panie Standish. Proszę przyjmując moje przeprosiny. Zdaje się, że oboje możemy się zgodzić, że Dom Marii zebrał na wczorajszej aukcji mnóstwo pieniędzy, nawet pomimo tego błędu. Można zatem uznać, że osiągnęliśmy cel — a pan może zachować swoją rzeźbę i być może ofiarować ją w przyszłości jakiejś innej organizacji charytatywnej, co, mam nadzieję, przyniesie jej jeszcze większą finansową korzyść.

Gratuluje sobie w duchu, że udało mi się brzmieć jak osoba opanowana i profesjonalna, chociaż tak naprawdę mam ochotę mu wygarnąć, że jeśli Mount nie zabije go za to, co powiedział o Keirze, to zapewne prędzej czy później uczyni to ktoś inny, bo jest wrednym typem.

Twarcz Standisha marszczy się paskudnie, gdy rzuca się naprzód i chwytając mnie mocno za ramię, wpijając mi się palcami w skórę.

— Tylko plebejusz mógłby wymyślić coś tak prostackiego.

Wyrywam mu ramię. Jego paznokcie rysują mi skórę.

— Czy mamy tu jakiś problem?

Drzwi trzaskają, gdy Louis Artesian, kierownik do spraw procesów destylacyjnych, wychodzi z budynku i rusza w naszą stronę.

— Tak, mamy cholernie wielki problem — mówi Standish, odślaniając zęby.

Louis spogląda na mnie i pyta z troską:

— Czy mam wezwać ochronę?

Spoglądam w jego łagodne brązowe oczy, po czym znacząco patrzę na Gregora Standisha.

MEGHAN MARCH

— To zależy od pana Standisha. Jeśli chce odebrać swoją rzeźbę, najpierw musi się opanować.

— Jak śmiesz, ty...

Mój telefon dzwoni, przerywając mu, nim zdąży rzucić w moją stronę kolejną obelgę. Wyciągam aparat z torebki i spoglądam na ekran.
Keira.

— Przepraszam, panie Standish. Porozmawiam z panią Kilgore o pańskich uwagach. Jeśli zdoła się pan uspokoić, to być może zostanie pan wpuszczony do budynku celem odebrania sobie swojej rzeźby.

Odchodzę na bok, podczas gdy Standish pluje się do Louisa, ale nie oglądam się za siebie. Odbieram telefon.

— Dzień dobry, szefowo.

— Co się dzieje?

Otwieram tylne drzwi i starannie zamykam je za sobą na zamek.

— Standish robi awanturę na parkingu, rzucając oskarżenia i groźby. Próbowałam mu wszystko wyjaśnić, ale nie słuchał.

— Oczywiście, że nie. Nie jestem również tym zdziwiona, bo właśnie przeczytałam jednogwiazdkowe recenzje, jakie zostawił Seven Sinners na wszystkich możliwych platformach internetowych istniejących we wszechświecie. V i ja zaraz będziemy na miejscu. On się nim zajmie.

W świecie Keiry wyrażenie „zająć się kimś” oznacza coś innego niż dla większości ludzi.

Otwieram usta, żeby zapytać, czy to naprawdę konieczne, ale Keira już zdążyła się rozłączyć.

Nie tak wyobrażałam sobie ten dzień.

Rozdział 15

Temperance

Na szczęście nie muszę już więcej spotykać Standisha. Próbuję zabrać się do pracy i nie myśleć o tym, jak V może się nim *zająć*. Nie odnotowuję większych sukcesów. W pewnym momencie dzwoni telefon.

— Cześć, Temperance, tu Valentina Hendrix. Mam nadzieję, że będziesz mogła mi pomóc.

Proszę, niech to nie dotyczy tej rzeźby, błagam wszechświat. Po porannym brutalnym werbalnym ataku ze strony Standisha czuję się jak przepuszczona przez wyżymaczkę i nie mam emocjonalnego dystansu potrzebnego, żeby móc rozmawiać na ten temat.

Mimo wszystko staram się odezwać życzliwym tonem, jak przystało na osobę na moim stanowisku.

— Z przyjemnością pomogę, jeśli będę w stanie; co mogę dla pani zrobić?

— Mów mi Valentina, proszę. Jestem pewna, że już wiesz, czego chcę. Chodzi mi o nazwisko artysty, ponieważ nie udało mi się odkupić wczoraj tej rzeźby od zwycięzcy aukcji — urywa i zastanawiam się, co powiedzieć, ale nie zdążę. — Jeśli znasz nazwisko autora, to zrobiłabyś

tej osobie niedźwiedzią przysługę, gdybyś nie przekazała pewnych informacji.

— Jakich informacji?

— Takich, które mogą prowadzić do dużych zysków.

— Obawiam się, że...

— Wysłuchaj mnie, zanim cokolwiek powiesz.

Milknę.

— Nie wiem, czy jesteś tego świadoma, ale uwielbiam promować w Noble Art lokalnych artystów i mam przeczucie, że tę rzeźbę stworzył ktoś z okolicy. Było w niej zbyt wiele pasji jak na dzieło kogoś, w czyich żyłach nie płynie krew tego miasta.

Nic nie mówię, mając nadzieję, że moje milczenie pomoże jej szybciej przejść do rzeczy, i mam rację.

— Chciałabym kupić, a nie tylko zaoferować konsygnację, kilka podobnych dzieł i jestem gotowa dobrze za nie zapłacić, bo wiem, że będę mogła równie dobrze na tym zarobić. Mam kilku klientów, którzy kupią je, skoro tylko zostaną wyeksponowane w galerii.

Pewność w jej głosie to balsam na rany, które zadał Standish, jednak nie jestem jeszcze gotowa do udzielenia definitywnej odpowiedzi.

— Jeśli uda mi się nawiązać kontakt z artystą, przekażę tę informację. Nie mogę jednak czynić żadnych obietnic.

— Oferta jest bezterminowa — mówi i odrobinę się odprężam, chociaż słyszę nutkę triumfu w jej głosie. — Ale... będę szczerą. O tej rzeźbie stało się głośno dzięki aukcji i teraz dotyczące jej spekulacje i zainteresowanie sprawiają, że jest to doskonały moment, jeśli więc autor ma nosa do interesów, to byłoby bardzo mądrze z jego strony, żeby skontaktował się ze mną jak najszybciej.

Szczyć się swoim nosem do interesów, więc ta uwaga jest dla mnie niczym wyzwanie.

— Nie zapomnę o tym wspomnieć.

— Wiem, że większość artystów nie przejmuje się pieniędzmi, ale ci, którzy to robią... Zdziwiłabyś się, ile można zarobić na sztuce w tym mieście, jeśli właściwie się to rozegra. Nie jest to wcale tak trudne, jak można by się spodziewać, zwłaszcza jeśli ma się odrobinę sprytu. Możesz przekazać również i tę informację.

Włoski jeżą mi się na karku jak psu, który wyczuwa kłopoty. *Czy ona się domyśla?* Niektóre jej uwagi wydają się mieć na celu wzbudzenie mojej ciekawości, jednak nadal nie otrząsnęłam się z paskudnego uczucia po rozmowie ze Standishem, co rzuca cień na tę rozmowę.

— Przekażę to, ale nie obiecuję, że uda mi się uzyskać odpowiedź. — Staram się stłumić wszystkie emocje w głosie, co wymaga sporego wysiłku.

— Dziękuję, Temperance. Doceniam to. Pozwól, że podam ci najlepsze sposoby na skontaktowanie się ze mną.

Zapisuję e-mail i dwa numery telefonu Valentyny, następnie rozłączam się, zastanawiając, co u licha powinnam zrobić z tą informacją.

Ciągle wraca do mnie jedno zdanie: „Zdziwiłabyś się, ile można zarobić na sztuce w tym mieście”.

To nie ma znaczenia, powtarzam sobie. Sztuka nigdy nie zapewni mi takiej samej stabilizacji, jak regularna wypłata z Seven Sinners. Co więcej, spawanie kawałków metalu razem i nazywanie tego sztuką nie zapewni mi takiego szacunku, jakiego pragnę, zwłaszcza w środowisku artystów. Zbyt długo i zbyt ciężko pracowałam na swoją obecną pozycję, żeby choćby rozważać porzucenie jej w pogoni za szalonym marzeniem.

Jednak sprzedałaś rzeźbę za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, szepcze głos w mojej głowie.

— Tak, ponieważ była wystawiona pod cudzym nazwiskiem, o którym ludzie słyszeli i które cenią.

Z tego powodu czuję się jak oszustka. Nikt nie licytowałby, wiedząc, że osobą, która najpierw wyszukała odpowiednie kawałki metalu na

MEGHAN MARCH

złomowisku, a następnie poświęciła długie godziny na projektowanie i spawanie, byłam ja.

Jestem nikim. Ale przynajmniej wyrabiam sobie nazwisko w pracy.
A poza tym teraz i tak dostatecznie wiele ryzykuję.

Rozdział 16

Temperance

Zanim udaje mi się znaleźć miejsce parkingowe dwie przecznice od swojego mieszkania w Dzielnicy Francuskiej, mam wrażenie, że ciężar tego dnia ciągnie się za mną aż do bramy podwórza, która dziś przypomina mi kute wrota prowadzące do Przystani. Wygląda na to, że dzisiaj wszystko mi ją przypomina, a może po prostu nie chcę zapomnieć wczorajszej nocy.

Już jest prawie siódma, gdy otwieram bramę i idę, niosąc torebkę, wąską wyłożoną ceglami ścieżką na tylny dziedziniec. Z otwartego okna Harriet dobiega muzyka — oczywiście operowa — która wita mnie, gdy zatrzymuję się i przyglądam czemuś, co wygląda jak przygotowania do imprezy.

— Tempe, dziewczyno, czy to ty? — woła Harriet od strony obficie zastawionego stołu stojącego na zewnątrz, w cieniu olbrzymiego dębu, z którego zwieszają się długie pnącza. Wokół porozwieszane są światelka i lampiony zasilane energią słoneczną. Z dźwiękami muzyki i odległym gwarem miasta splata się szum fontanny na stawie z rybkami. Niebieska woda niewielkiego basenu odbija światelka, współtworząc nastrój.

Rozglądam się niespokojnie za innymi gośćmi, obawiając się, że przeszkadzam, jednak nikogo nie ma, przynajmniej na razie.

— Wyprawiasz przyjęcie?

Interakcje z ludźmi innymi niż moja gospodyni mogłyby być ponad moje siły dzisiejszego wieczoru.

Unosi kieliszek szampana, potrząsając głową.

— Przyjęcie? Nie, nie dzisiaj. Przyłącz się do mnie.

Stół zastawiony jest tak bogato, że normalnie byłoby tego o wiele za dużo dla jednej osoby, jednak Harriet wierzy, że należy czerpać z życia pełnymi garściami i żyć chwilą. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby zamówiła tyle jedzenia tylko dla siebie.

To jedyna osoba, której mogłabym wszystko opowiedzieć i dostać sensowną, rzeczową radę na temat oferty przedstawionej przez Valentinę. Harriet ma zmysł do interesów, jest właścicielką kilku sklepów w Dzielnicy Francuskiej, jednak żadnego z nich nie prowadzi osobiście. Zamiast tego maluje i podróżuje po świecie.

— Masz drugi kieliszek?

Ze śmiechem odchyła głowę do tyłu.

— Głupie pytanie.

Wyciąga kieliszek zza centralnej ozdoby na stole i sięga po butelkę szampana chłodzącą się w kubelku z lodem. Czuję, jak napięte mięśnie pleców odrobinę się rozluźniają. Nalewa mi do pełna, po czym podaje kieliszek.

Gdy unosi swój, żeby się ze mną stuknąć, mówi:

— Szampan jest dzisiejszą odpowiedzią. Nie obchodzi mnie, jak brzmi pytanie. Możesz to zapisać, jeśli chcesz, i cytować, ilekroć poczujesz się, jakbyś niosła na barkach ciężar całego świata, tak jak teraz. Musisz częściej uprawiać seks, dziewczyno.

Omam nie krztuszę się rześkim, musującym płynem i opuszczam kieliszek, kaszląc.

— Dziękuję za radę.

— Potrzebujesz czegoś więcej niż rady, potrzebujesz faceta, który wie, co robi. Najlepiej kilku facetów, żebyś mogła dokonać porównań. Niekoniecznie w tym samym czasie. — Uśmiecha się i puszcza do mnie oczko. — Chyba, że kręci cię coś takiego.

— Cóż... Już się za to biorę — urywam i zastanawiam się, jak dobrać słowa.

— Jasne, że tak. Znajdź odpowiedniego faceta i jazda!

Mam ochotę wypić szampana duszkiem, jednak z szacunku dla jego ceny biorę jedynie niewielki łyżeczek.

— Tak przy okazji, doskonały szampan. — W tym momencie gotowa jestem zmienić temat na jakikolwiek.

— Oczywiście, że tak. Już nie kupuję takich z metalową zakrętką. Nie mam już sześćdziesięciu lat.

Uwaga Harriet wywołuje śmiech, który wrywa mi się z gardła. Harriet naprawdę jest jedną z moich najbardziej ulubionych osób na całym świecie.

— Na pewno nie świętujemy dzisiaj jakiejś szczególnej okazji? — pytam, bardziej z chęci podtrzymywania rozmowy niż z innego powodu.

— Dzisiaj jest... — Spogląda na mnie, marszcząc brwi. — Jaki dzisiaj mamy dzień?

— Piątek.

Gestykuje kieliszkiem.

— Wreszcie piątek! Piąteczek, piątunio, jak go nazywam. Czy to nie wystarczający powód? Nie żeby trzeba było szukać specjalnych powodów poza tym, że nadal żyjemy na tym kawałku skały szybującym przez wszechświat.

— Też racja — przyznaję, unosząc kieliszek do ust, i znowu pociągam łyk, pozwalając, by orzeźwiający, cierpki alkohol wygładził potargane krawędzie mojej duszy.

Zwykle nie szukam pociechy w alkoholu, ale dzisiaj... dzisiaj jest mi wszystko jedno. W końcu nie piję whiskey... diabelskiego płynu,

który pogrążył mojego ojca. Seven Sinners było jego ulubioną whiskey, gdy miał pieniądze, co nie zdarzało się często.

Zakrawa na ironię fakt, że tam pracuję, prawda?

Harriet bierze porcelanowy półmisek, ozdobiony wzorem kwiatów i czaszek, i pakuje na niego różne pyszności.

— Masz, spróbuj tego dojrzewającego cheddara, to czysta rozpusta. A te winogrona smakują, jakby były zerwane przed chwilą. Tak przy okazji, kupiłam dzisiaj winnicę.

Unoszę podbródek w jej stronę.

— Co? Gdzie?

Podaje mi talerz.

— Oczywiście we Włoszech, gdzież indziej mogłabym kupić winnicę?

Ostawiam tacę z wędlinami, serami i owocami na stół i zamyślona sięgam po lnianą serwetkę, równocześnie obracając w myślach jej ostatnie zdanie.

— Długo to planowałaś?

Harriet śmieje się gardłowo, co natychmiast uświadamia mi, jak niemądre było to pytanie.

— Oczywiście że nie. Jeden z moich przyjaciół wspomniał dzisiaj, że krucho u niego z kasą i planuje sprzedać ją sąsiadowi, który jest gburem i obraził mnie, gdy tam byłam, mówiąc o moich pejzażach, że są *staroświeckie*. Zaproponowałam więc, że ją kupię, głównie żeby zrobić tamtemu na złość. Od lat jej pragnął, ale Pietrowi udało się ją utrzymać aż do teraz, chociaż zupełnie nie ma głowy do interesów. Dużo lepiej radzi sobie z cunnilingusem.

Krztuszę się kawalkiem sera właśnie włożonym do ust.

— Dobry Boże, dziewczyno, czy mam zastosować chwyt Heimlicha? — Harriet wymawia to słowo tak, jakby od urodzenia mówiła po niemiecku, co zresztą równie dobrze może być prawdą. Nic w tej

kobiecie nie jest mnie już w stanie zaskoczyć... no może poza użyciem słowa „cunnilingus” nad szampanem.

Zakrywam usta, kaszląc i potrząsając głową.

— To... interesujące.

— Żebyś wiedziała. Ma zupełnie unikalną technikę. Robi coś takiego z językiem... Nie, nie wiem, jak to wyjaśnić.

Zerka w niebo, jakby szukając właściwych słów, a ja zmieniam temat jak najszybciej, czepiając się pierwszej lepszej myśli.

— Jak sobie z tym radzisz?

— Och, zazwyczaj łapię go za włosy, ale zaczyna trochę łysieć na skroniach, więc...

Na szczęście niczego w tym momencie nie jem, więc nie ma ryzyka, że znowu się zadławię, i mogę jej szybko przerwać:

— Nie, nie, chodziło mi o negatywne komentarze dotyczące twojej sztuki.

— Ze strony idiotów o ciasnych umysłach? Zazwyczaj nie zwracam na nie uwagi. — Uśmiecha się słodko. — Ale czasami rujnuję im życie. To zależy od nastroju. Kiedyś skontaktowałam się z płatnym zabójcą...

— Odwraca wzrok, jakby przypominając sobie szczegóły, i aż obawiam się, co mogę za chwilę usłyszeć.

Nie mam cienia wątpliwości, że Harriet jest szalona, ale nie da się ukryć, że trochę ją podziwiam.

— Kazałaś kogoś zabić?

Jej rysy nagle wyostrajają się.

— Skarbie, nie wiesz, że do tego nigdy nie należy się przyznawać? To podstawy prawa. — Sięga po talerz i dokłada sobie jedzenia. — Skąd to nagle zainteresowanie zupełnie nieznaczącymi opiniami innych? Czyżby twoja *przyjaciółka* w końcu poszła po rozum do głowy i postanowiła sprzedać jedną z tych rzeźb?

Tym razem prawie dławię się wędliną.

Harriet od dawna nęka mnie, żebym sprzedała jedną z dwóch rzeźb, które mam w mieszkaniu. Moje meble nie są zbyt interesujące, ale Harriet jest zafascynowana niewielką rzeźbą przedstawiającą czaplę siwą, ulubionego ptaka mojej matki. Nie wiem, dlaczego ją zatrzymałam, ale nie jestem w stanie jej sprzedać.

Przez bite dziesięć sekund zastanawiam się, czy zapytać ją o radę, ale sprawa jest właściwie przesądzona. Szanuję opinie Harriet, nawet jeśli bywają dziwaczne.

— A żebyś wiedziała, tyle że to się stało przypadkiem.

Harriet uśmiecha się tak szeroko, że omal nie pękają jej policzki.

— Wiedziałam! Widziałam poranną gazetę, gdy jadłam pączka na śniadanie. Mowy nie ma, żeby ten kretyń Standish zdołał stworzyć coś takiego. Od razu rozpoznałam ten styl. To tylko pokazuje, do czego jest w stanie zniżyć się ten dupek! Żeby przypisać ją sobie!

Jej ocena sytuacji naprawdę mnie zadziwia.

— Tak naprawdę był wściekły, że przypisano ją jemu. Powiedział, że to śmieć.

Te słowa ranią moje gardło jak tłuczone szkło.

Uśmiech Harriet bladnie.

— Gdyby była jakaś winnica, którą chciałby kupić, podkupiłabym ją natychmiast. Ten człowiek to hańba dla artystów. W zeszłym tygodniu nazwał mnie szaloną staruchą, gdy zapytałam, skąd wziął tyle kredek świecowych, żeby stworzyć swoje ostatnie arcydzieło. Boże dopomóż, żeby nie zrobił nigdy niczego w kolorze brązowym, bo wyglądałoby to, jakby przegiął z nabiałem i postanowił wykorzystać własne ekskrementy jako surowiec.

Śmiech, wywołany bezlitosną oceną Harriet i jej złośliwym chichotem, płynie z mojego brzucha i jest niczym kolejny balsam na zblałą duszę.

Gdy obydwie przestajemy się śmiać, żeby złapać oddech i potrzytać się za bolące brzuchy, Harriet na chwilę poważniejsze.

— Zwykle nie byłabym tak surowa w ocenie sztuki, w końcu jest ona czymś subiektywnym, ale tego typu naprawdę nie znoszę.

Mam już na końcu języka słowa „po jego uwagach na temat Keiry być może nie będziesz musiała znosić go dużo dłużej”, jednak przypominam sobie dobrą radę Harriet dotyczącą prawa.

— Cóż, jego subiektywna opinia była bardzo bezwzględna.

Harriet zbywa to machnięciem ręki.

— Cóż, powiedziałabym, że pięćdziesiąt patyków, za które ta rzeźba się sprzedała, mówi samo za siebie.

To mi przypomina rozmowę z Valentiną.

— Właścicielka galerii pytała o więcej rzeźb tego samego artysty. Chce je bezpośrednio kupić, a nie tylko zaproponować konsygnację.

Harriet unosi blade brwi.

— Naprawdę? Powiedziałabym, że to liczy się o wiele bardziej niż opinia Standisha; nie żeby ta sztuka wymagała potwierdzenia w brzęczącej monecie, ale co twarda gotówka, to twarda gotówka. Czy twoja przyjaciółka zamierza się zgodzić?

Patrzę na bąbelki unoszące się w kieliszku.

— Nie wiem.

Harriet milczy tak długo, że znowu na nią spoglądam.

— Czy wiesz, że to byłby szczyt głupoty?

— Co?

— Nie przyjąć okazji do robienia czegoś, co sprawia, że twoja dusza jest naprawdę szczęśliwa, zwłaszcza gdy ktoś zamierza ci za to płacić.

Jej mądrość i wiedza w wyblakłych niebieskich oczach uderzają mnie jak obuchem.

— Powinnaś przekazać to przyjaciółce. Zupełnie za darmo. — Puszczą do mnie oczko.

— Ale co, jeśli... jeśli ona od dawna nie stworzyła niczego nowego? Co, jeśli nie jest pewna, czy nadal to potrafi? Co, jeśli brakuje jej czasu, bo ma prawdziwą pracę pozwalającą opłacać rachunki?

Harriet sący szampana.

— Wymówki są jak dupa. Każdy ma własną.

Śmieję się cicho, potrząsając głową.

— To prawda.

Wskazuje na zachodzące słońce.

— Każdy dzień ma dwadzieścia cztery godziny, które można wykorzystać, zwłaszcza gdy ma się dostęp do dobrych dragów. — Uśmiecha się, po czym znowu poważnieje. — Ale żarty na bok: wszystko się sprowadza do jednego pytania. Jak bardzo tego pragnie i co jest w stanie zrobić, żeby realizować to marzenie? Jeśli nie jest gotowa do poświęceń, zwłaszcza do poświęcenia tak prostego jak brak snu, to znaczy, że nie pragnie tego dostatecznie mocno.

Jak bardzo tego pragnę?

Czyż nie jest prawdą, że wszystko się do tego sprowadza? Nie miałam łatwego życia, czasem naprawdę musiałam walczyć jak lwica, by osiągnąć coś, czego pragnęłam: zdobyć wykształcenie, pracę w Seven Sinners, szacunek.

Nikt niczego mi nie dał. A teraz, po raz pierwszy w życiu, ktoś oferuje mi tę wielką szansę na srebrnej tacy, a ja się zastanawiam, czy sięgnąć po nią i chwycić obiema rękami?

To zupełnie nie w moim stylu. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle rozpoznaję siebie w tym niezdecydowaniu.

— Daj mi znać, kiedy w końcu będziesz gotowa przyznać, że nie istnieje żadna przyjaciółka artystka, tak żebyśmy mogły zacząć rozmawiać o tym, co *ty* zamierzasz z tym zrobić. Jeśli nie przyznasz się do swojego marzenia, to nigdy go nie zrealizujesz.

Wstaję i okrążam stół, żeby dolać sobie szampana, przetrawiając słowa Harriet. Nie są dla mnie zaskoczeniem — jest niezwykle spostrzegawcza. Biorę kolejny łyżeczek i odstawiam kieliszek na stół, postanawiając porzucić wszelkie pozory.

— Standish powiedział, że to śmieć i obraza dla oczu. — Wypowiedzenie tych słów na głos otwiera zadane przez niego rany i przywołuje moje wszystkie wątpliwości.

— Standish nie potrafiłby rozpoznać talentu, nawet gdyby dostał nim w twarz. Jest zbyt zajęty badaniem własnego otworu w dupie. — Harriet wyciąga drobną, pomarszczoną dłoń i ujmuje moją. — Skarbie, jeśli chcesz się tym zająć, będziesz musiała wyhodować sobie znacznie grubszą skórę. Zawsze natrafisz na krytyków, na ludzi, którzy będą w ciebie wątpić lub będą cię nienawidzić. Gdyby było inaczej, oznaczałoby to, że nie robisz tego właściwie. Jak to powiedziała Tay-Tay, *you have to shake it off* — musisz się z tego otrząsnąć.

Puszczaj moją dłoń i zbywaj mnie machnięciem ręki.

— A teraz idź się przebrać, znajdź jakieś kawałki metalu i lutownicę i *stwórz coś*. To znak, na który czekałaś, dziewczyno. Już czas.

Rozdział 17

Temperance

„Znajdź jakieś kawałki metalu i lutownicę”, powiedziała Harriet, jednak nie jest to wcale aż takie proste. A może jednak? Następnego ranka wyruszam bronco drogą, którą znam na pamięć i którą milion razy życzyłam sobie zapomnieć.

To droga do domu.

U innych podróży do domu może wywoływać nostalgię, ciepłe wspomnienia lub nawet podekscytowanie, jednak w moim przypadku jest to bardziej skomplikowane. Zwłaszcza że tak naprawdę już nie mam domu. Nasz stary zrujnowany domek, opuszczony od lat, zapewne już zapadł się w bagno. Tak czy siak, zamierzam zatrzymać się, zanim wjadę na gruntową drogę prowadzącą do miejsca, w którym spędziłam większość życia.

Przerdzewiała, podziurawiona śrutem żółta tablica z czarną strzałką wskazuje miejsce, do którego jadę. To już za następnym ostrym zakrętem.

To miejsce jest jednym z powodów, dla których moja twórczość wymaga czegoś więcej niż znalezienia metalu i lutownicy. Aby tam wejść, będę musiała poprosić o przysługę, a to jest coś, w czym

kiedykolwiek byłam dobra. Będę musiała też zmierzyć się z bolesnymi i gorzkimi wspomnieniami.

Może powinnam była najpierw zadzwonić?

Nie potrafiłabym przecież zapomnieć tego numeru, chociaż dawno już go usunęłam. Z drugiej strony mało prawdopodobne, żeby Elijah Devereux nagle zaczął odbierać telefon. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Żwir szeleści pod oponami samochodu. Hamuję i skręcam w szutrową drogę, prowadzącą do płotu z siatki zwieńczonego drutem kolczastym. Stare tablice z napisem „Zakaz wstępu” zarosły mchem, jednak Elijah dodał kilka nowych.

„Nie dzwonimy po policję”, głosi napis, pod którym wisi stary karabin AK-47.

Nieźle, Eli. I to prawda — w tych okolicach ludzie nie ufają policji tak, jak ufają własnej broni i amunicji.

Do autorytetów podchodzi się tu podejrzliwie, łatwiej jest pozbyć się ciała w bagnie, niż wyjaśnić szeryfowi po fakcie, co się wydarzyło.

Aligatory w tych stronach są dobrze karmione, a ich dieta nie składa się wyłącznie z ryb.

Co dziwne, brama z siatki jest częściowo uchylona. Mamy wprawdzie wczesny sobotni poranek, możliwe więc, że miejscowi zabrali się za majsterkowanie i potrzebują części ze złomowiska.

Devereux Recycling, niegdyś znane jako Złomowisko Devereux, to miejsce, w którym stworzyłam rzeźbę sprzedaną za pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Spoglądam na rzędy samochodów z rozbitymi szybami i z oponami, z których dawno uszło powietrze, i trudno mi uwierzyć, że całe to miejsce mogłoby być warte tyle pieniędzy, ale tak jest. Elijah dopilnował, żeby tak się stało.

Przejeżdżam przez bramę i zauważam psy w boksie obok przyczepy, w której, jeśli nic się nie zmieniło, mieszka Elijah. Światła w przyczepie

są pogaszone, ale to nie musi o niczym świadczyć. Może być gdziekolwiek. Elijah nie stosuje się do społecznie akceptowanych zasad, włączając w to te dotyczące pór odpoczynku i czuwania.

Psy ożywiają się i śliniąc, obserwują mój przejazd. Nie chciałabym z żadnym z nich spotkać się bez rozdzielającej nas siatki. Wątpię, żeby mnie kojarzyły, nawet gdyby była to ta sama para cane corso, którą pamiętam sprzed lat. To były agresywne psy, ale jednocześnie niezwykle lojalne.

Kiedyś, dawno, biegające nocą luzem psy słuchały moich poleceń. Ale nie jestem już tą dziewczyną, chociaż nadal czuję więź łączącą mnie z tym miejscem.

Promienie porannego słońca lśnią na wrakach samochodów jak okiem sięgnąć. Zajeżdżam pod kolorowy blaszany barak znajdujący się kilkadziesiąt metrów dalej.

O dziwo, nadal swobodniej czuję się na złomowisku w otoczeniu porozkładanych na części gruchotów niż na charytatywnej gali z kieliszkiem szampana w dłoni. To gorzka prawda, o której próbowałam zapomnieć, ale zdaje się, że nasza dusza zawsze pamięta, skąd pochodzi.

Złomowisko wydaje się opuszczone, mam jednak świadomość, że uruchomiłam niejeden system wczesnego ostrzegania.

Elijah ma zbyt paranoiczne nastawienie, żeby nie wiedzieć przez cały czas, co się dzieje na jego terenie. Nie obchodzi go, czy ludzie nazywają go pieprzniętym świrem, czy zwolennikiem teorii spiskowych. Tak naprawdę nigdy nie obchodziło go, co ludzie o nim sądzą — żałuję, że nie mogę tego powiedzieć o sobie.

Ja bowiem myślę to, czy ludzie mnie lubią, z tym, czy im na mnie zależy. A jeśli im na mnie nie zależy, czuję się bezwartościowa. Tak długo wbijano mi w głowę, że jestem nic niewarta, że nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się z tego otrząsnąć.

I to poczucie narodziło się właśnie tutaj, w miejscu gdzie zapach rozkładu jest tak powszechny, że kojarzy mi się z domem tak, jak innym ludziom zapach szarlotki.

Docieram do budynku. Olbrzymie metalowe drzwi są zamknięte, ale to też nie musi o niczym świadczyć. Parkuję samochód i zaciągam ręczny. Nie wiem dlaczego, ale gdyby Elijah wpadł na pomysł odholowania mojego auta, to przynajmniej mu to utrudnię. Nie jest to zbyt wiele, biorąc pod uwagę, że potrafi się włamywać do samochodów, ale zawsze coś.

Spośród takich właśnie ludzi się wywodzę. Takich, którzy potrafią ukraść samochód w mniej niż sześćdziesiąt sekund i z mniejszą liczbą nieprzewidzianych wypadków niż w tym filmie z Nicholasem Cage'em.

Czekam kilka minut, zastanawiając się, czy może ktoś otworzy drzwi lub wyjdzie do mnie ze strzelbą, ale nic takiego się nie dzieje.

Elijah musi być gdzieś zajęty, sądząc ze śwędu rozgrzanego metalu, który unosi się w powietrzu. Cicho zamykam drzwiczki i niemal skradam się pod okap dachu, po czym ujmuję za srebrną klamkę i otwieram drzwi.

Czeka na mnie, trzymając w dłoni szlifierkę kątową.

— A już straciłem nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek pokażesz tu swoją twarz.

— Skąd wiedziałeś, że to ja?

— Mam tu więcej kamer niż znajduje się w Forcie Knox, ale ciebie zdradziła rura wydechowa. Masz gdzieś jakąś nieszczelność. — Przesuwa gogle na czubek pokrytej jasnymi włosami głowy. — Powinnaś mi pozwolić to naprawić, gdy proponowałem.

— Byłam...

— Zbyt zajęta, pamiętam. Masz zbyt mało czasu na mnóstwo rzeczy, Tempe, włączając w to każdego, kto nie pasuje do twojego nowego stylu życia.

Poczucie winy przeszywa mnie jak nóż mojego brata skórę aligatora, jednak uznaję, iż najlepszą obroną jest atak.

— Przepraszam, że próbuję zostać kimś!

Jego ciemne oczy stają się niemal czarne.

— Sądziłem, że już jesteś kimś, ale widocznie się myliłem.

Kolejny cios.

Wiedziałam, że będzie ciężko, ale nie spodziewałam się, że znowu będę musiała przygotować się na bitwę.

— Nie przyszedł tu, żeby się kłócić, Eli.

— To po co tu przyszedł?

— Chcę pracować.

Unosi brwi i odkłada szlifierkę na częściowo pocięty samochód.

— Nie sądziłem, że dożyję tego dnia. Sądziłem, że jesteś na to za dobra, odkąd mieszkasz w Dzielnicy Francuskiej i pijasz dobrą whiskey.

— Nie piję whiskey — odparowuję.

— Pamiętam pewną noc, gdy piłaś.

Przechyła głowę i to wspomnienia do mnie wraca. Elijah i ja na tylnym siedzeniu samochodu... Noc, w którą straciłam dziewictwo.

— To był ostatni raz.

Uśmiecha się.

— Teraz mam większe tylne siedzenie. Zawsze będziesz tam mile widziana.

— Chyba odpuszczę. Czy pozwolisz mi teraz popracować?

Lustruje mnie od góry do dołu, spoglądając na dzinsy, które rzadko teraz mam czas nosić, i starą koszulkę z logo uniwersytetu w Luizjanie zawiązaną z tyłu na supeł.

— Pomóż mi skończyć to auto, a będziesz mogła korzystać ze spawarki i warsztatu, jak długo zechcesz.

Otwieram usta ze zdumienia.

— Nie mogę przyłożyć ręki do przestępstwa!

— Daruj sobie tę świętoszkowatość, to nie byłby twój pierwszy raz. Pamiętasz, jak pomogłaś mi zrobić tamto auto tej nocy, kiedy pieprzyliśmy się na tylnym siedzeniu?

— Byłam młoda i głupia.

— Cóż, najwyraźniej tak bardzo nie zmądrzałaś, skoro przychodzisz tutaj prosić mnie o przysługę. Wygląda na to, że postanowiłaś zniżyć się do mojego poziomu...

Mam ochotę walnąć go w pysk, ale naprawdę już nie robię takich rzeczy. Moja młodość już minęła, a wraz z nią szczeniackie wybryki. Teraz jestem szanowaną obywatelką.

Obracam się na pięcie zniszczonego roboczego buta, mając zamiar pomaszerować do samochodu. Nie potrzebuję tego. Mogę znaleźć jakieś inne miejsce, żeby...

— Och, przestań, Tempe. Nawet nie można z tobą teraz pożartować. Kiedy się stałaś taka delikatna? To nie jest dziewczyna, którą znałem.

— *Zmieniłam się.*

Chwyta kątówkę i znowu ją uruchamia.

— Zobaczymy, jak bardzo. — Nakłada z powrotem gogle.

Jestem dwa kroki od drzwi, gdy odzywa się znowu i staję w miejscu jak wryta.

— Dziewczyna, którą znałem, nie poddawała się.

Rozdział 18

Temperance

Odwracam się i staję twarzą w twarz z Elijahem, czując, jak krew się we mnie gotuje.

— Nie poddam się.

— Wygląda to inaczej. Opuściłaś w życiu wszystko poza tą swoją ciepłą posadką. Jestem zaskoczony, że zadałaś sobie tyle trudu, żeby tu w ogóle przyjechać, a teraz po prostu pójdiesz precz, bo nie chcesz pobrudzić rączek.

Opieram rzucone rączki na biodrach.

— Nie boję się niczego, a już na pewno nie pobrudzenia sobie rąk. Ani nie ciebie.

Unosi podbródek.

— W takim razie rusz tu tyłek i nałóż gogle. Musimy pociąć auto, a potem ty masz jakiś złom do pospawania.

Tak mocno zaciskam szczęki, że boję się, że złamię sobie zęby.

Nie lubię, gdy ktoś mówi mi, co mam robić. Nie lubię, gdy ktoś mówi mi, kim jestem, a kim nie. I na pewno nie lubię cofać się przed wyzwaniem.

Tak właśnie doszło do tego, że wzięłam udział w kradzieży samochodu i wyładowałam na tylnym siedzeniu. Mój brat groził mi, że mnie pobije, jednak to mnie nie powstrzymało.

Nie, potrzeba było czegoś więcej.

Prostuję ramiona i robię kilka kroków, dudniąc ciężkimi butami po brudnej betonowej posadzce. Czuję, jak pulsuje mi żyłka na czole.

Z najbliższego stołu chwytam parę gogli i nakładam, nie przejmując się sprawdzaniem, czy są czyste. Swoją perfekcjonizm zostawiłam w domu, zanim postanowiłam wyjechać z centrum i odwiedzić przeszłość.

Tutaj nie martwię się tym, czy pasuję do otoczenia, albo co się stanie, jeśli ktoś zobaczy, co kryje się pod maską, którą tak starannie stworzyłam. Tutaj moje prawdziwe ja jest znane.

— Daj mi szlifierkę i jedziemy z tym koksem.

Gdy dostaję do ręki narzędzie, zabieram się do pracy. Nie potrzebuję instrukcji. Wiem, gdzie szukać numeru VIN, który trzeba zetrzeć, i wiem, gdzie trzeba ciąć. Jak to się mówi, to nie moje pierwsze rodeo.

Pracujemy razem i jedyne towarzyszące nam dźwięki to zgrzyt metalu o metal. Kończymy w rekordowym tempie.

Gdy Elijah wreszcie wyłącza narzędzie i odchodzi od auta, ja robię to samo. Rzuca mi szmatę.

— Dobrze widzieć, że nie wyszłaś z wprawy.

— Pozwolisz mi korzystać ze swojego warsztatu, swojego metalu i swoich narzędzi i nie będziesz mi tego wypominał.

Krzyżuje ramiona na piersi i opiera się o jeden ze stołów.

— Czyżby?

— Tak.

— A co dostanę w zamian?

— Wielkie zero.

Jego pierś faluje od śmiechu.

— Zabawne. Wiesz, że tutaj to tak nie działa.

Wiem, ale nie jestem skłonna zaferować mu tego, co przyjąłby jako zapłatę bez mrugnięcia okiem — siebie.

— To się nazywa dobry uczynek. No wiesz, karma, Devereux. — Naśladuję jego postawę i krzyżuję ramiona, odchylając się w tył na piętach.

— To jakieś hipsterskie bzdury. Chcesz używać moich rzeczy, musisz za to zapłacić.

— Ile? — pytam.

Potrząsa głową i na jego usta wypływa chytry uśmieszek.

— Nie chcę od ciebie pieniędzy, dziewczyno. Wiesz o tym.

— Cóż, na pewno nie dostaniesz ode mnie niczego innego.

Rozpląta ramiona i idzie w moją stronę, przyglądając się mojej twarzy przez zmrużone powieki.

— Czyżbyś znalazła sobie faceta? O to chodzi?

Myślę o mężczyźnie, który nawiedza moje sny od tygodnia.

— Może.

Tym razem na twarzy Elijaha odbija się zdumienie.

— Serio? Kim jest ten szczęściarz?

— Nie znasz go. — To jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić, nie przyznając się zarazem, że ja też go nie znam. Nie licząc oczywiście tego, że jestem od niego uzależniona.

— Znam więcej ludzi, niż mogłabyś przypuszczać. Jak się nazywa?

Czuję przeszywający wstyd, gdy uświadamiam sobie, że tego też nie wiem.

— To nie ma znaczenia.

Elijah cofa się i nie wiem dlaczego, ale odpuszcza temat.

— W takim razie za każdym razem, gdy tu przyjedziesz, przywieziesz mi skrzynkę whiskey.

— Dobrze — zgadzam się, bo ta prośba jest prosta do spełnienia, jednak on jeszcze nie skończył.

— I będziesz mi winna przysługę. Możesz to uznać za dobry czynnek — dodaje, puszczając oczko.

Nie mam ochoty być czegokolwiek winna temu człowiekowi, ale to najszybsza droga, żebym dostała to, czego chcę.

— Dobrze, ale to ma swoje granice.

Wzrusza ramionami.

— Zobaczymy. A teraz idź, zrób coś. Pokaż mi, że nie pogrzebałaś swojej magii pod stosami nudnej papierkowej roboty.

Kompletnie straciłam poczucie czasu, ale wiem, że minęły godziny. Gdy robię krok w tył i przyglądam się swojemu dziełu, usta rozciągają mi się w uśmiechu. To feniks powstający z popiołów i jest niesamowity.

Ciągle to potrafię.

Wyciągam z tylnej kieszeni chustkę i ocieram z czoła pot spływający mi spod bandany.

Ramiona bolą mnie od cięcia, gięcia i spawania metalu, ale było warto. Nawet zadrapania na rękach, którym nie zapobiegły rękawice, są dla mnie jak honorowe rany. Czuję rozpierające mnie poczucie spełnienia i osiągnięcia czegoś, dumę i satysfakcję.

Naprawdę musiałam tu wrócić i spojrzeć na to nowymi oczami, żeby zrozumieć, że nie ma dla mnie znaczenia, co sądzi taki nadęty dupek jak Standish. Moja sztuka nie jest bezwartościowa.

To rewitalizacja w najbardziej podstawowym znaczeniu: biorę coś starego i niechcianego i zmieniam to w coś nowego i pięknego, co sprawia, że ludzie zatrzymują się, żeby popatrzeć.

Miedziane płomienie, wykonane z przypalonych rur i drutu, które nabrały czerwonego odcienia — wyglądają, jakby rzeczywiście pełgały wokół ptaka.

Wykorzystałam części samochodowe, stare rury, elementy zużytych urządzeń elektrycznych, żeby stworzyć tę rzeźbę. Przeszukiwałam

złomowisko jak w amoku, chwytając wszystko, co wydało mi się użyteczne, w nieopanowanym szale realizowania wizji powstałej w swojej głowie i domagającej się, by dać jej życie.

Dokonałam tego.

Naprawdę to zrobiłam.

— A niech mnie, to naprawdę zajebiste! — mówi Elijah od drzwi, które otworzyłam, żeby obniżyć nieco temperaturę i nie wypocić kilku dodatkowych litrów.

Zrywam bandanę z głowy i wycieram nią czoło.

— Dzięki.

Podchodzi do mnie.

— Nie sądziłem, że jeszcze to w sobie masz. Udowodniłaś, że się myliłem.

Przenoszę na niego spojrzenie, nie odwracając głowy.

— Czy to oznacza, że odpuścisz warunki, pod jakimi mogę korzystać z tego miejsca?

Parska śmiechem.

— Nie ma mowy! Musisz zapłacić, żeby móc się tu bawić. Takie życie, dziewczyno. Powinnaś to już wiedzieć.

Czuję ucisk w żołądku i rozlega się głośnie burczenie.

— Chcesz skoczyć coś zjeść? — proponuje Elijah. — Możemy skoczyć na kraby do Szopy, na pewno parę osób chętnie by się z tobą spotkało.

„Szopa” oznacza Starą Szopę, jedną z nielicznych restauracji w promieniu piętnastu kilometrów. Kraby to sobotnia tradycja w okolicy, jednak pojawienie się tam w jego towarzystwie stanowiłoby zupełnie nieodpowiedni przekaz.

Nie zamierzam wracać do przeszłości, idę do przodu, nigdy w tył.

— Przepraszam, nie mogę, jestem zajęta. — Ściągam brudne rękawice i spoglądam na dłonie. Jestem zdziwiona stosunkowo niewielką liczbą zadrapań, oparzeń i połamanych paznokci — było warto. Teraz

tylko muszę wymyślić, co właściwie będę robić wieczorem, żeby nie było, że kłamałam.

— Gorąca randka z facetem, który ma cię za idealną księżniczkę?
— pyta Elijah i w jego głośnie brzmi twarda nuta.

Chciałabym, myślę sobie, ale nie wypowiadam tego na głos. Mój nieznajomy nie odezwał się, mimo że starałam się mieć uszy i oczy otwarte, wyglądając jego samego lub jednej z tych magicznych wizytówek, ale podwójnie się rozczarowałam. Z każdym mijającym dniem coraz więcej o nim myślę, moje pragnienie narasta, ale żadnej z tych rzeczy nie zamierzam wyznać Elijahowi.

— To nie twój interes.

— Założę się, że byłbym lepszy. — Zna mnie dostatecznie dobrze, by skutecznie się droczyć.

Obrzucam go morderczym spojrzeniem.

— Wątpię.

Elijah splata ramiona na piersi i zamiast skulić, prostuje się.

— Czyżby? Wydaje ci się, że jesteś jedyną, która zmieniła się przez te lata, Tempe? Myślisz, że nikt inny niczego się nie nauczył ani nie wyszedł z tych ciasnych ram, w których zamknęłaś wszystkich ze swojej przeszłości?

Ani myślę dawać mu satysfakcji, kłócąc się.

— Zamierzasz mi pomóc załadować to do samochodu, czy nie?

Elijah spogląda znowu na rzeźbę feniksa.

— A może chciałbym ją zatrzymać, wykorzystać tutaj jako ozdobę. Spoglądam na niego.

— W zeszłym tygodniu ktoś zapłacił pięćdziesiąt tysięcy za jedną z moich rzeźb, myślisz, że pozwolę ci ją zatrzymać jako ozdobę złomowiska? Nie ma szans.

— Oho, ho, patrzcie, patrzcie. Wreszcie widzę ten ogień, który skrywałaś pod swoją elegancją... Pozory, pozory. Czy twój facet zna

MEGHAN MARCH

prawdziwą ciebie, Temperance? Czy tylko poznał tę idealną maskę, którą pokazujesz światu?

— Wie, jak to jest, gdy dochodzę, zaciskając się wokół jego kutasa, a chyba nic więcej nie ma znaczenia.

Skoro tylko wypowiadam te słowa, czuję, że popełniłam błąd. Nie powinnam wracać do tego typu rozmów z Elijahem, nawet jeśli wydaje się to proste. Czas stąd uciekać — to miejsce zaczyna na mnie wpływać.

Elijah podchodzi tak blisko, że niemal stykamy się nosami.

— Ja też to pamiętam. Może powinniśmy porównać wrażenia.

Rozdział 19

Temperance

W drodze do domu przełączam z jednej stacji radiowej na drugą, ale wszystkie piosenki mnie drażnią, sprawiając, że pragnę czegoś, czego nie mogę mieć.

Jego.

Nigdy nie uświadamiałam sobie, jakie to może być frustrujące. Nie chodzi o to, że pragnienie czegoś, czego nie mogę dostać, jest dla mnie czymś nowym — co to to nie. Zazwyczaj jednak jestem w stanie zapomnieć o takim pragnieniu, grzebiąc je wraz z innymi uczuciami, z którymi nie mam ochoty się mierzyć.

Tym razem mi się to nie udaje.

Nie mam ochoty spędzać piątkowego wieczoru sama w domu, a samotne wyjście do baru też nie wydaje mi się atrakcyjną opcją.

Byłoby miło mieć przyjaciół. Fakt, że bez przerwy pracuję, sprawia, że posiadanie przyjaciół jest w najlepszym razie utrudnione, a w najgorszym niemożliwe.

Zajeżdżam na parking kilka przecznic od domu i idę spękanym betonowym chodnikiem w stronę bramy znowu przypominającej mi o klubie i mężczyźnie, o którym muszę przestać myśleć.

Gdy zatrząskuje się za mną, słyszę głos Harriet dobiegający od strony kręconych żelaznych schodków, które zaczynają się obok jej drzwi i prowadzą do mojego mieszkania.

— Och, dobrze, uratowałaś mnie przed wchodzeniem po tych okropnych schodach, już miałam zostawić ci liścik.

— Coś się stało?

Ma na sobie brzoskwińowe boa z piór i zawadiacki kapelusik w tym samym kolorze na kręconych włosach.

— Wybieram się na spontaniczny wyjazd z przyjacielem. Już dawno powinnam była odnowić członkostwo w klubie *mile-high* — stwierdza bez większych emocji i omal nie dławię się ze śmiechu.

— Dokąd się wybieracie?

— Do Norwegii, chyba. Albo może powiedział, że do Nikaragui? Albo Neapolu. Nieważne, i tak zamierzam się świetnie bawić. Wracam za kilka tygodni, może za miesiąc. Zobaczmy, jak długo będzie w stanie zapewnić mi rozrywkę. — Podchodzi i boa łaskocze mnie w nos. — Dbaj o siebie, moja droga. Znajdź sobie jakiegoś faceta do seksu.

Przygryzam wargę, żeby nie otworzyć ust ze zdumienia, gdy się odsuwa. Zamiast tego kiwam poważnie głową.

— Postaram się.

Odwraca się nagle i wskazuje na mnie.

— Stworzyłaś coś nowego, prawda?

Kiwam głową.

— Owszem.

— Najwyższy czas. Pamiętaj, ta czapla jest moja, gdybyś kiedykolwiek zechciała ją sprzedać, więc nawet nie waż się jej pozbywać, kiedy mnie nie będzie. — Macha do mnie i znika w swoich drzwiach. — Uważaj na siebie! Nie zapominaj o kondomach w przypadku seksu grupowego! — Krzyczy jeszcze i zamyka drzwi, nie odwracając się więcej za siebie i może i dobrze, bo znowu nie wiem, co powiedzieć.

Wchodzę po kręconych metalowych schodach na górę i potrząsam głową. Osiemdziesięciolatka prowadzi ciekawsze życie niż ja. Albo siedemdziesięciolatka. Nie mam pojęcia, w każdym razie Harriet chwyta życie jak byka za rogi, podczas gdy ja... czekam, aż samo do mnie przyjdzie.

Dopiero gdy wchodzę w domu pod prysznic, słyszę w głębi ducha cichy głosik, który przebija się przez splątane myśli. *A co, jeśli nie będę czekać? Co, jeśli ja też spróbuję zdobyć to, czego pragnę?*

Nie mogę wyrzucić tej myśli z głowy, gdy wycieram zaparowane lustro i spoglądam na siebie.

— Czy mam już dość czekania? — pytam swoje odbicie. Po chwili odpowiadam sama sobie. — Tak, chyba tak.

Zawijam się w ręcznik i idę do pokoju. Biorę ze stolika telefon, znajduję w nim numer, którego jeszcze nie miałam okazji użyć, i piszę wiadomość.

Temperance: *Czy będę mogła wejść do klubu, jeśli nie mam karty?*

Przygryzam zębami dolną wargę i odkładam telefon. Nie wydaje mi się, żeby Magnolia Maison była typem osoby, która odpowiada natychmiast.

Zmuszam się do zostawienia telefonu i powrotu do łazienki. Udaje mi się wytrwać jakieś trzydzieści sekund: wracam do pokoju, łapię telefon i kładę go na krawędzi umywalki, po czym zaczynam sobie robić makijaż.

Tak czy siak nie zamierzam dzisiaj siedzieć w mieszkaniu. Wychodzę i zamierzam żyć.

Rozdział 20

Temperance

Odpowiedź przychodzi, kiedy suszę włosy.

Magnolia: Jeśli zdobędziesz się na odwagę, żeby tu przyjść, to się Tobą zajmę.

Zupełnie jakby była w stanie zajrzeć do mojej głowy i czytać mi w myślach.

Nawet o tym nie myśl.

To zły pomysł.

Daj spokój, co to szkodzi?

Może gdybyś poszła tylko popatrzeć...

Ma rację, że muszę zdobyć się na odwagę. Mijają pełne dwie godziny, nim zajeżdżam przed elegancką posiadłość, w której mieści się klub.

Za każdym razem moja wizyta tutaj była inna. Za pierwszym razem byłam kompletnie nieprzygotowana, za drugim zdenerwowana, lecz podekscytowana, a teraz... czuję w żołądku motyle wielkości sępów.

Prawie tchórzę przed bramą... Prawie.

Parkuję i przez chwilę opieram się o kierownicę bronco, zastanawiając się po raz setny, czy jednak nie zmienić zdania.

Dlaczego nie zawracam do domu? Bo gdy już przejdę przez te drzwi, nie muszę być sobą. Nie muszę się martwić o wszystkie ciężące na mnie obowiązki, przyszłość czy przeszłość.

Nigdy nie sądziłam, że tak bardzo mogę pragnąć od tego uciec. A na dodatek jest jeszcze ten mężczyzna...

Niezależnie od tego, czy będzie tu dzisiaj, czy nie, wyzwolił we mnie coś, o czym nawet nie wiedziałam, że istnieje.

Odzwierny otwiera drzwi. Wsiadam z samochodu, już mając na sobie maskę. Wreszcie zaczynam się tu czuć jak u siebie. Zamiast niepewnie wspinać się po schodach, wkraczam po nich dumnie, a pewny krok odzwierciedla siłę mojego postanowienia.

Jestem gotowa na to, co ma nadejść.

Magnolia czeka na mnie w holu.

— Pięknie dziś wyglądasz — mówi, omiatając mnie spojrzeniem od stóp do głów. — Jasny gwint, dziewczyno, gdzie do tej pory chowałaś to ciało?

Wybrałam czerwoną sukienkę, która od roku wisiała zapomniana w szafie. Nadal miała metki. Jest obcisła i wyzywająca.

Idealnie pasuje do mojego nastroju.

— Dziękuję, że pozwoliłaś mi tu dziś przyjść.

Coś błyska w jej oczach, jednak nie potrafię tego odszyfrować. Magnolia wydaje się mieć więcej tajemnic niż Kościół katolicki i nie wiem, czy chcę odkryć choćby ich pierwszą warstwę.

— Dla przyjaciół wszystko. Wygląda na to, że faceci będą się dzisiaj o ciebie bili.

Może myślałam o konkretnym facecie, gdy wygrzebałam tę sukienkę z szafy, ale nie muszę się do tego przyznawać.

— Przyszłam tu tylko popatrzeć — mówię.

— Jasne, skarbie. Wszyscy tak na początku mówią. — Odwraca się w stronę schodów. — Ale tak czy siak pozwól się oprowadzić, zobaczysz to, co przyszłaś zobaczyć.

Prowadzi mnie w górę po schodach w kierunku źródła niskiej, rytmicznej muzyki dobiegającej z jakiegoś pomieszczenia, w którym jeszcze nie byłam.

— Czy to... lochy? — W moim głosie brzmi wahanie i Magnolia zerka przez ramię.

— Lochy są na dole i zostawimy je sobie na inną okazję.

Nie jestem pewna, czy czuję ulgę, czy rozczarowanie, jednak niecierpliwe oczekiwanie spycha obydwaj te uczucia na dalszy plan, gdy Magnolia otwiera drzwi.

Pomieszczenie skąpane jest w ciemnofioletowym blasku lamp. W jednym końcu ma swoje stanowisko DJ, wzdłuż ściany ciągnie się długi drewniany bar obsługiwany przez dwóch barmanów.

Pomieszczenie podzielone jest na kilka przytulnych łóż, w których można prowadzić rozmowę, i większość z nich jest zajęta.

Kobiety w maskach siedzą na kolanach mężczyzn lub kręcą się wokół innych kobiet. Nie widzę zupełnej nagości, jednak wiele skąpych strojów.

To tutaj odbywa się gra wstępna.

— Tutaj wszyscy mogą się poznać. To świetne miejsce, żeby spotkać kogoś nowego, jeśli masz ochotę na urozmaicenie. Zawsze znajdziesz kogoś przy barze.

Dwóch mężczyzn z przeciwległego końca pokoju spogląda na nas i jeden z nich kiwa do mnie głową.

— Są świetni w wyczuwaniu nowej zwierzyny. — Magnolia spogląda na mnie znacząco. — Ale tak długo, jak nie będziesz tego wynosić poza klub, wszystko będzie dobrze. Nikt tutaj nie ośmieli się zrobić niczego wbrew zasadom. Chcesz tu zostać, czy chcesz spróbować czegoś innego?

Rozglądam się wokół i widząc, ile oczu zwróconych jest na mnie, zaczynam się czuć trochę niepewnie. Żadne z tych oczu nie należą jednak do *niego*.

Powtarzam sobie, że wcale nie przyszedłam go tu szukać i że w ogóle mnie nie obchodzi, czy tu jest.

Prawie w to uwierzyłam, ale oczywiście nie na długo.

— Jakie są inne możliwości?

Magnolia wyprowadza mnie z baru. Muzyka cichnie, gdy zamykają się za nami drzwi.

— Myślę, że wiesz, co jeszcze mamy do zaoferowania. Prywatne pokoje, gdzie możesz oglądać lub być oglądaną. Pokoje, gdzie możesz zostać związana i czekać na nieznanego, który przyjdzie ci przelecieć. Możesz wybrać, co lubisz.

Nie wiem, czy próbuje mnie zaszokować, ale staram się nie okazywać zdumienia.

— Chcę popatrzeć.

— Zawsze wiedziałam, że masz w sobie perwersyjną żyłkę. — Uśmiecha się przewrotnie i rusza przede mną po schodach na drugie piętro. — Jeśli chcesz patrzeć, ale równocześnie czuć się wygodnie, to mam dla ciebie idealny pokój.

— Dobrze. — Puls mi przyspiesza i powtarzam sobie, że to przez te wszystkie schody, ale sama wiem, że to gówno prawda.

Na tym piętrze znajdują się drzwi do pokojów, w których już byłam, jednak nie przechodzimy przez żadne z nich, lecz idziemy dalej.

— Sądzę, że spodoba ci się to, co tu zobaczysz.

Otwiera drzwi, za którymi ukazuje się duża kilkuosobowa skórzana sofa, jakiej można by się spodziewać w salonie, ale nie stoi przed telewizorem, tylko przed oknem umożliwiającym zagłądanie do innego pomieszczenia.

— Czy wszystkie pokoje na tym piętrze są dla voyeurów? — pytam. Magnolia kiwa głową.

— Kolejne piętro jest zupełnie prywatne. — Podaje mi pilot. — Kiedy tu naciśniesz, szyba stanie się przezroczysta i będziesz mogła

oglądać. Gdyby ktokolwiek ci przeszkadzał, wyślij mi esemes, a ja się tym zajmę.

— Dziękuję, doceniam to.

Czekam, aż Magnolia wyjdzie, po czym rozsiadam się wygodnie pośrodku sofy.

Zanim się rozmyślę, wciskam guzik na pilocie i okno staje się przezroczyste, dając mi idealny widok na sąsiedni pokój. Wygląda jak żywcem przeniesiony z jakiegoś haremu — a przynajmniej ja tak wyobrażałabym sobie harem. Dużą jego część zajmuje olbrzymia, okrągła poduszka, a z sufitu zwieszają się półprzeźroczyste draperie.

Ale to akcja rozgrywająca się na poduszce doprowadza moją krew do wrzenia.

Dwóch mężczyzn, jedna kobieta rozpostarta pomiędzy nimi na łóżku. Cztery dłonie pieszczące jej nagie ciało wyginające się w odpowiedzi w łuk.

Jasny gwint. Trójkącik.

Zaciskam uda, gdy jeden z mężczyzn, blondyn, rozsuwa nogi kobiety i kłęka między nimi, przesuając językiem po jej skórze. Ona jęczy, kiedy drugi z nich ssie jej sutek, trzymając ją ręką za włosy.

Wciskam się w poduszki, patrząc, jak klęczący mężczyzna zsuwa z niej majtki.

— Jesteś tak mokra. Byłaś grzeczną dziewczynką. Chyba czas, żebym skosztował tej soczystej cipki.

Nie wiedziałam, że potrafię w ciągu niecałej minuty przejść od zdenerwowania do szalonego podniecenia — to chyba mój osobisty rekord.

Mężczyzna zerka w kąt pokoju, jakby pytał o pozwolenie.

— Chcesz, żebym wylizal jej cipkę? Czy mamy kazać jej jeszcze czekać?

Moja uwaga kieruje się w zacieniony kąt pokoju. Mrużę oczy, tak jakby to mogło pomóc dostrzec, do kogo się zwraca.

W rogu pokoju stoi fotel, w którym siedzi mężczyzna.

Zamiast coś powiedzieć, porusza jedynie ręką, jakby gestem pokazując pytającemu, że powinien zabrać się do roboty.

Nie patrzę już jednak na trójkę na poduszce, lecz skupiam się na nim, na mężczyźnie w rogu.

Nie widzę jego twarzy, jedynie dłoń spoczywającą na kolanie. Zaciska ją, jakby walczył o zachowanie kontroli.

To duże dłonie, ale czy należą do *niego*? Czy dlatego Magnolia mnie tu przyprowadziła?

Czuję olbrzymią falę sprzecznych myśli zalewającą mi mózg.

On lubi patrzeć, dał mi to jasno do zrozumienia.

Ale jeśli przyszedł tu dziś wieczorem... to dlaczego mnie nie zaprosił?

Czy ten liścik był kłamstwem? Czy już ze mną skończył?

To głupie, ale ból, który czuję, podminowuje moją pewność siebie.

Co za dupek.

— Nie przyłączysz się do nas? — pyta ten z mężczyzn, który pieści piersi kobiety. — Od dawna się nie bawiłeś. Założę się, że brakuje ci mocnego uścisku spragnionej cipki.

Wstaję i podchodzę bliżej szyby, pragnąc usłyszeć odpowiedź.

— Nawet nie próbuj — szepczę do pustego pokoju, zaciskając pięści.

Zamiast pragnąć się znaleźć na miejscu tej kobiety, mam ochotę wywlec ją stamtąd za włosy, ponieważ pożera mnie zazdrość.

Co, do cholery, jest ze mną nie tak? Dlaczego w ogóle się tym przejmuję? Mogę iść do baru i poderwać kogoś. On nie jest taki znowu wyjątkowy.

Odwracam się na pięcie i niemal wychodzę, gdy uświadamiam sobie nagle, że nie jestem już sama. Tuż przy drzwiach stoi mężczyzna... *Mój nieznajomy.*

— Dlaczego nie chcesz, żeby jej dotknął? — pyta niemal kpiąco tym swoim głębokim, chrypliwym głosem. Jeden kącik ust unosi się kpiąco. — Chciałabyś, żeby wszystkie te dłonie zajmowały się tobą?

— Ty — mówię i brzmi to niemal jak przekleństwo. — Ty...
Odpycha się od drzwi i rusza w moim kierunku, patrząc na mnie drapieźnie.

— Tak, to prawda. Ja i tylko ja.

Czuję władzę i siłę promieniującą od niego falami i przypominam sobie, że Magnolia ostrzegła mnie, jaki jest niebezpieczny.

— Sądziłam, że już masz mnie dosyć i zdecydowałeś się znaleźć coś nowego i innego. — Nie wiem, co skłania mnie do szczerości, ale nie mam nic do stracenia, mówiąc prawdę.

On nie zwalnia kroku i instynktownie się cofam, aż natrafiam barkami na szybę.

— Dlaczego miałbym znaleźć coś innego, skoro jeszcze daleki jestem od nasycenia się tobą? — Przyciska mnie do szyby, po czym odwraca pytanie. — A dlaczego *ty* tu jesteś? Szukasz czegoś nowego i innego?

Unoszę podbródek.

— Może znudziło mi się czekanie.

Ujmuje mnie pod brodę.

— Nie możemy na to pozwolić.

Puszcza mnie, po czym nagle bierze na rękę i unosi w powietrze.

— Co...

— Chciałaś patrzeć, więc będziemy patrzeć i każę ci czekać, aż wszyscy z nich dojdą, nim dostaniesz to, czego pragniesz. Czas nauczyć cię cierpliwości.

Siada na narożnej poduszce sofy, trzymając mnie w ramionach. Obie moje nogi przerzucone są przez jedno jego udo, a tyłek spoczywa na drugim.

— Ale...

— Patrz.

Odwraca moją twarz w kierunku trójkącika, w którym jeden z mężczyzn wciąż stara się namówić faceta siedzącego w rogu do udziału.

— Sądziłaś, że to ja? Siedzący w rogu i czekający, żeby sobie ulżyć, podczas gdy będę patrzył, jak biorą ją we dwóch?

— Może — szepczę.

— Byłaś zazdrosna — to nie pytanie, lecz stwierdzenie.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — Patrzę na niego. Spojrzenie niebieskich oczu skupia się na mnie.

— To sprawia, że jestem cholernie twardy, gdy myślę o tym, że byłaś zła z tego powodu.

— W takim razie po co ta lekcja cierpliwości?

— Bo jestem perwersyjnym sukinsynem i chcę, żebyśmy oboje cierpieli. — Przesuwa językiem po pełnej dolnej wardze. — Nie zamierzam cię przelecieć, dopóki nie będziesz prawie umierała z pragnienia. Może nawet pozwolimy im nas oglądać, żeby rozgrzali się przed drugą rundą.

Ta sugestia uderza mnie jak rozpędzony pociąg towarowy.

— Co? To nie...

— Co nie? To nie jest coś, co sprawia, że twój puls przyspiesza? — przyciska kciuk do mojego gardła. — Skłamałabyś, zaprzeczając.

— Nie jestem na to gotowa.

Głaszczesz moją skórę.

— W *to* mogę uwierzyć. Patrz. — Odwraca moją twarz z powrotem do okna.

Jeden z mężczyzn ma twarz ukrytą między udami kobiety, a drugi je przytrzymuje, podczas gdy ona jęczy.

— Czy kiedykolwiek wyobrażałaś sobie, jakby to było, gdyby dotykało cię dwóch mężczyzn?

Potrząsam głową.

— Dlaczego nie?

Przelykam napływającą do ust ślinę.

— Ponieważ... to wydaje się niewłaściwe.

— Czy jest w tym coś niewłaściwego, jeśli wszyscy się na to zgadzają?

— Chyba nie.

Kobieta wygina ciało w łuk, aż plecy odrywają się od materaca. Mięśnie pochwy zaciskają mi się na myśl o tym, co musi teraz czuć.

— Założę się, że ty krzyczałybyś jeszcze głośniej. Dwa penisy, cztery dłonie. Może to wystarczyłoby, żeby cię okiełznać. Ale z drugiej strony ja jestem chciwym sukinsynem i podoba mi się, że jesteś dzika — ostatnie słowa wypowiada niemal warcząc i tak mnie to podnieca, że mimowolnie poruszam się na jego kolanach. — Podoba ci się, że chcę cię zatrzymać tylko dla siebie. Wolałbym raczej tak przelecieć cię na ich oczach, żeby żalowali, że nie znajdują się na moim miejscu.

— Nie wiem — mówię z wahaniem. Odwaga, którą czułam, przychodząc tu dzisiaj, gdzieś się ulotniła.

— Wiesz, choć jeszcze sama się do tego przed sobą nie przyznałaś. Ale w końcu to zrobisz.

W drugim pokoju mężczyzna siedzący w kącie wstaje i podchodzi do pozostałych.

— Moja kolej. — Rozpina spodnie i wyjmuje swojego kutasa. — Chcę jej ust.

Nieznajomy zaciska na mojej kostce dłoń, po czym przesuwają ją w górę aż do uda.

— Pragnę twoich ust. Chcę poczuć, jak mnie połykasz, jak mój kutas uderza w twoje gardło, gdy próbujesz wziąć mnie jeszcze głębiej.

Gwałtownie nabiera powietrza.

— Zwaliłem sobie konia w tym tygodniu, myśląc o pieprzeniu cię w usta, wyobrażając sobie, jak przede mną klęczysz, wpatrując się we mnie tymi wielkimi brązowymi oczami, gdy będziesz połykać mnie do ostatniej kropelki.

Odrywam wzrok od sceny rozgrywającej się przed nami i spoglądam w płomienne oczy. Podciąga mi sukienkę do góry i muska palcem miejsce między udami.

— A niech mnie, nie masz na sobie majtek. — Jego głos staje się niższy i jeszcze bardziej chropawy.

— Ukradłeś mi je ostatnim razem.

— Ale przecież nie wiedziałas, że tu będę.

— Może miałam na to nadzieję.

Przygryza wargę i przesuwa palcem wzdłuż mojej szparki. Wyciągam dłoń i uwalniam jego wargę.

— Chcę cię ugryźć w usta — mówię i nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale to prawda.

— To na co jeszcze czekasz?

Czuję przyływ tej samej odwagi, która kazała mi tu dzisiaj przyjść. Obejmuję dłonią jego kark, przyciągając go do siebie i przeciągam zębami po jego pełnej dolnej wardze.

Oddycha ciężko i zanim zdążę dokończyć, co zaczęłam, wsuwa mi gruby palec do środka. Opieram głowę na jego ramieniu, podczas gdy wsuwa go i wysuwa.

— To nie fair! — wykrztuszam, przygryzając jego mięsień ukryty pod cienkim materiałem koszuli.

— Nie powinnaś spodziewać się po mnie, że będę zachowywał się fair.

Prowadzi mnie nad samą krawędź i już zaczynam się wokół niego zaciskać, gdy zabiera dłoń.

— Zaczekaj...

— Nie, chcę, żebyś szczytowała mi na twarzy. — Zsuwa mnie z kolan i klęka na podłodze. — Patrz na nich i wyobrażaj sobie, że oni patrzą na nas — mówi, po czym zanurza twarz między moimi nogami i zaczyna lizać.

Próbuję się skupić na scenie przede mną. Kobieta klęczy, oparta dłońmi na udach mężczyzny, który wcześniej siedział w rogu, podczas gdy drugi bierze ją od tyłu. Trzeci mężczyzna siedzi na poduszce z dłonią

zaciśniętą na swoim członku i patrzy... jednak nie na nich, lecz prosto w okno, jakby mógł je przeniknąć wzrokiem i spojrzeć prosto na mnie.

Przeszywa mnie dreszcz, jednak nie lęku, lecz podniecenia.

A gdyby naprawdę mógł mnie zobaczyć? Co bym zrobiła?

Rozsuwam nogi szerzej i mój nieznajomy wydaje z siebie pomruk uznania.

Cofa się nieco.

— Smakujesz tak cholernie dobrze. — Kciukami rozsuwa mi wargi sromowe, a po chwili jeden z nich zaczyna badać nieznaną terytorium, gładząc moją dziewiczą dziurkę.

— Co...

Podskakuję, a jego oczy błyskają płomieniem. Nic nie mówiąc, robi to znowu, rozprowadzając mi wokół odbytu moją własną wilgoć.

Wiercę się na sofie, próbując odsunąć.

— Jesteś zajebicie słodka. — Jego wargi krzywią się w uśmiechu. — Ale puknięcie cię w kakaową dziurkę po raz pierwszy będzie jeszcze słodsze.

— Skąd wiesz, że nigdy tego nie... — Próbuję brzmieć jak ktoś bardziej doświadczony, jednak urywam, gdy przyciska kciuk mocniej, niemal przerywając ciasną barierę mięśnia.

— Bo nie potrafisz usiedzieć bez ruchu. Nie jesteś pewna, czy chcesz uciekać, czy zbliżyć się i dowiedzieć dokładnie, jakie to uczucie. Nie martw się, zatroszczę się o ciebie.

Znowu zanurza twarz między moje uda i zaczyna ssać lechtaczkę i pieścić odbył, aż jestem gotowa rozpaść się na kawałki. Nie potrafię skupić się na tym, co rozgrywa się przede mną, nie obchodzi mnie nic poza nadchodzącym orgazmem.

Wyginam ciało w łuk na jego przyjęcie i w tym momencie on wypycha mi w tyłek czubek kciuka, przez co rozkosz przekształca się w coś jeszcze bardziej gorącego.

Mój krzyk jest gwałtowny i ostry, brzmi w nim nuta błagania o litość. Jednak on jej nie okazuje, nie przestaje, aż moje ciało staje się całym wiotkie.

Gdy wstaje, ociera usta wierzchem dłoni.

— Teraz jesteś gotowa.

Podnosi mnie i niesie za sofę. Przekłada mnie przez oparcie, podciąga sukienkę do góry i słyszę szelest folii, podczas gdy okno przed nami staje się czarne.

— Co się dzieje? — pytam. Przypomina mi się jego wcześniejsze pytanie: *co, gdyby mogli nas widzieć?*

— Zrób przedstawienie. Niech wiedzą, jak ci dobrze. Pozwól im to usłyszeć.

— Ale...

— To wyzwanie. — Sięga przede mnie i chwyta za dekolot sukienki, uwalniając moje piersi. — Nie będę się tobą dzielić, ale pozwolę ci udawać.

Gdy wpycha się we mnie, wyobrażam sobie, że cała tamta czwórka na to patrzy. Wcześniej nawet nie wiedziałam, że mam w sobie takie fantazje.

Gdy znowu dochodzę, jest to silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej i wiem, że to dzięki *niemu*.

Nie chodzi o klub, nie chodzi o te gierki.

Tylko o niego.

Cholera.

Rozdział 21

Temperance

Kładzie mnie na sofie i idzie do przyległego pomieszczenia. Gdy po chwili słyszę szum wody, domyślam się, że to łazienka.

Kiedy byłam tu za pierwszym razem, a on wyszedł, wybiegłam jak oparzona. Dzisiaj jednak nie chcę nawet myśleć o tym, że odejdzie. Chcę, żeby został, żebyśmy mogli się tym nacieszyć i udawać, że to coś więcej niż jest naprawdę.

Nie mogę się do niego przywiązywać. Po prostu nie mogę, powtarzam sobie i wiem, że to prawda. Po chwili on wraca i podaje mi wilgotny ręczniczek.

Ale już to robię. Myślę o nim przez cały czas i...

— Nie wiem nawet, jak masz na imię — wypalam nagle.

Zamiera, przerywając zapinanie koszuli i spogląda na mnie.

— No i? Czy to ma znaczenie?

Ta odpowiedź mnie miażdży niczym buldożer i mam ochotę krzyknąć: „Tak, to jest ważne”.

To, co tu robimy, nie jest normalne. To nie jest związek. Nie ma między nami żadnej więzi, nie licząc tego, co dzieje się w tym klubie. Sądziłam, że sobie z tym poradzę. Naprawdę tak uważałam i dlatego

właśnie szukałam miejsca takiego jak to. Ale teraz... jest inaczej. Moje oczekiwania i rzeczywistość nie pasują do siebie.

Nie pragnęłam związku, nie mam na to czasu, ale też nigdy nie byłam typem dziewczyny, która może z kimś przespać się więcej niż raz, nic przy tym nie czując... nie żebym miała jakieś doświadczenie w tego typu sprawach. To zawsze była albo *przygoda na jedną noc* i koniec, albo coś *więcej*. Tutaj nie możemy nawet mówić o przyjaźni z dodatkowymi korzyściami, *bo nie jesteśmy przyjaciółmi*. Musiałabym wiedzieć, jak się nazywa, żebyśmy mogli być przyjaciółmi. Nawet żeby uprawiać koleżeński seks, musiałabym wiedzieć, jak ma na imię.

Nie mogę tak dłużej.

Chciałabym sobie wmawiać, że jest inaczej, lecz wiem, że to byłoby kłamstwo.

— Tak, naprawdę ma.

Przygląda mi się, jakby czekał, że powiem coś innego.

— Do tej pory nie miało.

Przygryzam wargę.

— Tak, wiem. Myślałam... myślałam, że mogę uprawiać seks bez zobowiązań, dobrze się bawić i nie przywiązywać się.

Wyraz jego twarzy zmienia się.

— I?

— Nie mogę tego robić, nie czując jakiejś prawdziwej więzi.

— Właśnie przed chwilą to mieliśmy. — Wskazuje gestem przestrzeń między nami. — To była prawdziwa więź, nie czujesz tego?

Odwracam wzrok i spoglądam w górę, na sufit.

— Oczywiście, że czuję, ale nie mogę nadal tego robić, nie czując czegoś więcej. Na miłość boską, jesteś facetem, którego spotkałam przypadkiem w *seksklubie*. To, co tu robimy, nie może nigdy wyjść poza ten klub. Ale nie mogę tu wracać, nie myśląc o tobie przez resztę tygodnia. To nie dla mnie. Kończę z tym.

Spogląda na mnie ostro niebieskimi oczami.

— Wydaje ci się, że możesz teraz odejść i nie pragnąć więcej?

— W tym problem! Już pragnę więcej, a to niemożliwe! — Przyjmuję obojętny wyraz twarzy i stanowczy ton. — Dlatego koniec z tym. Już tu nie wrócę.

Podchodzi do mnie i czuję, jak napinają mi się mięśnie. *Walka lub ucieczka*. Gdy przykuca przede mną, wbijam palce w materiał sukienki, zmuszając je do bezruchu.

— Gówno prawda.

— Wcale nie — odpowiadam, wpatrując się w niego z wściekłością.

— Myślisz, że to tak po prostu umrze? Że odejście pozwoli ci przestać o mnie myśleć? To się nie uda. Mam o wiele większe doświadczenie w tych sprawach niż ty i wiem, że to, co dzieje się między nami, to coś innego niż weekendowe pieprzenie się w seksklubie.

— Nie chcę tego słuchać!

— Ale może powinnaś. Bo ja też nie powinienem myśleć o tobie po tym, jak wyjdę przez te drzwi. *Nigdy* nie myślę o kobietach stąd, gdy wychodzę przez te pieprzone drzwi. Ale ty... — urywa, a ja nie wiem, co powiedzieć.

— I co to ma oznaczać? Że przyjdiesz do mojego domu i zabierzesz mnie na randkę? Że to może być czymś więcej?

Odskakuje nagle, jakbym właśnie kazała mu spierdalać. Wyraz zdumienia na jego twarzy jest tak komiczny, że nie wytrzymuję i parskam śmiechem. Wstaje i odwraca się w stronę okna, stając do mnie plecami. Nie potrafię odczytać, co to znaczy, ponieważ w ogóle go nie znam.

— Widzisz? Właśnie dlatego muszę to przerwać. Nie będę kobietą nawiązującą romans i uzależniającą się od faceta, który nie chce żadnych zobowiązań i łamie jej serce. Jestem realistką. Nawet gdybym wierzyła w szczęśliwe zakończenia, to wiem, że ta historia takiego nie ma.

Unosi ramiona i kładzie sobie dłonie na karku. Widzę, jak napinają mu się mięśnie ramion i pleców.

— Nie rozumiesz. — Te słowa brzmią, jakby musiał je z siebie wydzierać siłą. Gdy odwraca się do mnie, widzę pulsującą na jego czole żyłę. — Moje życie jest skomplikowane.

Wzruszam ramionami, jakby to nie było nic takiego, ale ta ogólna wymówka sprawia, że rozczarowanie zalewa mnie wewnątrz niczym żrący kwas. Nie jestem zaskoczona, nie spodziewałam się, że ktokolwiek zechciałby zmienić dla mnie swoje nawyki czy plan dnia, nie jestem tego typu kobietą.

— Cóż, wiesz co? Moje życie też jest skomplikowane. Zamierzam je więc nieco uprościć i powiedzieć ci „do widzenia”.

Wycieram spocone dłonie w sukienkę i wstaję. Odwracam się i obchodzę kanapę, żeby znaleźć szpilki i zabrać torebkę. Gdy docieram do drzwi, zerkam przez ramię i widzę, że znowu stoi do mnie tyłem.

— Powodzenia w twoim skomplikowanym życiu.

Przekręcam gałkę i zdążę uchylić drzwi na parę centymetrów, nim on zatrząskuje je z powrotem i przypiera mnie do nich, zamykając między swoimi ramionami.

— Naprawdę sądzisz, że będziesz potrafiła o tym zapomnieć? Zapomnieć mnie? Zapomnieć, jak to jest szczytować tak mocno, że nie wiesz, jak się nazywasz?

— Jakoś przeżyję bez tego — odpowiadam, siłąc się na obojętność.

— Może. Ale i tak będziesz tego pragnąć. Daję ci góra tydzień, nim znowu tu wrócisz, szukając mnie, tak samo jak dzisiaj.

Czuję przyływ gniewu i odwracam się, spoglądając mu w rozpalone oczy.

— Wiesz, w czym jestem naprawdę dobra? W udowadnianiu ludziom, że nie mają racji.

Rozdział 22

Temperance

Nienawidzę siebie za to, że wyszłam.

On ma rację. Nie mogę przestać o nim myśleć. Nawiedza moje sny przez resztę weekendu, niezależnie od liczby obejrzanych filmów z Chrisem Hemsworthem. Gdy w poniedziałek docieram do destylarni, jestem zdecydowana rzucić się w wir pracy i zapomnieć o tym wszystkim.

W okolicach czwartku udaje mi się rzeczywiście nie myśleć o nim ani o klubie czasem nawet przez całe pół godziny. Macham na pożegnanie Keirze, która wsiada do samochodu z szoferem i rusza na wakacje, wykrzykując jeszcze, że mam do niej bez wahania dzwonić, gdybym czegokolwiek potrzebowała. Oddycham z ulgą.

Dam radę. Jestem dobrą dyrektorką, życie jest super.

Godzinę później przybywa posłaniec i moja determinacja ulatnia się jak powietrze z przekłutego balonika.

Pismo na kopercie jest znajome i mówię sobie, że powinnam ją wyrzucić do kosza bez otwierania. Jestem jednak słaba i nie mam przy sobie nikogo, kto mógłby mnie nadzorować. Przecinam nożykiem do otwierania listów górną krawędź koperty i wyjmuję zawartość.

Znajduje się w niej tylko wizytówka taka sama jak ta, którą dał mi w noc gali charytatywnej. Wypisane są na niej data i godzina.

Jutro.

Na samą myśl robi mi się gorąco i zaciskam uda.

Nie, nie pójdę tam. Mało tego, znajdę sobie coś innego do roboty, żeby mnie nie kusilo nawet w najmniejszym stopniu.

Wyjmuję telefon i przeglądam listę kontaktów, która jest niestety raczej krótka. Tak właśnie się dzieje, gdy zostawia się stare życie i zrywa ze wszystkimi z przeszłości, a nie ma się talentu do nawiązywania nowych znajomości.

Mój brat.

Moja szefowa.

Moja gospodyni.

Kilku pracowników destylarni.

Znana burdelmama.

Valentina Hendrix.

Kusi mnie telefon do właścicielki galerii z zupełnie innych powodów. Wożę feniksa z tyłu bronco, odkąd Elijah pomógł mi go tam załadować, i wmawiałam sobie, że to dlatego, że nie jestem w stanie sama wyjąć rzeźby. To tylko część prawdy.

Pozostała jest taka, że nadal zbieram się na odwagę, żeby zawieźć ją do Noble Art i pokazać Valentinie w imieniu *mojej przyjaciółki*, rzeźbiarki.

Zanim zdążę się rozmyślić, klikam *Zadzwoń*. Odbiera po trzecim sygnale, tuż przed momentem, w którym zamierzałam się rozłączyć.

— Halo?

— Cześć, tu Temperance Ransom.

— Temperance! Prawie straciłam nadzieję, że zadzwonisz, a nie udało mi się znaleźć żadnych informacji o artystce, która wykonała tę rzeźbę. Zamierzałam dać ci czas do jutra, po czym chciałam cię nękać.

— Mam kolejną — mówię. — To znaczy rzeźbę, jeśli chciałabyś ją obejrzeć.

— Naprawdę? — Telefon omal nie wibruje od podekscytowania w jej głosie.

— Tak.

— Kiedy?

Zerkam na zegar.

— Mogę przyjechać za jakieś pół godziny.

— Doskonale! — W tle słyszę przytłumione klaskanie. — Będę w galerii. Nie mogłaś mi przekazać lepszej wiadomości.

Rozłączamy się i natychmiast zaczynam się zastanawiać, czy popełniłam poważny błąd. Może powinnam była najpierw wysłać jej tylko zdjęcie, na wypadek gdyby uznała rzeźbę za ohydną? Nie musiałabym wtedy oglądać jej twarzy, gdy zobaczy ją na własne oczy.

Tchórz, mówi kpiąco mój wewnętrzny głos. Uspokój się, wiesz przecież, że zrobiłaś kawał dobrej roboty. A poza tym jeśli nie zdobędziesz się na odwagę, to czy w ogóle zasługujesz na spełnienie swoich marzeń?

Biorę głęboki oddech dla uspokojenia.

— Dam radę — mówię do ścian swojego biura. — I lepiej zrobię to teraz, zanim tchórz mnie obleci. — Ostatni raz spoglądam na leżącą na biurku wizytówkę, po czym wrzucam ją do kosza i biorę z komody torebkę. — Czas postawić wszystko na jedną kartę albo zapomnieć o sprawie. — Zamykam za sobą drzwi, informuję recepcjonistkę, że wychodzę, i kieruję się na parking.

— Gdzie jest? — pyta Valentina natychmiast po tym, jak przekraczam próg Noble Art.

Droga zajęła mi dwadzieścia pięć minut w korkach spowodowanych jakimś pogrzebem, a potem straciłam jeszcze pięć, żeby znaleźć miejsce parkingowe dwie przecznice dalej i pieszo dotrzeć do galerii.

— Chcesz najpierw zobaczyć zdjęcie? — Myślałam o tym przez ostatnie pół godziny. Zdecydowanie pokazanie feniksa leżącego w bagażniku bronco nie jest najlepszym sposobem prezentowanie sztuki

— A masz? — Oczywiście się rozświełają. — Dlaczego mi go nie wysłałaś? Pewnie, że chcę zobaczyć.

Wyciągam z torebki telefon i odnajduję na nim zdjęcie, które zrobiłam w warsztacie u Elijaha, jednak jeszcze jej nie pokazuję.

— Wiesz, to nie jest żadne profesjonalne zdjęcie ani nic.

— Temperance, pokaż mi to cholerne zdjęcie!

Przekazuję jej telefon. Milczy przez trzy najdłuższe sekundy w moim życiu.

— O rany!

— Czy to dobre „o rany”, czy złe? — Nie chciałam zadać tego pytania na głos, ale wyrwało mi się, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Valentina nie podnosi wzroku znad ekranu, lecz powiększa zdjęcie.

— Dobre. Jest naprawdę wyjątkowa.

— Każda z nich jest niepowtarzalna. Nie da się ich odtworzyć.

Wreszcie odrywa spojrzenie od telefonu i przenosi na mnie.

— No dobrze, to bądź ze mną szczerą. Za ile mogę ją kupić?

— Nie wiem... — urywam i rozglądam się po galerii, w myślach katalogując wszystkie piękne dzieła sztuki, które wydają się *prawdziwe* w odróżnieniu od tego, co zawsze uważałam za swoje hobby. — Naprawdę sądzisz, że twoi klienci byliby nią zainteresowani?

Przeszywa mnie wzrokiem.

— Byłyśmy chyba na tej samej aukcji, prawda?

— Tak, ale tam wystawiona była pod innym nazwiskiem.

— A pod jakim nazwiskiem powinna być?

Chwila prawdy. *Czy mam się przyznać, czy skłamać?*

Biorę głęboki oddech.

— Moim.

Usta Valentyny rozciągają się w szerokim uśmiechu i unosi pięść w górę.

— Wiedziałam! — Jej reakcja jest inna niż się spodziewałam.

— Wiedziałaś?

— Byłam prawie pewna. Wiem coś o tym, jak to jest ukrywać swoje dzieła, gdy nie jest się gotowym przyznać do nich publiczności. — Wskazuje na ścianę, na której wiszą obrazy z aktami. — Te są moje.

Czuję, jak brwi podnoszą mi się niemal do linii włosów.

— Naprawdę?

Kiwa głową.

— Tak. Nie sądziłam, że są dostatecznie dobre, żeby je tu powiesić, ale ktoś dokonał za mnie tego wyboru. Wtedy wprawdzie miałam ochotę go udusić, ale teraz widzę, że miał rację. Od jak dawna tworzysz takie rzeczy?

Jej pytanie wyrywa mnie z teraźniejszości, z galerii, i przenosi piętnaście lat wstecz.

— Co do diabła zrobiłaś z moją lutownicą?

Podskoczyłam, gdy drzwi do warsztatu otworzyły się z takim rozmachem, że aż przywaliły w ścianę. Cały budynek zadrżał w posadach. Upuściłam lutownicę i metal, po czym uniosłam swoją malutką rzeźbę i schowałam za plecami. Łzy napłynęły mi do oczu, gdy gorący metal dotknął mojego ramienia.

— Nic.

— Wstrętna kłamliwa suka. Potrzebuję jej. I to już. — Ojciec bełkotał, przez co wiedziałam, że zdążył się już napić.

— Tutaj jest. Przepraszam. Już sobie idę.

Skrzywił się, co stanowiło jedną z jego trzech min oprócz okrutnego uśmiechu i wyrazu wściekłości. Na wardze miał resztki sosu.

— Znowu grzebałaś w moich rzeczach? Dlatego brakuje mi części, bo kradniesz? Tego cię nauczyłem?

Potrząsnęłam głową tak mocno, że miałam wrażenie, że oczy wylecą mi z orbit.

Zamachnął się i wierzchem dłoni trafił mnie w policzek, aż głowa odskoczyła mi na bok.

— Mówiłem ci, żebyś mnie nie okłamywała, dziewczyno.

Potknęłam się i wypuściłam z rąk swoje dzieło, które z brzękiem poleciało na podłogę.

— Co to niby ma być? — tata podniósł je z ziemi. Od lat nie widziałam, żeby poruszał się tak szybko.

— Ja tylko...

Przyglądał się dwóm postaciom, które wykonałam. Dziewczyna i chłopak, trzymający się za ręce.

Spojrzał na mnie.

— Zabrałaś dwie wtyczki i kilka korków, żeby zrobić to gówno? Po pierwsze metal na złom potrzebny jest mnie, żeby go sprzedać i mieć parę groszy w kieszeni, a po drugie zabierasz rzeczy, których potrzebuję, żeby zrobić coś takiego? — Odstawił figurki na warsztat i sięgnął po młotek.

— Tato, nie. Kupię ci nowe, to...

Nie zdążyłam nawet wyjaśnić, że to miał być prezent dla mamy na urodziny, gdy zamachnął się i rozbił wszystko na kawałki.

— Popatrz, do czego mnie doprowadziłaś, dziewczyno! Patrz! — Rzucił połamanymi kawałkami metalu i ceramiki w moją stronę, nie przejmując się tym, że ostra krawędź kaleczy mnie w policzek. Dotknęłam bolącego miejsca palcami i zobaczyłam, że są czerwone od krwi.

— To powinno cię nauczyć, żeby nie dotykać rzeczy, które nie należą do ciebie. Jeśli zrobi ci się blizna, zapamiętasz to na zawsze.

Rzucił resztki moich ludzików na podłogę i chwycił lutownicę.

— Przestań marnować czas na te bzdury! Masz ważniejsze rzeczy do roboty. Na przykład mogłabyś sobie znaleźć pracę. Nikt nie będzie ci nigdy płacił za te śmieci... chyba że skup złomu.

Tata odwrócił się i wyszedł z warsztatu. Zarówno moja rzeźba, jak i ja, byłyśmy złamane.

To wspomnienie jest cholernie przygnębiające, ale czuję, jak wzbiera we mnie coś jakby poczucie zemsty i triumfu. Powiedział, że nikt nigdy nie będzie chciał za to płacić, poza skupem złomu... i jak widać, pomylił się.

To sprawia, że uśmiech wypływa mi na twarz i żałuję, że już go nie ma i nie mogę mu pokazać, jak bardzo był w błędzie.

— Temperance? — mówi Valentina.

— Przepraszam, próbowałam to policzyć. Od wielu lat... Właściwie odkąd byłam dzieckiem. To dawało mi zajęcie i rozrywkę.

— Cóż, mogę powiedzieć, że ma potencjał, żeby stać się czymś więcej. A teraz chodźmy ją zobaczyć.

Otrząsam się ze wspomnień i uśmiecham do niej szeroko.

— Więcej brzmi lepiej. Mam ją w samochodzie, zaparkowałam kilka przecznic dalej.

Podkscytowanie widoczne na jej twarzy odzwierciedla moje.

— Mam tu zarezerwowane miejsce parkingowe, może podjedziesz? Będzie nam też łatwiej wnieść ją do środka.

— Dobrze — odpowiadam spokojnie, chociaż wewnątrz skaczę z radości i próbuję wyprzeć z pamięci obraz pijanego ojca, który niszczył wszystko, co stworzyłam, ilekroć wpadło mu w oczy. *Pieprz się, tatusiu.*

Wychodząc z galerii, nie mogę uwierzyć, że zaraz podjadę tu bronco, żeby sprzedać prawdziwej galerii swoje dzieło sztuki.

Widzisz, staruszkule, myliłeś się.

Bezwzględny książę

Czuję, jak w piersi wzbiera mi śmiech, i niemal w podskokach idę w kierunku miejsca, gdzie zostawiłam samochód.

Gdy tam docieram, żołądek zaciska mi się w supeł. Nigdzie go nie widzę. Zostało jedynie puste miejsce na parkingu.

Rozdział 23

Temperance

To nie może się dziać naprawdę.

Mrugam, rozglądając się dookoła, jakbym zapomniała, gdzie zaparkowałam, ale tak nie jest. Wiem dokładnie, gdzie zostawiłam samochód, a teraz go nie ma. *Zniknął*.

Wokół chodzi mnóstwo ludzi, ale nikt nie nawiązuje kontaktu wzrokowego. Na rogu ulicy jakiś dzieciak wygrywa rytm na kilku dwudziestolitrowych wiadrach, zbierając datki. Musi się tu znajdować od niedawna, bo nie było go, gdy parkowałam.

— Hej, ty! — wołam, przerywając mu solówkę.

Unosi na mnie wzrok.

— Co?

— Widziałeś starego forda bronco po drugiej stronie ulicy?

Kręci palczkami i wzrusza ramionami.

Nabieram powietrza, po czym wyciągam z portmonetki pięć dolarów i podaję mu.

— Widziałeś czy nie?

— Może.

Warczę jak zwierzę, jednak wyciągam dwudziestkę i trzymam ją tuż poza jego zasięgiem.

— Przypomnij sobie, mały. To ważne.

Podrywa się szybciej, niż się spodziewałam, i wrywa mi banknot.

— Był tam, a teraz go nie ma.

— Kto go zabrał?

Znowu wzrusza ramionami.

— Nie wiem. Nie zwracałem uwagi.

— Nic nie widziałeś? W ogóle nic?

Przechyla głowę na bok.

— Paniusiu, dużo bezpieczniej dla mnie jest nic nie widzieć. Muszę tu żyć. Ty nie.

Aż się trzęsę z bezsilnego gniewu.

— Dobrze. — Wyciągam wizytówkę i wrzucam ją do kapelusza, do którego zbiera pieniądze. — Jeśli sobie coś przypomnisz, to zadzwoń na mój numer, jest na wizytówce.

Przewraca oczami.

— Jasne. Zaraz to zrobię.

Odwracam się i odchodzę, czując, jak do oczu napływają mi piekące łzy. Szansa na realizację marzeń właśnie ulotniła się wraz z kimś, kto odjechał moim pieprzonym samochodem.

Wyciągam telefon i dzwonię do Rafe'a. Połączenie natychmiast przekierowuje się na pocztę głosową, nawet nie słyszę wcześniej żadnego sygnału. *Co u diabła?* Rozłączam się i dzwonię ponownie, z tym samym skutkiem. Zostawiam tym razem wiadomość.

— Rafe, potrzebuję cię. Proszę, zadzwoń.

Rozłączam się i wybieram numer, który usunęłam dawno temu, ale i tak znam go na pamięć.

Odbiera po pierwszym dzwonku i bez powitania pyta:

— Zmieniłaś zdanie?

— Potrzebuję twojej pomocy.

Wracam do galerii z niczym, nie licząc obietnic Elijaha, który ma popytać i spróbować odnaleźć mój samochód. Gdy wchodzę przez frontowe drzwi, rozlega się dzwonek, Valentina wystawia głowę z pokoju na zapleczu i na jej twarzy odbija się zdumienie.

— Nie było wolnego miejsca?

— Niezupełnie.— Nie jestem z tego dumna, ale w tym momencie zaczynam w końcu płakać. — Ktoś ukradł mi samochód.

— O, cholera! Skarbie, tak mi przykro. — Kobieta, którą ledwie znam, podchodzi i obejmuje mnie mocno. — Wszystko będzie dobrze. Nic się nie martw. Zadzwoń do męża. On każe policji się tym zająć i na pewno go znajda.

Na słowo „policja” unoszę głowę. Tam, skąd pochodzę, nie wzywamy policji. A jako że pracuję w destylarni, sama też nie mam takiego odruchu.

— Policji?

Valentina cofa się i przechyla głowę na bok.

— No tak, chyba że masz w samochodzie broń lub narkotyki? Jeśli tak, to nie powinnaś mi o tym mówić.

O dziwo to stwierdzenie wywołuje we mnie wybuch śmiechu.

— Nie, nic nielegalnego. Tylko... własną rzeźbę, której żaden złodziej samochodowy nie zechce. Prawdopodobnie wyrzucą ją do śmieci.

— A wtedy ich zabijemy. To znaczy złapiemy. Poczekaj chwilę.

Podchodzi do biurka stojącego w tylnej części galerii i bierze telefon, po czym wybiera coś na ekranie.

Gdy w chwilę później aparat dzwoni, odbiera od razu.

— Szybko oddzwoniasz. Możesz przyjechać do galerii? Nie, wszystko w porządku, ale potrzebuję policji, a nie chcę dzwonić na lokalny posterunek. — Urywa na chwilę. — Wszystko wyjaśnię, gdy tu przyjedziesz.

Rozłącza się i spogląda na mnie.

— Mój mąż wkrótce tu będzie. Musi tylko zapakować rzeczy dla dziecka. Czy chciałabyś zadzwonić do kogoś w międzyczasie?

Myślę o bracie, który na pewno robi coś nielegalnego... a potem o szefowej, która na pewno jest już w samolocie.

— Nie, raczej nie.

— W takim razie sądzę, że potrzebujesz się napić.

— Prawdopodobnie powinnam odmówić...

— Ciii. Przestań. Potrzebujesz tego. Niemal się trzęsiesz. Usiądź. — Valentina wskazuje głową krzesło przy biurku, po czym znika na zapleczu. Kilka chwil później wraca z butelką wina i kieliszkiem do szampa. — Wiem, że ta sytuacja wymagałaby raczej czegoś mocniejszego, ale w tej chwili mam jedynie prosecco.

— Dziękuję.

Nalewa wino pewną ręką, a ja próbuję opanować drżenie moich.

— Nie mogę w to uwierzyć... — urywam i pociągam łyk.

— Skarbie, to przecież Nowy Orlean. Jestem pewna, że codziennie kradną tu jakiś samochód. Rix nie patroluje tej okolicy, ale jestem pewna, że potrafiłby przytoczyć dokładne dane.

Przez kilka minut w milczeniu sączę trunki, a ona opowiada mi o artystach, których dzieła wystawione są na sprzedaż w galerii, między innymi o dziewczynie zatrudnionej tu na pół etatu i studiującej sztukę.

Właśnie jestem w połowie drugiego kieliszka prosecco, gdy do galerii wchodzi piękny mężczyzna, który wygląda niemal jak sobowtór Shemara Moore'a. Na piersi ma przywiązane w chuście dziecko. Jego spojrzenie wędruje ku Valentinie i czym prędzej do niej podchodzi.

— Co się stało? Kogo muszę zabić za to, że przerwał temu małemu mężczyźnie posiłek?

Valentina wstaje.

— Oto moi dwaj ulubieni mężczyźni. Dziękuję, że przyjechałeś tak szybko.

Przyciąga ją do siebie i pochyla się, żeby pocałować ją w usta.

— Zawsze, księżno. Co, u licha, się stało?

Patrzę na nich z uczuciem niespodziewanej dla siebie tęsknoty. Ten piękny mężczyzna przybył jej na pomoc wraz z uśmiechniętym niemowlęciem. Czuję, że moje jajniki aż się gotują.

— To Temperance, pracuje w...

— Seven Sinners, dla kobiety Mounta — kończy za nią i spogląda na mnie zmrużonymi oczami.

Kiwam głową, nie czując w jego głosie takiej życzliwości, jaką okazała mi Valentina.

— Zgadza się.

— Przyszłaś tu sprawiać kłopoty? Bo zdecydowanie nam ich nie potrzeba — mówi i czuję rozczarowanie.

— Rix! — Valentina uderza go w ramię. — Bądź miły, miała naprawdę podły dzień. Przyjechała pokazać mi rzeźbę, a ktoś ukradł jej samochód.

Przygląda mi się podejrzliwie.

— Dobrze, poproszę o pomoc kogoś, kto nie będzie patrzył na mnie jak na przestępcę. — Odstawiam kieliszek na biurko i biorę torebkę.

— Przepraszam, że zajęłam ci czas, Valentino.

Zdążę odejść na dwa kroki, nim się odzywa.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś do swojej szefowej? Jestem pewien, że w ten sposób znalazłabyś swój samochód o wiele szybciej.

Oglądam się przez ramię.

— Właśnie wyjechali na wakacje. To nie jest dostatecznie istotna sprawa, żeby ich niepokoić. Mogę sama się tym zająć.

Ściąga brwi.

— Naprawdę? Jestem pewien, że Mount mógłby sprawić, że poleciałyby za to głowy.

— Niekoniecznie, ale nie martw się. Jakoś to załatwię. Pojadę na posterunek zgłosić kradzież i zadzwonię do mojego ubezpieczyciela.

— O nie, nigdzie nie pójdziesz. On ci pomoże i zrobi to w miły sposób — oznajmia Valentina tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Czyżby? — wyciąga dłoń i chwyta żonę za rękę. Dziecko znajduje się między nimi. — To teraz jedna z twoich? Zamierzasz ją adoptować?

Nie wiem, co ma na myśli, ale gdy Valentina kiwa głową, jego twarz rozluźnia się i rozjaśnia w uśmiechu.

— Powinienem był się domyślić. Tylko dla ciebie, księżno. Tylko dla ciebie. — Całuje jej dłoń, po czym wypuszcza ją i odwraca się z powrotem do mnie. — Podaj mi wszystkie dane pojazdu, a ja każę chłopcom się rozejrzeć. Jeśli samochód gdzieś się pokaże, dostaniemy telefon. Powiem im, że to sprawa priorytetowa.

— Pamiętaj, żeby im powiedzieć, że na tylnym siedzeniu znajduje się bardzo cenne dzieło sztuki i osobiście upiekę ciasteczka każdemu, kto dopilnuje, żeby ta rzeźba dotarła do mnie nieuszkodzona — mówi Valentina, całując dziecko w czoło.

Rix znowu się uśmiecha, a nawet śmieje głośno.

— Księżno, wydawało mi się, że chciałaś odzyskać tę rzeźbę, a nie sprawić, że nigdy już jej nie zobaczysz.

Valentina warczy na niego i wyciąga ręce po dziecko. Czuję, jak serce ściska mi się z zazdrości.

Też chciałabym czegoś takiego.

Rozdział 24

Temperance

Minęły 24 godziny i nadal nie ma śladu po moim bronco. Elijah mówi, że nie pokazał się w żadnym z warsztatów skupujących części. Nadal szuka, tak samo jak policja. Zostawiłam trzy kolejne wiadomości na skrzynce brata — za każdym razem poczta głosowa włączała się natychmiast — i wysłałam mu z tuzin wiadomości. Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

Nie jest niczym niezwykłym, że mój brat znika na parę dni, ale zawsze mnie o tym uprzedza i potem oddzwania, gdy tylko ma taką możliwość. Instykt podpowiada mi, że tym razem to coś innego i że to *nic dobrego*. A może chodzi jedynie o to, że zamartwiam się faktem, że ktoś ukradł mój samochód.

Keira dotrzymuje obietnicy złożonej Mountowi i nie zadzwoniła ani razu do pracy. Postanawiam poczekać do poniedziałku, nim powiem jej o moim samochodzie.

Na pewno do tego czasu uda się go znaleźć, prawda? Rzeczywiście mam taką nadzieję.

Gdy w piątkowy wieczór wsiadam do taksówki, jakaś część mnie ma ochotę pojechać prosto do klubu i poczekać do wyznaczonej godziny,

aż mój nieznajomy pomoże mi zapomnieć o tym beznadziejnym końcu tygodnia.

Ale nie zrobię tego.

Nie mogę nadal spotykać się z mężczyzną, którego imienia nie znam. To na pewno nie doprowadzi do tego, że będę miała w życiu kogoś, kto będzie na mnie spoglądał tak, jak Rix na Valentinę.

A jeśli nie mogę do niego zadzwonić, żeby mi pomógł, to nie zasługuje na to, żeby być częścią mojego życia. To proste.

Skoro nie mam żadnego sposobu, żeby móc się z nim skontaktować — jakby mało było tego, że nie wiem, jak się nazywa — to podjęłam decyzję.

To koniec.

Gdy jadę do domu, nie mogę się powstrzymać od rozmyślań, czy znajdzie sobie kogoś innego do zabawy, jeśli ja się nie pokażę.

Przestań o nim myśleć.

Rzucam torebkę na blat i w tym momencie dzwoni telefon. Na wyświetlaczu widnieje imię Valentyny i czuję przypływ nadziei.

— Valentina? Czy znaleźli mój samochód?

— Och, nie, skarbie, przykro mi.

Nadzieja znów uchodzi ze mnie jak powietrze z przekłutego balonika.

— Och.

— Ale tak się zastanawiałam... Masz jakieś plany na wieczór?

Rozglądam się dookoła po swoich niespełna pięćdziesięciu metrach kwadratowych — od pokoju dziennego z aneksem kuchennym do sypialni — jakby szukając wymówek, co jest moją odruchową reakcją. Potem przypominam sobie, że *potrzebuję* jakiegoś planu na wieczór, bo tylko w ten sposób zdołam dotrzymać złożonej sobie obietnicy, żeby nie pojechać do Przystani.

— Nie.

— To dobrze. To znaczy może nie dobrze dla ciebie, ale dobrze dla nas, bo urządzam dzisiaj babski wieczór z przyjaciółkami. Opowiedziałam niektórym z nich o tobie i pomyślałyśmy, że może chciałyby się do nas przyłączyć.

Babski wieczór? To jedna z tych rzeczy, które znam jedynie z filmów i książek. Nigdy tego nie robiłam, nawet na studiach, ponieważ pracowałam wtedy w trzech różnych miejscach, żeby mieć na czesne i czynsz.

— Och, pewnie? — Moja odpowiedź brzmi jak pytanie i odchrząkuje. — To znaczy z przyjemnością.

— Świetnie. Wyślę ci mój adres — urywa na chwilę i niemal czuję, jak krzywi się, przypominając sobie, że nie mam jak się tam dostać.

— Och, nie, poproszę, żeby ktoś cię odebrał.

— Dam sobie radę, to nie problem. O której?

Podaje mi resztę szczegółów i gdy się rozłączam, zmuszam się do uśmiechu.

Teraz przynajmniej nie będzie mnie kusić, żeby pójść do klubu.

Nie mam pojęcia, w co się wpackowałam. Najmniejszego.

Po pierwsze, dom Valentyny to przepiękna posiadłość w Garden District, która — jestem pewna — kosztowała więcej, niż zarobię przez całe życie. Nieruchomości tutaj naprawdę nie są tanie, zwłaszcza jeśli tak wspaniale odnowione.

Keira zapewne czułaby się tu jak ryba w wodzie, ale ja — szalenie nie na miejscu. Trzykrotnie wycieram buty przed wejściem, wiedziona starym nawykiem, żeby nie nanieść błota na przepiękne drewniane posadzki i dywany, które wyglądają na kosztowne. Ściany ozdobione są płótnami przedstawiającymi zachwycające akty i rozpoznaję w nich dzieła Valentyny.

Są naprawdę niesamowite. Jeszcze bardziej niesamowite jest to, że jest ona w stanie zarabiać na życie sztuką, i to na życie na takim

poziomie. Przynajmniej tak przypuszczam, skoro jej mąż jest policjantem. Chociaż może nie powinnam niczego zakładać.

— Witaj! — woła Valentina, szybko ściskając mnie na powitanie. — Bardzo się cieszę, że mogłaś przyjść. — Podąży wzrokiem za moim spojrzeniem w kierunku obrazów na ścianach. — Tak, to też moje dzieła. Rix upiera się, że powinnam je tu eksponować. To on zresztą zmusił mnie, żebym wreszcie zaczęła je sprzedawać. Naprawdę zmienił wszystko w moim życiu. Bez niego trzymałabym je ukryte w pracowni przez resztę życia i nigdy nie zdobyłabym się na odwagę, żeby je pokazać. Wiem, że to rozumiesz.

Przelykam ślinę, myśląc o tym, jakie to musiało być trudne — dla mnie to nadal nie do pojęcia.

— Jak widać, dokonałaś właściwego wyboru.

Uśmiecha się.

— Ty też, jestem o tym przekonana. Mam nosa do sztuki i wiem, że twoja się sprzeda. Jest wyjątkowa, pierwotna i piękna. Ludzie będą umierali z zachwytu, poczekaj tylko.

Nadal napawam się jej komplementami, gdy wskazuje w stronę pokoju dziennego.

— Chodź, nie mogę się już doczekać, żeby cię wszystkim przedstawić.

Valentina prowadzi mnie do pięknego pokoju i tak szybko przedstawia mi trzy kobiety, że nie dają rady zapamiętać imion. Wszystkie są nieziemsko urodziwe i wyglądają, jakby mogły rządzić światem w ramach hobby.

Siadam i milczę, wsłuchując się w rozmowę o mężach, chłopakach i wspaniałym życiu, które wydają się prowadzić.

Jedna z nich jest żoną prawdziwego miliardera. *Prawdziwego miliardera*. Ma też najpiękniejszą fioletową klasyczną sukienkę koktajlową, jaką widziałam.

— Temperance pracuje w Seven Sinners — informuje je Valentina w ramach prezentacji.

— Och, mają tam wspaniałe koktajle na bazie whiskey — stwierdza rudowłosa piękność, ubrana w legginsy i odsłaniającą jedno ramię koszulkę z napisem „Revenge of the Nerds”. — Rhett zabrał mnie tam kiedyś na randkę.

Próbuję sobie przypomnieć, jak ma na imię, jednak mi się to nie udaje. Zamiast tego chwytam się tej jednej rzeczy, o której mogę mówić, nie brzmiąc przy tym jak kretynka, czyli o whiskey.

— To prawda. Nawet jeśli nie jest się miłośnikiem whiskey, to te koktajle są pyszne.

Rudowłosa uświadamia sobie najwyraźniej, że nie wiem, jak ma na imię, bo przedstawia się.

— Jestem Ariel... I tak, zanim zapytasz, zostałam tak nazwana na cześć *Małej syrenki*. „Mam przydasiów pokłady niemałe... i więcej chcę” — cytuje, puszczając do mnie oczko.

— Mówiąc o przydasiach, ma na myśli laptopy, dzięki którym włamuje się na rządowe serwery — stwierdza Valentina.

— Ciiii, nie zdradzaj jej od razu wszystkich moich sekretów, trzymam je na drugą randkę — odpowiada Ariel ze śmiechem.

Jedna z kobiet, onieśmielająco piękna blondynka imieniem Vanessa, zbywa to machnięciem dłoni.

— Teraz mówimy o whiskey, nie o hakerstwie. Muszę kupić skrzynkę tej Phoenix, Con ją uwielbia i chcę mu zrobić niespodziankę. Gdybyś mogła mi w tym pomóc, będę ci bardzo wdzięczna.

To sprawia, że czuję się potrzebna, co jest miłe.

— Z przyjemnością.

— Świetnie, trzymam cię za słowo. Jaki jest twój numer?

Podaję go, a ona zapisuje w telefonie i puszcza mi sygnał, żeby miała kontakt do niej. *Nawiązuję znajomości!* To trochę niesamowite, ale naprawdę mi się podoba.

— A teraz może przestaniecie ją nękać o alkohol i w zamian napijemy się tego, co już mamy. W końcu każda z was ma na dziś kierowcę, prawda?

Nalewa nam wina lub innych trunków i ani się obejrzę, jak wypijam trzy kieliszki rzeczywiście doskonałego czerwonego.

— Dzisiaj w sklepie słyszałam naprawdę przedziwną rozmowę, nie uwierzycie w to — mówi żona miliardera, która — jak mi się zdaje — ma na imię Yve.

Valentina czym prędzej wyjaśnia.

— Yve jest właścicielką sklepu Piękna Suka i właśnie otworzyła zupełnie nową część z bielizną. Musisz tam zajrzeć.

— A ploteczki, jakie można usłyszeć w Słodkiej Kici, są najlepsze! — zapewnia Yve.

— To mów! — ponagla ją Valentina i pozostałe rozmowy w pokoju cichną.

— Słyszałam o seksklubie pod miastem. Podobno jest bardzo ekskluzywny i bardzo drogi. Taki, że nie mogę uwierzyć, że Lucas wcześniej o nim nie wiedział. Ponoć nie wolno o nim mówić, ale tej kobiecie coś się wypsnęło, gdy przymierzała gorsety.

— Na pewno wyrzucą ją za to z klubu. Nie można o nim mówić — oznajmiam, zanim zdążę ugryźć się w język, i nagle wszystkie spojrzenia w pokoju kierują się na mnie. — To znaczy wydaje mi się, że tak właśnie działają tego typu miejsca.

Yve unosi brwi.

— Byłaś tam, prawda?

Gdy otwieram usta, żeby zaprzeczyć, Valentina ponownie napełnia mój kieliszek.

— Od razu was uprzedzę, że Temperance naprawdę nie umie kłamać.

— Hej! To nie fair!

Valentina przewraca oczami.

— Serio? To całe udawanie, że to niby nie twoja rzeźba w wieczór aukcji? Naprawdę musisz jeszcze popracować nad swoimi zdolnościami aktorskimi, jeśli chcesz, żeby ktokolwiek uwierzył w twoje kłamstwa.

Pociągam wielki łyk wina.

— To nieprawda, że nie potrafię kłamać. Świetnie kłamię.

Yve uśmiecha się.

— Udowodnij to. Powiedz dwie rzeczy prawdziwe i jedno kłamstwo. No, dajesz.

Zamieram w bezruchu, zastanawiając się, w co właściwie się wpakowałam. Aby kupić sobie więcej czasu, dopijam do końca kieliszek wina, co najprawdopodobniej jest najmądrzejszym posunięciem.

— Nigdy nie widziałam nieobrzezanego penisa. Na drugie mam Aurelia. Minęło sześć lat, odkąd popełniłam przestępstwo. — Potok słów wylewa się ze mnie szybciej, niż byłam w stanie przełknąć wino.

Wszystkie kobiety otwierają usta ze zdumienia.

— Naprawdę nie potrafi kłamać.

— I popełniła przestępstwo.

Valentina wybuchła śmiechem.

— Tylko jeśli została złapana, a mam przeczucie, że Temperance jest na to zbyt sprytna.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Yve, właścicielka sklepu, wtrąca się.

— Jasne, Temperance, która nie widziała w życiu dostatecznie wielu penisów. No dobrze, to opowiedz nam o klubie. Jeśli miałabym robić interesy z tymi kobietami, muszę wiedzieć takie rzeczy.

Przygryzam wargę, jednak wypite wino rozwiązuje mi język.

— Nie mogę. To wbrew zasadom. O tym się nie mówi.

Blondynka, Vanessa, sięga po kieliszek z winem.

— A więc to coś jak Fight Club?

— Nie, to chyba... bardziej niebezpieczne niż Fight Club.

— Z kim się przespałaś? Z iloma facetami?

— Tylko z jednym, nie wiem, jak się nazywa.

— Ty *zdziro!* Uwielbiam cię — stwierdza Vanessa i zwraca się do Valentyny. — A tak w ogóle to ona już należy do naszej paczki. Potrzebowałyśmy kogoś, kto naprawdę łamie zasady, a nie tylko udaje tak jak ty. Kto wie, może kiedyś będziemy musiały popełnić przestępstwo i nie dać się złapać. Ale głosuję za tym, żeby w takim przypadku nie Temperance gadała z glinami, tylko ty.

Wszystkie kobiety kiwają głowami i czuję, jak opływa mnie fala ich akceptacji. Nie powinnam się do tego przyzwyczajać.

— Był na aukcji — wyjaśniam Valentinie. — To był jedyny raz, gdy widziałam go poza klubem.

Jej oczy błyszczą zainteresowaniem.

— Jak wyglądał?

— Poza tym, że był przystojny i w garniturze? Ciemne włosy, niebieskie oczy, szerokie ramiona.

— Ten dupek, który przelicytował mnie i kupił twoją rzeźbę? Żartujesz?

Otwieram usta ze zdumienia.

— Co? Nic takiego.

Kiwa głową.

— Ciemnopielaty trzyczęściowy prążkowany garnitur, jasnoniebieska koszula, która podkreślała kolor jego oczu. Tak, to on. Zastanawiałam się, czy nie naszkicować go, żeby Rix mógł go znaleźć i żebym mogła odkupić od niego tę rzeźbę.

Ta informacja sprawia, że kręci mi się w głowie. *Mój nieznajomy kupił moją rzeźbę?*

— To... niemożliwe.

— Tak, przysięgam.

— Mam gdzieś nazwę jego firmy. Zastanawiam się...

Ariel ożywia się.

MEGHAN MARCH

— Jeśli masz nazwę firmy, to mogę go wysledzić w czasie krótszym niż pięć minut.

— Ari, jestem pewna, że Rhett powiedział ci, że masz skończyć z hakerstwem — wtrąca się Valentina.

— To żadne hakerstwo, tu chodzi o babską solidarność. Czy nie powinna przynajmniej znać nazwiska faceta, z którym się pieprzyła? Co gdyby... zaszła w ciążę czy coś. To konieczność.

— Zdecydowanie nie jestem w ciąży — stwierdzam, spoglądając na kieliszek wina. — Nie sądzę. To znaczy mam nadzieję, że nie. Na pewno nie.

— No i dobrze — mówi Ariel. Widzę, że palce niemal jej drgają, jakby już wyobrażała sobie pod nimi dotyk klawiszy. — No więc jaka jest nazwa firmy?

Czuję pustkę w głowie. Próbuję sobie przypomnieć, ale jedyne, co przychodzi mi na myśl, to jego przenikliwe niebieskie oczy.

— Nie pamiętam.

— Zdobądź ją dla mnie jutro i poszperam trochę — obiecuje, zerkając na Valentine. — Ona nie lubi, kiedy przynoszę ze sobą komputer, więc zostawiłam go w domu.

— Czy masz pojęcie, jakie kłopoty mogłybyśmy mieć, gdybyś go zabrała? Jestem żoną gliniarza!

W tym momencie dochodzę do wniosku, że babski wieczór to najlepszy wynalazek w historii świata. Nie licząc wielokrotnych orgazmów. I facetów bez imienia, którzy nie będą mogli się już długo przede mną ukrywać.

Rozdział 25

Temperance

— Dzięki za podwiezienie.

— Na pewno nie odprowadzić cię pod drzwi? — pyta Rix z troską, spoglądając zza kierownicy chevroleta suburban, gdy wysiadam i opieram się o bramę.

— Dam sobie radę, obiecuję.

— Poczekam, aż zobaczę światło w twoim oknie.

Ten facet to prawdziwy dżentelmen, a ja nadal zastanawiam się, jak to możliwe, że Valentina ma *dwie* przyjaciółki, które zajmowały kiedyś mieszkanie wynajmowane przeze mnie od Harriet. Żadnej z nich nie było na dzisiejszym babskim wieczorku, ale obiecała, że będą na następnym.

Na następnym.

Nawiązałam przyjaźnie i to naprawdę wspaniałe uczucie.

Czując nadal miły szum w głowie od wina i poczucia akceptacji, przechodzę przez bramę, zamykam ją za sobą, macham do Rixa i ruszam ścieżką w kierunku patio. Wchodząc po schodach, muszę trzymać się poręczy, żeby nie spaść i nie skrzyć sobie karku.

Nie jestem jeszcze gotowa umierać. Czekam na kolejny babinski wieczór i mam tajemniczego nieznajomego do wyśledzenia.

Gdy wchodzę na górę, z ciemności rozlega się głos i omal nie dostaję zawału.

— Zadajesz się teraz z glinami, Tempe?

— O mój Boże! — wrzeszczę, nim uświadamiam sobie, że to Elijah.

— Jezu Chryste, kobieto.

— Przeraziłeś mnie na śmierć.

— A ja sądziłem, że ucieszysz się, słysząc, że mam informacje o twoim bronco.

Czuję falę ekscytacji.

— Naprawdę?

— Temperance? Wszystko okej? Zdawało mi się, że słyszałem krzyk — dobiega zza bramy głos Rixa.

— To ten gliniarz? — pyta cichym głosem Elijah.

— W porządku! — wołam do Rixa. — Po prostu zobaczyłam szczura wielkości kota. Wchodzę do środka, dzięki!

Wsuwam dłoń do torebki i znajduję klucze. Elijah wyjmuję mi je z ręki, gdy przy drugiej próbie nie udaje mi się trafić do zamka.

— Jesteś wstawiona.

— To nie twój zakichany interes — stwierdzam, pstrykając włącznikiem światła.

— Mój, jeśli zamierzasz puścić pawia w moim samochodzie, gdy pojedziemy na przejażdżkę.

Odwracam się i spoglądam na niego.

— Dokąd?

— Chcesz swój samochód czy nie?

— To głupie pytanie.

— W takim razie poczekamy, aż gliniarz odjedzie, i spadamy.

Mrużę oczy, spoglądając na niego, jednak nadal widzę dwóch Elijahów w swoim mieszkaniu.

Bezwzględny książę

— Nie kłamiesz czasem? To nie jest jakaś sztuczka?

— Zadzwoiłaś do mnie po pomoc, pamiętasz?

W tej chwili mam umysł tak zamglony, że ledwie pamiętam, co robiłam pięć minut temu, nie mówiąc już o czymkolwiek wcześniejszym.

— Poczekaj — mówię i chwiejnym krokiem idę do salonu, gdzie padam jak kłoda na sofę.

— Będziesz rzygać?

— Zamknij się. Nie mam już siedemnastu lat i nie uciekam przez policję. Nie zrobiłam nic złego.

— W zeszłym tygodniu pomagałaś mi przy skradzionym samochodzie — przypomina Elijah, opierając się o blat.

— Zamknij się.

— Zawsze byłaś...

Nie wiem, co mówi dalej, bo powieki mi opadają, a ciało robi się ciężkie.

— Cholera, Tempe.

Rozdział 26

Temperance

Moje powieki trzepoczą niczym ociężałe motyle. Unoszę ramiona, żeby się przeciągnąć, i natrafiam na coś miękkiego.

— Cholera, uważaj, dziewczyno.

Otwieram oczy i odwracam głowę, zdumiona. Elijah trzyma się za nos, w który najwyraźniej właśnie go uderzyłam.

— O mój Boże, co u licha? — Podnoszę się do pozycji siedzącej, a gdy kołdra, którą jestem okryta, opada, ukazując... *wszystko*, znowu piszczę. — Coś ty zrobił, Elijahu Josephie Devereux? Jeśli mnie choćby tknąłeś, zabiję cię!

Rozczochrane włosy opadają mu na czoło i uśmiecha się krzywo, gdy chwytam kołdrę, żeby zakryć piersi.

— Cóż, wczoraj w nocy... — zaczyna.

Moja dłoń zawisa nad szafką nocną.

— Pomyśl, co dokładnie chcesz powiedzieć, bo mogę mieć palec na spuście w mniej niż trzy sekundy.

O dziwo w odpowiedzi uśmiecha się jeszcze szerzej.

— Jesteś cholernie seksowna, gdy straszysz, że mnie zastrzelisz. Naprawdę jesteś piękna, Tempe. To, że znowu cię widzę... w takim

stanie... jest jak cios pięścią w żołądek. — Jego spojrzenie wędruje ku potarganej pościeli, przesuwając się po mojej twarzy i zatrzymuje na dłoni ściskającej kołdrę przy piersi. — Tęsknię za tobą. I to bardzo.

Jego słowa otulają mnie jak ciepły koc, jednak nie jestem już tą dziewczyną, za którą tęskni Elijah. I to od dawna.

Gdy nic nie odpowiadam, pochyla się bliżej i kołdra zsuwa się z jego piersi. *Jezu Chryste, żeby tylko nie był nagi.*

— Nie tknąłem cię, ale przysięgam, że miałem na to ochotę. — Jego naga pierś unosi się i opada, a w głosie brzmi szczerość, jakiej chyba jeszcze nigdy nie słyszałam. — Naprawdę chciałem tego bardzo.

Pochyla głowę, jakby chciał mnie pocałować, i czuję, że to chwila na podjęcie decyzji. *Mogę iść wstecz albo naprzód.*

Nie mam pojęcia, co kryje przyszłość, a tajemniczy nieznamy najwyraźniej nie będzie jej częścią, ale wiem, że Elijah to moja przeszłość.

— Ubierz się, Eli — zdieram z niego kołdrę, owijając się, i wstaję z łóżka.

Odsuwa się, zupełnie nieprzejęty faktem, że właśnie zerwałam z niego okrycie, i prezentuje mi swój poranny wzwód.

— Na pewno tego chcesz?

Elijah zawsze był pewny siebie.

Odwracam się.

— Ciuchy, Eli. I ciesz się, że cię nie zastrzeliłam za to, że zdjąłeś ze mnie ubranie, gdy byłam nieprzytomna.

Wzdycha.

— A więc to tak? Nawet mi nie podziękujesz?

Ruszam do łazienki i rzucam mu spojrzenie ponad nagim ramieniem.

— To tak, odkąd zdecydowałeś się pokazać Lindsey Jo tylne siedzenie swojego samochodu, gdy miałam siedemnaście lat i byłam na tyle głupia, żeby rozważać porzucenie dla ciebie moich planów.

Elijah prostuje się i spoglądam mu w twarz.

— I sądzisz, że to był przypadek, Temperance? Sądzisz, że nie wiedziałem dokładnie, co robię?

— Co masz na myśli? — Ściskam koldrę tak mocno, że mogłabym przebić materiał palcami.

Mruży oczy.

— Gdybym postawił cię przed wyborem: zostanie ze mną czy pójdzie do koledżu, oboje wiemy, że próbowałabyś pogodzić jedno z drugim. A gdyby zrobiło się ciężko, przerwałabyś studia. Sądzisz, że chciałem być za to odpowiedzialny? Za to, że porzuciłabyś swoje marzenia? Że chciałem patrzeć, jak narasta w tobie żal, gdy musiałabyś brać podwójne zmiany w barze, żeby związać koniec z końcem? Nie chciałem dla ciebie takiego losu.

Otwieram usta ze zdumienia.

— Zrobiłeś to specjalnie?

Elijah zdecydowanie kiwa głową i zasłona kłamstw, skrywająca przeszłość, opada nagle.

— Pewnie, że tak. Ledwie mi stanął, bo wiedziałem, że jak tylko ją tknę, zrezygnuję z najlepszego, co mi się kiedykolwiek przytrafiło. Ale pragnąłem dla ciebie czegoś lepszego. — Opuszcza wzrok na łóżko. — I nadal tego chcę.

Czuję silny przyływ emocji i boję się, że zaraz się rozplacę. Odwracam się, nie będąc w stanie na niego spojrzeć, i chowam w niewielkiej łazience. Zamykam bezgłośnie drzwi i przysiadam na skraju staroświeckiej wanny na lwich łapach.

Przez lata miałam żal do Elijaha, że najpierw odebrał mi dziewictwo, a w zaledwie kilka tygodni później mnie zdradził. Właśnie przez to postanowiłam zerwać więzy łączące mnie z tym miejscem i uciec w przeciwnym kierunku. Pracowałam ciężko, żeby nigdy nie musieć tam wracać.

I nie miałam pojęcia, dlaczego to zrobił.

Pali mnie w gardle.

Nienawidziłam go przez lata, a on na to nie zasługiwał. Elijah był realistą. Wiedział, że nie mam w zwyczaju się poddawać. Nie chciałabym zrezygnować z niego... ale mogłabym zrezygnować ze studiów, gdybym była zmuszona dokonać takiego wyboru. Skrzywdził mnie, ale zrobił to, żebym mogła zyskać przyszłość, jakiej dla siebie pragnęłam.

To on był tym szlachetnym, a ja byłam jędzą.

Biorę kilka głębokich oddechów, a gdy czuję, że nogi przestają mi drżeć, wstaję i spoglądam na siebie w lustrze.

Moja decyzja sprzed kilku minut — aby iść naprzód, nie wstecz — wydaje się teraz bardziej okrutna niż naprawdę była. Nic nie jest czarno-białe i najwyraźniej nic nie jest takie, jakim się na pozór wydaje. Elijah nie jest zdradzającym dupkiem, za jakiego go miałam, a jego celem nie było po prostu zaliczenie jak największej grupy dziewczyn.

Nawet jednak ta świadomość nie zmienia tego, że to, co do niego czułam, należy już do przeszłości. Tyle tylko, że teraz mogę na tę przeszłość spoglądać bez gniewu i żalu.

On nie jest dla mnie, ale jestem mu winna przeprosiny i może podziękowania.

Obmywam twarz zimną wodą, wycieram rozmazany tusz spod oczu i próbuję opanować włosy, związując je w koński ogon, po czym wkładam wiszący na drzwiach szlafroczek.

Gdy wchodzę z powrotem do pokoju, Elijah stoi zwrócony plecami do mnie i wciąga przez głowę koszulkę z napisem Devereux Recycling. Wśród napiętych mięśni jego pleców widzę blizny, których nie było tam wcześniej. Blizny, które rozpoznaję, bo zdarzyło mi się pomagać Rafe'owi w podobnych okolicznościach.

To ślady po kulach.

Nie wiem, skąd je wziął, ale to kolejny znak, że powrót do życia na bagnach oznacza życie poza prawem.

Nie chcę tego robić.

Jestem teraz przykładną, odnoszącą sukcesy obywatelką.

Tak, moja szefowa jest żoną najbardziej przerażającego przestępcy w mieście, ale uznaję, że to nie ma znaczenia.

Ponieważ nic nie jest czarno-białe.

Elijah przerywa milczenie, zanim ja to zrobię.

— Wysłałem wiadomość do swojego człowieka. Twój samochód nadal stoi tam, gdzie był. Nikt go nie ruszył ani nie rozebrał na części. Facet powiedział jednak, że nie lubią tak długo zostawiać rzeczy nietkniętych, więc musimy się ruszyć, zanim ktoś straci cierpliwość i bronco zniknie.

— Dziękuję.

— Nie ma sprawy. — Kiwa głową.

— Nie tylko za to... — Potrząsam głową i przełykam ślinę. — Również za tamto... za wszystko inne. Za to, co zrobiłeś. To...

— Nie musisz mi dziękować. Nie zrobiłem niczego poza pokazaniem ci, że nie jestem dobrą partią. Taka prawda.

— Uwierzyłeś we mnie. W moje marzenia. Nie krytykowałeś mnie za to, że pragnęłam czegoś więcej niż mogło mi zaoferować życie tutaj. Nie kwestionowałeś tego, nie kazałeś mi się tłumaczyć. Po prostu... pozwoliłeś mi być taką, jaką jestem... a potem pozwoliłeś mi odejść. — Mój głos chrypie z emocji pod koniec tej przemowy.

Elijah opuszcza wzrok na podłogę, po czym znowu spogląda mi w oczy.

— Wszyscy pragniemy czegoś więcej, Tempe, ale tylko ty naprawdę miałaś w sobie dość uporów i zapału, żeby faktycznie to osiągnąć. Jestem z ciebie dumny.

— Dziękuję.

Kiwa mi głową.

— To co, jedziemy odzyskać twój samochód?

— Tak jest.

Kieruje się do drzwi.

— Poczekam w aucie.

Zanim zdążę odpowiedzieć, wciąga buty i wychodzi.

W ciągu mniej niż pięciu minut jestem gotowa i wychodzę. Elijah stoi przy półciężarówce marki ford, zaparkowanej na dwóch miejscach. *To ten sam samochód, w którym...* Nie kończę tej myśli.

Sięgam do starej srebrnej klamki, naciskam ją i wsiadam do środka.

— Myślałam, że już zezłomowałaś tego gruchota.

— Nieee, to już zabytek i jest wart kupę szmalu. Ale nigdy go nie sprzedam. A przynajmniej dopóki jeździ.

Stare auto wytacza się na ulicę.

— Dokąd jedziemy?

— To w drugiej części miasta. Potem będziesz udawać, że nigdy tam nie byłaś i nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiać — mów, zerkając na mnie z ukosa. — Wiesz, co mam na myśli.

— Dobrze, dzisiaj będę głucha, ślepa i nedorozwinięta. — Wyglądam przez okno. Jakiś samotny mężczyzna ubrany w garnitur idzie do pracy w sobotni poranek. — Rozumiem.

— Wiesz, jak jest. To nie twój samochód. Właśnie takiego wozu szukałem dla jednego znajomego, żeby go odnowić.

— Yhm — mówię, unikając patrzenia na Elijaha. I wtedy właśnie dostrzegam *jego*. Sztynnieję na siedzeniu, prostując się, gdy patrzę na mężczyznę przy stoliku w kawiarni nad filiżanką kawy.

Mrugam, upewniając się, że nie mam halucynacji, ale... *to on. Mój nieznajomy z klubu.*

Tym razem nie ma na sobie garnituru, tylko T-shirt i jeansy. Na głowie ma kapelusz voodoo ocinający oczy skierowane teraz prosto na mnie.

Okna w furgonetce Elijaha nie są przyciemniane, więc nic nie ukrywa faktu, że na niego patrzę. Na twarzy pojawia mu się błysk rozpoznania.

Mężczyzna w garniturze zwalnia, docierając do kawiarni. Wyciąga spod pachy grubą gazetę i rzuca ją na stolik przed moim nieznanym, nie zatrzymując się, ani nawet na niego nie patrząc.

Mój nieznanomy nie porusza się, ani za nim nie odwraca. Nie spogląda na gazetę. Jest całkowicie skupiony na mnie.

Elijah coś mówi, jednak jego słowa brzmią, jakby docierały spod wody. Kręci mi się w głowie z powodu tego, co zobaczyłam.

Czy to było przekazanie czegoś? Nawiazanie kontaktu?

Kim on jest?

Mijamy kawiarnię i nadal czuję na sobie palące spojrzenie nieznanomego. Nie mogę się powstrzymać i obracam za nim głowę, podczas gdy Elijah nadal jedzie naprzód.

— Tempe. Temperance?

Spoglądam z powrotem na Elijaha.

— Co?

— Przestałaś nagle kontaktować. Co się dzieje, do cholery?

— Nie wiem. Po prostu... zdawało mi się, że zobaczyłam kogoś znajomego.

Zerka we wsteczne lusterka.

— Teraz podobają ci się faceci w garniturach? Kto by pomyślał.

Pobudza to moją ciekawość. Odwracam się i spoglądam przez tylną szybę za mężczyzną w garniturze, który odprowadza nas wzrokiem do ostatniej chwili, nim zniknie za rogami.

W ogóle go nie rozpoznaję, ale on z jakiegoś powodu mi się przyglądał.

Czuję zimny dreszcz. *Co, u diabła, się dzieje?*

— Myliłam się. Nigdy wcześniej go nie widziałam — mówię, odwracając się z powrotem do przodu.

— Może i dobrze, bo jestem właściwie pewien, że ten facet pracuje dla męża twojej szefowej.

Zerkam na Elijaha.

— Co? Który facet?

— Ten w garniturze. — Elijah wzrusza ramionami. — Mogę się mylić. Może to kto inny. Mam nadzieję, że nie grozi, że ta znajomość ci jakoś zaszkodzi, więc to nie ma znaczenia.

W głowie mi się kręci, gdy zastanawiam się, w jaki sposób mój niezajomy może być powiązany z Lachlanem Mountem, królem przestępczego podziemia, jednak udaje mi się wymamrotać:

— Staram się trzymać od tego jak najdalej. To znaczy, że w ogóle to dla mnie nie istnieje.

— Zastanawiałem się, dlaczego zadzwoniłaś do mnie, a nie do niego.

To dobre pytanie.

— Rafe nie odbierał. Ty byłeś kolejną osobą, która przyszła mi do głowy. Nie mam zwyczaju zanosić moich problemów pod drzwi szeptowej, zwłaszcza kiedy właśnie wyjechała na wakacje.

Elijah spogląda na mnie, po czym wjeżdża na główniejszą drogę.

— Od ciebie Rafe też nie odebrał? Sądziłem, że nie odbiera tylko ode mnie.

Drugi raz w ciągu paru minut czuję zimny dreszcz.

— Ile razy próbowałeś do niego dzwonić?

— Dostatecznie wiele, żeby zrozumieć, że tym razem naprawdę postarał się zniknąć. Sądziłem jednak, że od ciebie zawsze odbiera, niezależnie od wszystkiego.

Czuję, jak zalewa mnie fala niepokoju o to, w co tym razem wplątał się mój brat.

— Ja też tak do tej pory sądziłam.

Rozdział 27

Temperance

Siedzę w bronco odzyskanym z jakiegoś szemranego warsztatu, o którym istnieniu mam zapomnieć, i jadę z powrotem do domu.

Gdy mijam kawiarnię, zwalnim tak, że jadę zaledwie dziesięć kilometrów na godzinę. Wszystkie stoliki są teraz zajęte, jednak przy żadnym z nich nie widzę wytatuowanego mężczyzny o szerokich barach i przeszywającym spojrzeniu.

Nie, żebym spodziewała się, że nadal tu będzie... ale pewna część mnie miała na to nadzieję, bo może pozwoliłoby mi to uzyskać jakieś odpowiedzi. Na przykład co robił tak blisko mojego domu? Czy mnie obserwował?

Znajduję miejsce parkingowe w pobliżu swojego mieszkania, co jest rzadkością. Wsiadam i starannie zamykam wszystkie drzwiczki.

Nie wiem, jakim cudem miałam aż takie szczęście, ale moja rzeźba nadal znajduje się w samochodzie, nietknięta. Być może zawdzięczam to Elijahowi. Gdyby nie on, zapewne już dawno by jej nie było.

Najwyraźniej to dzień, w którym powinnam mu nieustannie dziękować.

Wyglądał na zakłopotanego, gdy mu to powiedziałam, przynajmniej dopóki nie oznajmił, że nadal wiszę mu przysługę i będę ją musiała wyświadczyć, gdy o to poprosi, nie zadając żadnych pytań. Nie chcę nawet wiedzieć, co to będzie, ale nie mogłam mu przecież odmówić.

Ruszam w kierunku bramy i otwieram ją. Kiedy zamyka się za mną z trzaskiem, robię kilka kroków w stronę dziedzińca i nagle zamieram, gdy mój wzrok pada na stojący na nim stół.

Leży na nim gazeta. Nie było jej tam, gdy wychodziłam.

Biegnę do tylnych drzwi mieszkania Harriet i pukam. *Może wróciła, a ja o tym nie wiedziałam?*

Czekam, jednak nikt nie otwiera. Stukam głośniej.

— Harriet?

Nadal żadnej odpowiedzi.

Mam serce w gardle, gdy zbliżam się do gazety. Jest pochłapana czymś, co wygląda jak kawa.

On tu był.

Na dziedzińcu.

O. Mój. Boże.

Odwracam gazetę i tytuł na pierwszej stronie sprawia, że żołądek zaciska mi się w twardą kulę.

Znany artysta Gregor Standish popełnił samobójstwo.

Rany boskie, to nie może być prawda!

Kolana się pode mną uginają i padam na krzesło.

Standish nie żyje. Nie jestem aż tak naiwna, żeby wierzyć gazecie.

Ktoś go zabił.

Muszę porozmawiać z Keirą. To jedyna osoba, która może mi powiedzieć, czy powinnam panikować, czy też uspokoić rozszalałą wyobraźnię. Wiem, co dzieje się z ludźmi, którzy wkurzyli Mounta świadomie lub nie, i wszystko mówi mi, że to kolejny przypadek z cyklu „muszę udawać, że nigdy wcześniej nie słyszałam o tym człowieku”.

Zamykam gazetę drżącymi dłońmi, jednak w tym momencie coś wysuwa się spomiędzy stron.

Czarna wizytówka z dobrze znanym mi logo oraz datą i godziną.

Dziś wieczór.

Nie mogę tego zrobić.

Naprawdę nie mogę.

Siedzę w wannie już tak długo, że jestem pomarszczona jak suszona śliwka, ale i tak dolewam więcej gorącej wody. Nie potrafię przestać wpatrywać się w złożoną gazetę leżącą na skraju umywalki i na czarną wizytówkę, którą położyłam na szklanej półeczce nad nią.

Jeśli zostanę w wannie, mogę uciekać przed rzeczywistością.

Jeśli wyjdę, będę musiała zdecydować, co zrobię dzisiaj wieczorem.

Z jednej strony pragnę poznać odpowiedź, z drugiej się tego boję. Tak naprawdę nie wiem, czy chcę wiedzieć, jaki związek łączy nieznanego ze śmiercią Standisha.

Nie chcę nawet myśleć o tym, że on rzeczywiście nie żyje.

To wszystko moja wina. Gdybym nie trzymała swojej rzeźby w biurze, nie doszłoby do pomyłki, nie wystawiono by jej na sprzedaż zamiast dzieła Standisha, on nie wściekłby się i nie obsmarowałby Seven Sinners we wszelkich możliwych mediach społecznościowych i na stronach internetowych.

Ale tak się stało. A teraz nie żyje.

Nie mogę w to uwierzyć.

Jak powiem o tym Keirze? To znaczy zakładając, że jeszcze tego nie wie. Musi wiedzieć... prawda?

Dlaczego jestem tym aż tak zszokowana?

Bo chodzi o śmierć. Śmierć nigdy nie powszednieje, zawsze jest szokująca, a przynajmniej powinna być. To właśnie czyni mnie normalnym człowiekiem.

Tak samo jak poczucie winy.

Katuję się przez kolejne piętnaście minut, po czym w końcu odpycham te myśli od siebie. Niezależnie od tego, ile czasu poświęcę na obwinianie się, on nadal będzie nieżywy. Nic, co zrobię lub powiem, tego nie zmieni. Moje poczucie winy nie zniknie, ponieważ mam swój udział w jego śmierci, nawet jeśli to nie ja ją zleciłam ani nie pociągnęłam za spust.

Niemożliwe bowiem, żeby Standish sam to zrobił.

Gonitwa myśli trwa w mojej głowie, gdy wyruszam samochodem do Noble Art, mając nadzieję, że mimo problemów z wozem Valentina nadal będzie zainteresowana moją rzeźbą, a może nawet większą ich liczbą.

Nie mam pojęcia, kiedy znajdę czas, żeby je stworzyć, ale... jeśli Valentina mówi, że będą się sprzedawać i to z zyskiem, to błędem byłoby nie spróbować.

Czy w jakiś sposób nie jestem wręcz tego winna Standishowi? W końcu moja sztuka jest jednym z powodów, dla których już nie stąpa po tej ziemi... chociaż to bardzo ponura myśl.

Znajduję wolne miejsce naprzeciwko Noble Art i parkuję.

Dam radę. Zrobię to.

— Temperance! Odzyskałaś samochód! — słyszę głos Valentyny dochodzący z drugiej strony ulicy.

Tym razem to ona ma dziecko w chuście na piersi i nie mogę się nie uśmiechnąć, widząc, że nawet z nim jest w stanie wyglądać stylowo, jakby to właśnie był ostatni krzyk mody w zakresie pożądanych dodatków. A może tak właśnie jest w przypadku tej wspaniałej pary.

Otwieram drzwiczki i uśmiecham się do niej szeroko i szczerze, chyba po raz pierwszy tego dnia.

— Tak, i *co więcej*...

— Odzyskałaś rzeźbę? — pyta Valentina, wyglądając, jakby wstrzymywała oddech.

— Owszem.

Cicho klaszcze w ręce, po czym rozgląda się w obie strony i przechodzi przez ulicę.

— Możemy ją zobaczyć?

Zerkam na ciemnowłosego chłopczyka na jej piersi.

— Przespał to wszystko? Nieźle. Oczywiście, że możesz.

Valentina śmieje się.

— On byłby w stanie przespać nawet wybuch atomowy. Ten dzieciak jest niesamowity. Dlatego powiedziałam, że powinniśmy poprzestać na jednym, jednak Rix się nie zgadza. Kłócimy się o to, co w praktyce oznacza, że stara się mnie zahukać. Przysięgam, ten facet nie zdaje sobie sprawy, że gdy to robi, wydaje mi się jeszcze bardziej seksowny. — Przykłada dłoń do policzka. — A może właśnie wie, co robi? Zastanawiam się, czy próbuje tu zastosować odwróconą psychologię? A to cwaniak! No dobrze, to zobaczmy ją.

Prowadzę ją pod tył samochodu i otwieram klapę, po czym odsłaniam koc.

— Lepiej wygląda, gdy stoi, ale...

Valentina przerywa mi, unosząc dłoń.

— Jest cudowna. A te materiały, których użyłaś, żeby zrobić podstawę... co to jest?

— Część metalowej beczki.

Oczy jej błyszczą.

— Bardzo mi się podoba, naprawdę. Ostatnio upcycling jest naprawdę na topie i ciągle dostaję zapytania o dzieła w stylu industrialnym, zwłaszcza od ludzi, którzy przerabiają stare magazyny i fabryki na biura i lofty. — Wyciąga telefon i pisze wiadomość. — Rix niedługo tu wpadnie, więc poproszę, żeby wziął kogoś do pomocy i wniesiemy ją do środka. W międzyczasie możesz mi opowiedzieć, co jeszcze masz.

Zamykam klapę i idę wraz z nią przez ulicę w kierunku Noble Art, z trudem odrywając wzrok od samochodu.

— W tej chwili nie mam jeszcze nic skończonego na sprzedaż, ale zwykle nie potrzebuję dużo czasu.

Przygląda mi się.

— Co byś powiedziała, gdybym zleciła ci kilka rzeźb? Podsunęła kilka sugestii... Czy to zaburzyłoby twój proces twórczy? Jeśli tak, to nie musimy...

— Nie, to świetny pomysł. Nie mogę obiecać, że będą wyglądały dokładnie tak, jak to sobie wyobrażasz, ale stworzenie czegoś konkretnego to interesujące wyzwanie.

— Naprawdę miałam nadzieję, że to powiesz! — Valentina uśmiecha się jeszcze szerzej. — Mam w głowie kilka pomysłów, których realizacja, moim zdaniem, może wyjść świetnie, i jestem pewna, że będę w stanie sprzedać rzeźby jeszcze przed ukończeniem.

Sięga po szkicownik i zaczyna rysować. Z każdą kolejną kreską moje podekscytowanie rośnie.

Most. Wieżowiec. Waga sprawiedliwości.

— Wiem, że to może wyglądać na przypadkowy zbiór, ale mam kilku architektów wewnątrz, którzy ciągle zamęczają mnie o takie rzeczy. Kupią, zanim zdolały je postawić w galerii. Czy sądzisz, że mogłabyś to zrobić?

Stukam w kartkę i spoglądam na nią.

— Oczywiście.

— W takim razie czas na pytanie za milion dolarów... Za ile?

Umysł mówi mi, że powinnam zacząć od wysokiej kwoty, którą potem obniżę w procesie negocjacji, jednak w przypadku Valentiny postanawiam przyjąć inną technikę.

— Przed aukcją nie sądziłam, że ktokolwiek chciałby zapłacić cokolwiek za moją rzeźbę, a już na pewno nie takie pieniądze. Wiem, że cena wynikała częściowo z tego, że dochód przeznaczony był na cele charytatywne, co zdecydowanie wpłynęło na szczodrość oferty, ale... Zupełnie nie wiem, Valentino. Potrzebuję, żebyś podrzuciła mi jakąś

MEGHAN MARCH

kwotę wyjściową. Nie chcę tego spieprzyć i żebyś wyrzuciła mnie za drzwi, zanim jeszcze stworzę cokolwiek.

Jej uśmiech, szeroki i szczery, odsłania równe białe zęby.

— Doceniam twoją szczerłość. Może przygotuję ofertę na pięć rzeźb, wliczając tę jedną, którą już skończyłaś i potem ją przedyskutujemy?

— Brzmi świetnie.

Rozdział 28

Temperance

— O rany! — Z podziwem wpatruję się w rzeźbę wystawioną pośrodku galerii.

— Nieźle, co?

Obok mnie staje studentka Akademii Sztuk Pięknych, Trinity, która pracuje w galerii Valentyny.

— To niesamowite.

— Gdy pierwszy raz zawiesiła jeden z moich obrazów na ścianie, rozplakałam się. Trudno mi było uwierzyć, że to dzieje się *naprawdę*.

— Doskonale to rozumiem.

— Powinnam właściwie powiedzieć, że to było totalne szaleństwo, ponieważ ktoś *kupił go* w dziesięć minut później. Za prawdziwe pieniądze.

Uśmiecham się tak szeroko, że aż zaczynają mnie boleć policzki. Zerkam na Trinity.

— To niewiarygodne, prawdziwe spełnienie marzeń.

— Tak się stało, ponieważ Valentina przekonała mnie, że mam prawo o tym marzyć. Pchała mnie do tego, nie pozwoliła mi odpuścić ani zejść na manowce. Bo oczywiście pojawił się ten facet...

— Zawsze jest jakiś facet... — mamroczę.

Z zaplecza dobiega głęboki śmiech i obydwie spoglądamy w tamtą stronę.

— Czasami jednak jest to ten właściwy facet — stwierdza Trinity. — Nawet jeśli na pozór wygląda jak zupełnie nieodpowiedni.

Marszczę brwi i spoglądam jej w oczy.

— Co to ma oznaczać, Obi-Wanie?

— Tylko tyle, że nie zawsze od razu wiadomo, z kim masz do czynienia — wyjaśnia Trinity.

W drzwiach pojawia się wysoka sylwetka Rixa.

— Ona nie wiedziała. Postanowiła zaufać i okazało się, że to była najlepsza decyzja w jej życiu — kończy.

— Brzmisz jak filozofka, nie artystka.

Trinity wzrusza ramionami.

— Kochałam i straciłam miłość. Cóż mogę powiedzieć.

Rix i Valentina podchodzą do nas.

— Postaraj się nie brzmieć jak aż tak zblazowana i zmęczona życiem, Trin. Jesteś na to zbyt młoda — mówi Valentina.

— Jest zbyt młoda na wiele rzeczy, a i tak je robi — dodaje Rix.

— Dobrze, przestańcie oboje. Temperance pomyśli sobie, że jestem osiemnastoletnią idiotką.

— Ty to powiedziałaś, nie ja — droczy się z nią ze śmiechem Rix.

Te przekomarzanki zostają przerwane, gdy dzwonek u drzwi brzęczy i do środka wchodzi para.

— Miałam nadzieje, że wam się uda. Jesteście nawet wcześniej, niż się spodziewałam — mówi Valentina, idąc w ich stronę.

Oni jednak nie patrzą na nią ani nie zwracają uwagi na jej słowa. Idą prosto na środek pomieszczenia, gdzie stoi moja rzeźba.

— Zapiera dech w piersiach.

Mężczyzna wreszcie spogląda na Valentinę.

— Skąd wiedziałaś? Jak to jest, że nigdy się nie mylisz?

— To dar.

Kobieta wyciąga rękę, jednak cofa ją, nim dotknie metalu.

— W porządku — mówię jej. — Można jej dotykać, jest solidna. Obydwoje odwracają głowy w moją stronę.

— Czy to autorka? — pyta mężczyzna, zwracając się do Valentyny, po czym znowu spogląda na mnie.

Gdy nie od razu mu odpowiada, uświadamiam sobie, że daje mi możliwość zadecydowania, jak chcę to rozegrać.

— Jestem Temperance... i tak, to moja rzeźba — potwierdzam i przyznanie się do tego sprawia mi *niesamowitą* frajdę.

Mężczyzna pospiesznie podchodzi do mnie i wyciąga dłoń.

— Nie wiem, dlaczego Valentina nie znalazła cię wcześniej, ale to jest *dokładnie* to, czego szukaliśmy do naszego loftu. Jest idealna. Powiedz mi, czy masz jeszcze jakieś rzeźby? Potrzebuję...

Gdy wychodzę z Noble Art z czekiem w torebce, czuję się, jakbym była w siódmym niebie.

Zamiast czekać, aż opracuje ofertę, Valentina niezwłocznie przystąpiła do negocjacji z tą parą, zaczynając od: „Czy wiecie, że jedna z jej rzeźb ostatnio sprzedała się za pięćdziesiąt tysięcy?”.

Gdy w odpowiedzi nawet nie mrugnęli, Valentina poszła na całość. Udało jej się sprzedać rzeźbę za czterdzieści tysięcy i nawet po odliczeniu prowizji otrzymałam czek na większą sumę, niż zarabiam w ciągu pół roku.

Za moje dzieło sztuki.

Za coś stworzonego z resztek metalu w oparciu jedynie o własną wizję i umiejętności, które sama zdobyłam.

Czyż to nie szaleństwo?

Niemal podskakuję z podekscytowania na siedzeniu bronco. To czysty *surrealizm*.

Wyciągam telefon, żeby zadzwonić do Rafe'a, ponieważ on też nie będzie mógł w to uwierzyć. Gdy połączenie znowu od razu przekierowuje się na pocztę głosową, mój entuzjazm częściowo zamienia się w strach.

Gdzie jesteś, Rafe? Czy wszystko w porządku?

Nasz ojciec pewnego dnia wypłynął łodzią i nigdy nie wrócił, i najbardziej na świecie oprócz porażki boję się właśnie tego, że tak samo stracę brata: pewnego dnia po prostu zniknie, pozostawiając po sobie wiele pytań i żadnych odpowiedzi.

Jest wszystkim, co mam.

Dzwonię jeszcze raz. Znowu włącza się poczta i tym razem głosem drżącym od powstrzymywanych łez nagrywam wiadomość, mówiąc mu o tym, czego dokonałam i jak jestem z tego dumna. Jak bardzo mam nadzieję, że on też będzie ze mnie dumny.

Gdy się rozłączam, łza spływa mi po policzku. Modlę się, żeby mój brat otrzymał tę wiadomość, i błagam wszystko, co święte, żebym mogła się z nim jutro zobaczyć.

Proszę, Rafe, nie możesz opuścić moich urodzin.

Iść czy nie iść?

Wśród wielu myśli krążących mi w głowie jest wiele milion razy ważniejszych, jednak właśnie ta ciągle do mnie powraca.

Wizytówka leży na stoliku kawowym obok pochłapanej kawą złożonej gazety. Próbuję dojść do tego, co te dwie rzeczy mają ze sobą wspólnego — poza pewnym tajemniczym mężczyzną, którego imienia nawet nie znam.

I który, zdaje się, kupił moją rzeźbę.

Kim, do diabła, jesteś? Wyciągam służbowy laptop. Znajduję adres mailowy aukcjonera i wysyłam mu e-mail, przeklinając swoją słabą pamięć.

Mam mnóstwo pytań.

Czy siedział w tej kawiarni z mojego powodu? A może czekał na spotkanie? Tak to właśnie wyglądało...

Czy pracuje dla Mouna? A może Elijah zupełnie się mylił?

Czy miał coś wspólnego ze śmiercią Standisha?

Zamykam program do notatek i zaczynam chodzić nerwowo po mieszkaniu, zaczynając się martwić jeszcze inną sprawą: swoim bratem. Jeśli będę tu siedzieć i przez całą noc zadrećcać się tym, co mogło się mu przytrafić, oszaleję.

Mam dwie możliwości, żeby o tym zapomnieć. Iść do klubu albo pojechać na złomowisko Elijaha.

Dwóch zupełnie odmiennych mężczyzn.

Dwa zupełnie różne miejsca.

Dwa zupełnie inne motywy.

Co zrobić?

Rozdział 29

Temperance

Gdyby Harriet była w domu, usiadłabym z nią na dziedzińcu, napiłyśmy się wina i słuchałabym opowieści o jej niesamowitym życiu. Jednak jej nie ma — jest zajęta życiem pełnią życia.

Ostatni raz rozglądałam się po mieszkaniu, mając wrażenie, jakby ściany się wokół mnie zamykały. Idę do szafy i oceniam swoją garderobę, jak gdyby znalezienie odpowiedniego stroju miało przesądzić o tym, co będę robić dziś w nocy. Skończyły mi się małe czarne i czerwone, jak również seksowne spódnice. Moje poczynania w ostatnim czasie sprawiły, że nosiłam już wszystkie podniecające stroje i oczywiście nie miałam czasu, żeby zrobić pranie lub odnieść je do pralni. Ponieważ naturalnie byłam zajęta albo pracą, albo wykradaniem się do klubu, gdzie uprawiałam najlepszy seks w swoim życiu.

Najlepszy seks w moim życiu.

Ta myśl budzi jakieś uśpione części mózgu i nagle zaczynam się zastanawiać, dlaczego w ogóle mam wątpliwości, czy pójść do klubu.

A, zaraz, przecież nie wiem, kim on w ogóle jest, i nie mogę ryzykować, że jeszcze bardziej przywiążę się do faceta, którego życie jest *skomplikowane*.

Mogłabym je dla niego odkomplikować, myślę sobie, przerzucając wieszaki w szafie, a równocześnie w myślach strofując się, że w ogóle to rozważam.

Ciuchy do pracy. Ciuchy do pracy. Stare ciuchy do pracy. Jeszcze starsze ciuchy do pracy.

Gdyby ktoś osądzał mnie na podstawie zawartości szafy, to jestem pewna, że mógłby dojść tylko do jednego wniosku: moje życie jest nudne.

Tak wiele czasu poświęciłam na pracę i budowanie reputacji, że właściwie wykopałam sobie przytulną jamkę, w której mogłabym żyć, aż umrę i zostanę w niej zasypana.

Świetnie, wpadamy w wisielczy humor.

Podchodzę do komody i otwieram górną szufladę, w której znajduje się skromna kolekcja seksownej bielizny. Jest pusta... bo naprawdę czas zrobić pranie. Otwieram niższą szufladę. *Spodnie do jogi.* Pod nimi? *Postrzępione džinsy.*

Założę się, że u Harriet znalazłabym bardziej ekscytującą garderobę niż ta, którą mam. Z drugiej strony nie po to harowałam i oszczędzałam, żeby wywalać pieniądze na ciuchy, w których mogłabym wychodzić na miasto i imprezować... *albo spędzać więcej czasu w ekskluibie.*

W takim razie sprawa przesądzona. Nie idę. Decyzja została podjęta w oparciu o brak odpowiedniego stroju.

Sięgam po spodnie do jogi i zastanawiam się, czy ich nie założyć i nie spędzić wieczoru w domu w łóżku z książką. Mam też odpowiednie zabawki i baterie w szufladzie szafki nocnej, żeby zapewnić sobie satysfakcję. *Nie potrzebuję go.*

To nie to samo, podpowiada mi do ucha diabełek siedzący na ramieniu, tak jakbym rzeczywiście tego nie wiedziała. Wiem, że to nie to samo. Wiem, że nic nie może się równać z dreszczem odczuwanym, gdy wchodzę po tych schodach, idę do jednego z tych pokoi i pozwalam, żeby instynkt przejął nade mną kontrolę. W tym problem: moim instynktem nie można ufać. Zbyt wiele razy sprowadzały mnie na manowce.

Ale może gdybym poszła tam ten jeden ostatni raz.

Jeszcze jeden raz.

Te słowa rozbrzmiewają mi w głowie, jakby wywrzaskiwał je tłum kibiców zgromadzonych na olbrzymim stadionie.

Pieprzyć to. Rzucam spodnie do jogi na łóżko i idę do kuchni po telefon, w którym od czasu babskiego wieczoru mam zapisanych parę nowych numerów.

Czy czuję się dobrze z tym, że chcę prosić jedną z tych dziewczyn o pomoc, chociaż nasza znajomość jest zupełnie świeża? Niezupełnie, ale jestem zdesperowana.

Znajduję numer Yve Titan i piszę nową wiadomość.

Temperance: *Czy Twój sklep z bielizną jest dziś otwarty?*

Odpowiedź przychodzi, jeszcze zanim zdążę wrócić do sypialni.

Yve: *Jestem tu teraz, potrzebujesz czegoś?*

Temperance: *Pracujesz w sobotni wieczór?*

Yve: *Mąż wyjechał z miasta, więc równie dobrze mogę zarobić. Przyjdź wydać trochę pieniędzy, mogę Ci znaleźć coś naprawdę ekstra.*

Temperance: *Już jadę.*

Yve wysyła mi w odpowiedzi emotkę z kobietą w czerwonej sukience.

Hm, w sumie mogłabym dzisiaj znowu założyć coś czerwonego.

Słodka Kicia, która znajduje się obok Pięknej Suki, ma prześliczny front w kolorze ostrego różu. Nigdy wcześniej nie odwiedzałam tego miejsca.

Yve wita mnie uśmiechem i szybkim uściskiem, kiedy wchodzę do środka.

— Trafiałaś!

— Prawdopodobnie to fatalna decyzja...

Jej oczy rozszerzają się.

— Takie są najlepsze. Chcesz mi o tym opowiedzieć?

— Pamiętasz, że wspominałam o tym klubie?

Prycha śmiechem.

— Jak mogłabym o tym zapomnieć! Jestem gotowa sama cię tam wysłać z pękiem moich wizytówek, żebyś napędziła mi trochę klienteli.

— A już chciałam cię poprosić, żebyś powiedziała mi, że mam tam nie wracać.

Ściąga brwi.

— Dlaczego, u licha, miałabym to zrobić?

— Ponieważ... Nie powinnam się stawiać na wezwanie jakiegoś faceta, którego imienia nawet nie znam. To nie ma sensu. Boże, nie powinnam ci tego nawet mówić. Pomyślisz sobie, że jestem zdzirą, a widzimy się dopiero drugi raz.

— Po pierwsze — zaczyna, krzyżując ramiona na przodzie wspaniałej sukienki w morskim kolorze — nie mam w zwyczaju o nikim mówić w ten sposób. Możesz robić, co chcesz i z kim chcesz, i jedyne, za co mogłabym cię osądzać — mówiąc „osądzać”, mam na myśli, że bym cię *zabiła* — to gdybyś próbowała się dobrać do mojego faceta. Albo faceta którejś z moich przyjaciółek. Czy to jasne?

Zdobywam się jedynie na skinienie głową.

— Oczywiście.

— Świetnie. W takim razie zajmijmy się resztą twojej niemądrej wypowiedzi.

— Niemądrej? Serio?

— Powiedziałaś, że uznam cię za zdzirę, prawda?

Znowu kiwam głową.

— Co masz przeciwko umawianiu się na seks?

— To po prostu wydaje się takie... bezosobowe, czyż nie?

— Chciałabyś wyjść za tego faceta?

Cofam się.

— Boże, nie.

— Więc dlaczego to miałyby być coś osobistego? Jesteś samotną, dorosłą kobietą, która może podejmować samodzielne decyzje. Dlaczego czujesz, że musisz się z tego komukolwiek tłumaczyć? Chcesz się z kimś przespać, to się prześpij. Nie musisz wybierać ślubnej zastawy, gdy będziesz to robić.

Ma rację, ale ja i tak mam wątpliwości.

— Nawet nie wiem, jak on się nazywa.

— To zadzwoń do Ari i pozwól jej trochę poszperać w internecie. Będziesz mogła go zaskoczyć, wykrzykując jego imię podczas szczytowania.

Po tym, co dzisiaj widziałam, jestem jeszcze bardziej ciekawa, kim jest mój nieznajomy.

Yve najwyraźniej nie potrzebuje odpowiedzi, bo już wie, jaką decyzję zamierzam dzisiaj podjąć.

— Zadzwoń do Ari natychmiast i umów się z nią tutaj. Powiedz, że mam dla niej coś, czym jej facet będzie zachwycony, ale musi przyjechać bez niego, za to zabrać ze sobą komputer. W międzyczasie znajdę ci coś wystrzałowego.

Yve oddała się i rusza w kierunku stojaków z fantastyczną bielizną.

— Myślałam o czymś czerwonym...

Odwraca się i uśmiecha do mnie promiennie.

— Jasne że tak. Wiem, czego potrzebujesz.

Otwieram swoją skrzynkę mailową i sprawdzam, czy aukcjoner mi odpowiedział.

Bingo, zrobił to.

Nunya Holdings. Nazwa brzmi egzotycznie. Może to jakaś międzynarodowa firma?

Tak, bo właśnie w międzynarodowych interesach organizuje się tego typu spotkania, jakiego byłam świadkiem dzisiaj rano.

Yve ma rację: czas znaleźć jakieś odpowiedzi. Szukam na liście kontaktów Ariel i wybieram numer.

— Powiedz, że znasz nazwę tej firmy — mówi Ariel. — Nie mogłam się już doczekać, żeby zacząć szukać jakichś informacji na ten temat i dowiedzieć się, kim jest twój tajemniczy nieznajomy. Do tego stopnia, że nie mogłam wczoraj zasnąć, co skończyło się trzykrotnym... nieważne zresztą. Masz tę nazwę? — Odkąd odebrała telefon, nie miała nawet czasu zaczerpnąć powietrza, bo cały czas mówiła.

— Tak. Tak, mam. Nunya Holdings.

Wybuchła śmiechem.

— *Nunya*? Jak *none of your business*? To nie twój interes!

— Co? Myślałam, że chcesz mi pomóc?

Śmieje się jeszcze głośniej.

— Stara, o rany. Dobrze, zacznijmy od początku. Czy kiedykolwiek zadałeś komuś pytanie, na które nie chciał odpowiedzieć?

— Oczywiście — potwierdzam, nie wiedząc, do czego zmierza. Może dlatego, że ona jest geniuszem, a ja zdecydowanie nie.

— I nie zdarzyło ci się, że ktoś odpowiedział ci, że to nie twój interes?

Wreszcie rozumiem i nie wiem, dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej.

— Chcesz powiedzieć, że nazwa tej firmy to dowcip?

Przestaje się śmiać.

— Powiedziałabym, że została wymyślona przez kogoś, kto ma interesujące poczucie humoru.

— Powiedz jej, żeby tu przyjechała! — woła Yve, podchodząc bliżej z naręczem czerwonej bielizny. — Mam dla niej coś fajnego.

— Czy to Yve? — pyta Ariel.

— Tak, jestem w Słodkiej Kici. Yve chce, żebyś tu przyjechała.

— I przywiozła komputer — dodaje Yve.

— Nie wiem, dlaczego od tego nie zaczęłaś. Wyjadę za dziesięć minut. Ostrzegam, że jeśli chodzi o włosy, to jest to czwarty dzień bez mycia i moja fryzura składa się głównie z suchego szamponu. Nie zamierzam za to przeproszać.

Ariel jest bez wątpienia jedyna w swoim rodzaju, myślę, a głośno mówię:

— Rozumiem.

Gdy się rozłączam, Yve wyciąga do mnie naręczce wieszaków z bielizną.

— Chodźmy do przymierzalni. Nie mogę się doczekać, aż cię w tym zobaczę. Facet kompletnie straci głowę.

Idę za nią w kierunku blad różowych drzwi w tylnej części sklepu. Za nimi znajduje się uroczy buduar, gdzie siadam, czekając, aż porozwiesza to, co wybrała.

— Jeśli coś nie będzie pasowało, daj mi znać. Zawołaj, gdy będziesz gotowa.

Gdy wchodzę do przymierzalni, część myśli mam pochłonięte bielizną, a część zajmuje się tą absurdalną nazwą firmy.

Nie twój interes. Serio?

Czy to oznacza, że nieznamy jest oszustem, czy tylko że ma specyficzne poczucie humoru?

Wkładam cudowny czerwony koronkowy biustonosz, który więcej odsłania, niż zasłania. Nie znam odpowiedzi na te pytania.

Gdy przyjeżdża Ariel, jestem właśnie w trakcie zakładania z powrotem ciuchów, w których przyszłam. Wybrałam już zbroję na dzisiejszy wieczór.

— Rhett chciał przyjechać ze mną, ale powiedziałam mu, że nie kupię niczego, o ile nie będzie to niespodzianka, i wtedy ustąpił. Przysięgam, każdego faceta można rzucić na kolana odpowiednią bielizną.

Yve wita ją szybkim uściskiem.

— Jasne że tak. A teraz wyciągaj komputer i szykuj swój bystry umysł, żebyśmy mogły rozwiązać zagadkę Temperance.

Ariel unosi ramię i wskazuje na wielką torbę.

— Bez niego właściwie nie ruszam się z domu. Najpierw jednak powiedz mi, czy masz coś lawendowego. Nie wiem, dlaczego ostatnio mam obsesję na punkcie tego koloru i wydaje mi się, że to będzie strzał w dziesiątkę.

— Dam ci coś lawendowego, skoro tylko ustalisz, kim jest facet z seksklubu.

— Rozumiem. To moja marchewka. — Ariel rozgląda się dookoła.
— A gdzie są kije?

Yve puszcza oczko.

— Na zapleczu. Bierz się do roboty.

Ariel rumieni się.

— Już się robi.

Zostawia mnie samą z Yve i rozstawia sobie kącik roboczy za ladą z kasą. Gdy tylko wyciąga laptop, mam wrażenie, że przekształca się w zupełnie inną osobę.

— Sprawdziłaś, czy nie ma tu podsłuchu? Domyślam się, że Titan to zrobił, ale wolę się upewnić.

Yve unosi brew.

— Rób swoje, a ja się zajmę tym miejscem.

— Nie byłabyś taka odważna, gdybyś sama ryzykowała więzieniem federalnym za takie rzeczy.

— O mój Boże — wypalam. — Mówisz poważnie? Jeśli to prawda, to nie...

Ariel strzela palcami, uśmiechając się.

— Nic się nie martw. Nie dam się złapać.

Następnie zabiera się do pracy. Nie mija minuta, nim zaczyna wyrzucać z siebie pierwsze informacje.

— Nunya Holdings to krajowa korporacja, ale jedynym udziałowcem jest inna firma.

— Czyli to tylko wydmuszka?

Wzrusza ramionami, nie podnosząc wzroku.

— Niekoniecznie. Może to jest część jakiejś większej całości. Mam mnóstwo firm, w których udziały należą do innych firm.

To dziwne pomyśleć, że ta drobna rudowłosa kobieta jest prezeską całego konglomeratu firm.

— Wiedziałaś, że dzisiaj zostałam miliarderką? Bitcoin rządzi! — oznajmia mimochodem Ariel i wraca do klepania w klawiszze.

Yve spogląda na Ariel, a potem na mnie i śmieje się.

— Ta dziewczyna jest szalona.

Nie jestem pewna, czy powinnam się z nią zgodzić, czy nie.

W ciągu paru minut Ariel dociera do głębokiej struktury firmy i wtedy między idealnymi brwiami pojawia jej się zmarszczka.

— Są właściwie cholernie dobrzy w te klocki. Wszystko prowadzi do jednej firmy, która jest oficjalnym przedstawicielem, a ich baza danych jest zaszyfrowana, więc potrwa trochę dłużej, nim dotrę do informacji.

— Więc nie możesz...

— Nigdy tak nie mów. Po prostu muszę poszukać gdzie indziej. W miejscu, o którego istnieniu nie musisz wiedzieć.

Yve znowu krzyżuje ramiona na piersi.

— Znowu wchodzisz do dark web, tak?

Ariel unosi głowę i krzywi się.

— Cicho. Nie trzeba kusić losu, mówiąc o czymś, o czym się nie mówi.

Spoglądam raz na jedną, raz na drugą, gdy rozmawiają o „ciemnej sieci”. Do tej pory sądziłam, że to jakiś wymysł na potrzeby filmów. Najwyraźniej żyłam pod kloszem, bo to istnieje naprawdę.

— W ciemnej sieci trudniej coś wytropić. Istnieje mnóstwo złych ludzi, którzy mają olbrzymie umiejętności, co sprawia, że naprawdę trudno jest znaleźć cokolwiek, a już zwłaszcza to, czego się szuka. Ale masz szczęście, bo ja jestem lepsza niż ktokolwiek z nich.

Jej pewność siebie dodaje mi otuchy. Ariel zabiera się do pracy, a Yve szuka na wieszakach lawendowej bielizny.

— To dziwne — mamrocze hakerka.

— Co takiego? — Podchodzę bliżej, pragnąc zerknąć na ekran, za którym jest ukryta.

— Nie znajduję *niczego* o strukturze tej firmy w ciemnej sieci.

— Dlaczego to dziwne? — pytam, ponieważ autentycznie nie mam o tym wszystkim pojęcia.

— Bo zazwyczaj informacje nawet o zupełnie porządnym firmach są wystawione na sprzedaż przez kogoś, kto je ukradł. Nunya i cała jej rodzina spółek prowadzą do ślepego zaułka.

— I co to znaczy?

Ariel wreszcie podnosi głowę i spogląda mi w oczy.

— Ktoś naprawdę się napracował, albo zapłacił mnóstwo pieniędzy, żeby nic o tych firmach nie pojawiło się w ciemnej sieci. A to oznacza, że...

— Co? — Nie mogę wytrzymać z niecierpliwości.

— Komuś, kto zarządza tym wszystkim, naprawdę zależało, żeby te firmy były niewidzialne. To nie jest normalne, tak przy okazji. Większość nawet nie ma pojęcia, jak wejść do ciemnej sieci. Ci ludzie natomiast nie tylko to wiedzą, ale są prawdziwymi ekspertami.

Czuję narastający niepokój.

— Mówisz, że to przestępcy?

Wzrusza ramionami.

— Nie mam pojęcia, ale zdecydowanie twój nieznajomy zna kogoś, kto ma wiedzę i umiejętności, żeby to zrobić lub kazać zrobić.

Nadal stuka gorączkowo w klawisze, podczas gdy ja zastanawiam się, co mam począć z tą informacją.

— Poczekaj chwilę. Chyba coś znalazłam. Oho! To coś, co dzieje się teraz. Trzymajcie gacie, laski. — Jej palce fruwały nad klawiaturą.

— Co?

— Natrafiłam na płatność dokonaną przez kogoś, kto nie zachował ostrożności. To znaczy przynajmniej nie był tak ostrożny, jak ten twój facet. Bank na Mauritiusie właśnie przelał pieniądze do jednej z tych spółek-wydmuszek powiązanych z Nunya Holdings. To stało się teraz, co znaczy, że Nunya nie miało jeszcze czasu, żeby usunąć ślady.

— Gdzie, u diabła, jest Mauritius? — pyta Yve, zanim ja zdążę to zrobić.

— To wyspa niedaleko Madagaskaru. Raj podatkowy. Mnóstwo firm ma tam oficjalną siedzibę z uwagi na korzystne podatki i zachowanie prywatności. Ta płatność została dokonana teraz. Jasny gwint! Czymkolwiek zajmuje się ta firma, musi to robić naprawdę dobrze, bo właśnie otrzymała pięćset tysięcy.

— Pół miliona dolarów? Za co?

Ariel potrząsa głową.

— Nie mam jak się tego dowiedzieć, ale zazwyczaj największe pieniądze wiążą się z narkotykami, informacjami, zabójstwami na zlecenie lub handlem ludźmi.

— O rany, to wszystko brzmi naprawdę źle.

Ariel nadal klepie w klawiaturę z prędkością światła.

— Oczywiście, że źle. W innym przypadku mogliby korzystać z PayPal'a. Oho, tak! Poszło. Gdyby nie to, że akurat w tym grzebałam, nigdy bym tego nie zobaczyła. O cholera, chyba się zorientowali.

Jej palce zaczynają się poruszać jeszcze szybciej.

— Kurwa. Chyba mnie znaleźli. Muszę zmykać. Cholera, niedobrze. Yve i ja wymieniamy zatroskane spojrzenia.

— Wyłącz to!

Ari potrząsa głową.

— Nie mogę, muszę zatrzeć za sobą ślady.

Nigdy nie widziałam, żeby ktoś pracował tak szybko albo w większym skupieniu niż Ariel w czasie kolejnych kilku minut.

— A masz, dupku! — wykrzykuje triumfalnie i zdecydowanym gestem zamyka laptop.

— Co się stało? — pytam.

— Prosiłaś o pomoc... Pomogłam. A teraz zatarłam ślady i nie mogę powiązać ze mną tego, że ktoś szukał informacji na ich temat.

— Jesteś pewna?

Odrzuca włosy i przewraca oczami.

— Czyż nie mówiłam, że jestem najlepsza?

Yve chichocze.

— Gdybyś zapomniała, ona nie omieszka ci o tym przypomnieć. Przysięgam, nigdy nie poznałam nikogo, kto byłby bardziej zachwycony swoimi umiejętnościami niż Ari.

— Zasluguję na to. Naprawdę to nie są czcze przechwałki. Rzeczywiście jestem aż tak dobra. A teraz gdzie moja lawendowa bielizna? Muszę kogoś uwieść. On jeszcze nie wie, że jestem miliarderką. Mam nadzieję, że nie będzie mu to przeszkadzało.

Rozdział 30

Temperance

Gdy zajeżdżam pod klub, jestem bardziej niż kiedykolwiek pewna, że dokonałam właściwego wyboru już chociażby z jednego powodu — potrzebuję odpowiedzi.

Muszę wiedzieć, kim on, do diabła, jest i czym się zajmuje, dlaczego był w sąsiedztwie mojego domu, czy i jak jest związany z Mountem, a także co zrobił z moją rzeźbą, jeśli naprawdę to on ją kupił.

I wreszcie muszę wiedzieć, czy naprawdę powinnam zdecydować już nigdy się z nim nie spotkać, ponieważ zajmuje się czymś nielegalnym i okropnym, a ja nie zamierzam schodzić na drogę przestępczości. To znaczy nie licząc moich powiązań z szefową i jej mężem... i tym, czym zajmuje się mój brat.

Nic nie jest czarno-białe.

Mam na sobie maskę i czarną klasyczną sukienkę kupioną w Pięknej Suce, a pod nią krwistoczerwony biustonosz i majteczki. Wchodzę po schodach za mężczyzną w masce, któremu podałam wizytówkę. Oddaje mi ją natychmiast, po czym otwiera frontowe drzwi.

Dzisiaj w środku jest głośniej. Z góry dobiega gwar rozmów, jakby goście nie obawiali się, że ktoś ich usłyszy. To coś nowego i innego.

A co nie jest nowe i inne? To, że Magnolia czeka tuż za progiem i spogląda prosto na mnie.

— Zastanawiałam się, czy się dzisiaj pokażesz. On sądził, że nie. Nie muszę pytać, kim jest *on*.

— Gdzie on jest? — pytam.

Coś przemyka przez jej twarz i znika, nim zdążę to odczytać.

— Chodź ze mną na górę.

Magnolia prowadzi mnie na piętro do drzwi, spod których błyska światło i dobiegają dźwięki jazzu. Byłam w tym pomieszczeniu tylko raz, gdy mnie oprowadzała, wiem jednak, że to publiczna strefa klubu.

Gdy tylko otwiera drzwi i omiatam spojrzeniem wewnątrz, widzę, że go tam nie ma.

— Czy on się spóźnia?

Magnolia prowadzi mnie do baru.

— Potrzebujesz się napić. Wyglądasz, jakbyś miała za sobą ciężki dzień.

Kładę dłoń na jej ramieniu.

— Nie wciskaj mi kitu, Magnolio. Czy on się spóźnia, czy nie przyjdzie?

— Dlaczego sądzisz, że miałby nie przyjść?

— Potrzebuję prostej odpowiedzi. Jeśli go tu nie ma, to przyjechałam na darmo i mam odpowiedź, której szukałam: że powinnam była posłuchać swojego instynktu i nigdy tu nie wracać.

— Nie bądź taka wyrywna, dziewczyno. Może działają tu siły, których nie rozumiesz. — Gdy zerka przez ramię, przeszywam ją spojrzeniem.

— Czy on tu jest, czy nie?

Potrząsa głową.

— Nie. Nie ma go. Coś mu wypadło. Zadzwoił i prosił, żebym przekazała ci, że bardzo tego żałuje. Skontaktuje się z tobą.

Co takiego mogło mu wypaść? Czy nic mu nie jest? Czy mężczyzna z kawiarni ma z tym jakiś związek? Czy pół miliona dolarów, które ktoś mu zapłacił — co wytropiła Ariel — ma z tym coś wspólnego?

Widzę dziesiątki możliwości i nie mam pojęcia, która z nich jest prawdziwa. Żadna zaś z tych opcji nie jest dobra.

— Muszę iść — mówię Magnolii. — To był błąd.

Odwracam się na pięcie i kieruję do drzwi. Zamiast jednak wyjść z gracją, wpadam na jakiegoś mężczyznę... i nie jest to ten, którego chciałam zobaczyć. To kolejny nieznamy i nie mam ochoty bliżej go poznawać.

— Kim jest ta urocza dama, Magnolio? Gdzie ją do tej pory ukrywałeś? Bałaś się konkurencji? — pyta gładkim głosem, jednak jego pobłażliwy ton od razu działa mi na nerwy.

— Ona właśnie wychodzi — oznajmia Magnolia, stając tuż za mną.

— Nie, dopóki z nią nie porozmawiam.

— Przykro mi, sir. Naprawdę musi już iść, więc proszę, żeby pan zszedł jej z drogi.

Wyciąga do mnie dłoń, zupełnie ignorując Magnolię.

— Bardzo mi miło panią poznać, pani... — urywa, najwyraźniej oczekując, że mu się przedstawię, jednak to nie mój pierwszy raz tutaj i nie zamierzam tego robić.

— Muszę iść.

Robię kolejny krok, jednak on łapie mnie za ramię tuż nad łokciem.

— Ale noc jest jeszcze młoda, a mnie od miesięcy nie było w mieście. Kto wie, kiedy znowu będę mógł tu wrócić. Moja praca wymaga częstych wyjazdów. — Spogląda na Magnolię. — Czego bardzo żałuję.

Magnolia mruży oczy.

— Giles, puść ją.

— Przepraszam, *sir* — oznajmiam. — Nie jestem członkiem klubu. Życzę miłego wieczoru.

Naprawdę mam ochotę mu powiedzieć, że musi mieć małego wacka, skoro zachowuje się w ten sposób, ale się powstrzymuję. Może jego arogancja jest winna temu, że Magnolia wygląda, jakby gotowa była rozszarpać go żywcem, nie wiem. Może to po prostu ktoś, kto chce się zabawić tak jak ja. Ale ma w sobie coś nieprzyjemnego i po raz pierwszy czuję się tutaj zagrożona.

Dlatego właśnie Rafe mówił mi, żebym tu nie przychodziła. Powinnam była słuchać brata.

Wrywam ramię i pospiesznie wychodzę z pomieszczenia, zostawiając Magnolię, żeby załagodziła sprawę. Może to niegrzeczne, ale ja go nie znam, a ona tak.

Wtedy do mnie dociera — ona *wypowiedziała jego imię.*

Zatrzymuję się przy schodach prowadzących na dół do drzwi wyjściowych i chwytam drewnianą wypolerowaną poręcz. To tymi schodami kiedyś już uciekałam.

Teraz mam ochotę znowu to zrobić, ale zamiast tego zmuszam się, żeby iść spokojnym krokiem.

Nie powinnam się przejmować tym, że zdecydowałam się tu przyjść, a jego nie było, ani tym, że spotkałam jakiegoś dziwnego typu, a Magnolia złamała zasady klubu. Nie powinnam się przejmować tym, że nie mam jak wytropić mojego nieznajomego i uzyskać odpowiedzi na pytania, które mnie dręczą.

Nie powinnam się przejmować żadną z tych rzeczy.

Ale się przejmuję.

Rozdział 31

Temperance

Oślepiające światło słoneczne przebija się przez zasłony i budzi mnie z niespokojnego snu.

To moje urodziny.

Kogoś innego być może obudziłby telefon od rodziców, ale nie mnie. Nie w tym roku. To znaczy tak naprawdę nigdy się tak nie zdarzyło.

Rafe zawsze był dla mnie najlepszym starszym bratem, jakim potrafił, biorąc pod uwagę jego niekonwencjonalny styl życia, jednak nawet to nie mogło mi zrekompensować faktu posiadania rodziców, którzy mieli mnie gdzieś.

Odsuwam od siebie te nieprzyjemne myśli i wytaczam się z łóżka.

Tylko raz w roku zaczyna się swoją kolejną podróż wokół słońca i równie dobrze mogę zacząć z przytupem — od skopania tyłków i zdobycia informacji.

Jest niedziela, więc o ile w destylarni nie wydarzy się coś niespodziewanego, mam cały dzień dla siebie, a wieczorem czeka mnie kolacja z Rafe'em.

O ile przyjdzie. Możliwość, że się nie zjawi, sprawia, że żołądek zaciska mi się w supel, a to nie pomaga w zachowaniu optymistycznego nastawienia.

Na pewno przyjdzie.

Powtarzam to jak mantrę, kierując się do łazienki. Myję twarz i szykuję się na przywitanie dnia.

Pierwszą misją, jaką sobie wyznaczyłam na dzień urodzin, jest rozpoczęcie kolejnej rzeźby dla Valentyny. Mam wytyczne i odrobinę wolnego czasu, więc równie dobrze mogę się zabrać za realizację swoich marzeń.

Wkładam dżinsy i spraną koszulkę z wizerunkiem Bruce'a Springsteena, łapię torebkę i telefon, po czym wsuwam stopy w znoszone tenisówki stojące przy drzwiach.

Piętnaście minut później z kawą, pączkiem i muzyką Springsteena w głośnikach ruszam w stronę bagien. Czy to nie dziwne, że moja droga naprzód prowadzi objazdem przez miejsca z przeszłości? Zastanawiając się nad tym, zlizuję cukier z czubków palców.

Może to ma być katharsis. Czy coś takiego. Sama nie wiem.

Gdy zajeżdżam przed zamkniętą metalową bramę, naciskam klakson i czekam.

Ciężarówka Elijaha stoi przed przyczepą, w której mieszka, tuż za ogrodzeniem z siatki. Stoi tam jeszcze jeden samochód. Nie rozpoznaję go, ale nie trzeba być geniuszem, żeby zrozumieć, że Elijah nie usycha z tęsknoty za mną. To w jakiś sposób utwierdza mnie, że podjęłam właściwą decyzję.

Znowu naciskam klakson, odczuwając perwersyjną satysfakcję, że mogę mu przeszkodzić w szybkim porannym numerku lub obudzić. Po chwili wystawia głowę przez drzwi.

— Co, u licha, robisz tu tak wcześnie?! — wrzeszczy.

— Potrzebuję popracować. Psy są luzem?

— Tak, poczekaj chwilę. — Wychodzi z przyczepy w opadających z bioder dresowych spodniach. Wkłada dwa palce do ust i wydaje z siebie przenikliwy gwizd. Spomiędzy wraków samochodów wybiegają dwa *cane corso*.

Wbiegają po schodkach przyczepy. Elijah prowadzi je do kojca umieszczonego obok, po czym idzie w moim kierunku.

Gdy znajduje się przy bramie, mówię:

— Przepraszam, że zakłóciłam twój poranek.

Spogląda na mnie znacząco.

— Wcale nie jest ci przykro.

— A ty wcale aż tak za mną nie tęskniłeś.

Otwiera bramę.

— Najlepszym sposobem, żeby o kimś zapomnieć, jest zadać się z kimś innym.

Wjeżdżam do środka, a on zamyka bramę.

— Dziękuję, Eli. Doceniam to.

— Wszystkiego najlepszego, Tempe. Zjrzę do ciebie... później.

Zanim zdążę odpowiedzieć, z przyczepy wychyla się blondynka o wyzywającej urodzie.

— Eli, łóżko stygnie... a twoja szansa na drugą rundę dziś rano kurczy się z każdą chwilą.

Nie znam jej i to mi odpowiada.

— Lepiej wracaj.

Salutuje mi i uśmiecha się.

Z jakiegoś dziwnego powodu, gdy podjeżdżam do blaszanego budynku i parkuję, czuję się bardziej samotna niż zwykle.

Najlepsze co mogę zrobić, to przekuć to uczucie w sztukę. Co zawsze sprawiało, że czułam się lepiej.

Sześć godzin później moje ciało jest obolałe i zmęczone po demontowaniu części, noszeniu ich, waleniu młotkiem i spawaniu, jednak kolejna rzeźba jest w połowie skończona.

— Co to będzie? — pyta Elijah od drzwi.

Odwracam się i podnoszę przyłbicę kasku spawalniczego.

- Wieżowce. Panorama miasta.
- Niezłe będzie. I wielkie. Sprzedasz to tej galerii?
- Taki jest plan.
- To chyba oznacza, że będziesz potrzebowała nowych i interesujących kawałków metalu, żeby nadażyć za popytem.
- Prawdopodobnie.
- Jeśli chcesz wyłożyć trochę kasy, to mogę zamieścić ogłoszenie o skupu złomu na kilogramy. Góra sto dolców na łebka. To może ci zapewnić ciekawe rzeczy. Ludzie tutaj naprawdę potrzebują gotówki.
- Po krótkim zastanowieniu stwierdzam, że to niezły pomysł.
- Mogę na to wyłożyć tysiaka, ale na razie nie więcej.
- Dobra, ogarnę to.
- Pochyliłam się nad warsztatem.
- Dlaczego mi pomagasz? Sądziłam, że zaczniesz mi naliczać czynsz za korzystanie z tego miejsca, czy nie taki był plan?
- Wzrusza ramionami.
- Może na razie uznałem, że możliwość widywania cię jest dostateczną zapłatą.
- Gówno prawda.
- Będziesz mi musiała pomagać rozbierać samochody, gdy będę tego potrzebować.
- Wiedziałam, że jest jakiś haczyk — jęczę.
- Co? Dobrze sobie radzisz z gumówką, a czasami muszę działać szybko. Jeśli akurat się nawiniesz, to przyda mi się dodatkowa para rąk, żeby móc się z tym uporać.
- A jeśli będzie nalot? Sądzisz, że dam się na tym przyłapać?
- Znowu wzrusza ramionami.
- Nie zamierzam dać się przyłapać.
- Tak mówisz.
- I wiem, co mówię. Mam ludzi, którzy mnie uprzedzą.

MEGHAN MARCH

— Mam taką nadzieję. — Ściągam rękawice palec po placu i rzucam je na warsztat, po czym poruszam temat męczący mnie przez cały dzień.

— Rafe odzywał się do ciebie?

Elijah potrząsa głową.

— Nie. Wcale. Sądziłem, że ty i on jesteście umówieni na wieczór, jak zawsze w twoje urodziny.

Nie dziwi mnie, że Elijah wie o naszej tradycji.

— Nadal jest zaginiony w akcji. Jeśli dzisiaj się nie pojawi, to nie wiem, co zrobię.

— Serio? — prycha. — Pracujesz dla człowieka, którego wszyscy się boją, i nie wiesz, co zrobisz, jeśli twój brat się nie pojawi?

— Pracuję dla jego żony.

Elijah przewraca oczami.

— To żadna różnica. Na twoim miejscu, gdyby Rafe się nie pojawił, wezwałbym na pomoc kawalerię, bo wiesz, że to by oznaczało, że jest naprawdę źle.

— Dzięki za wskazówkę.

— Gdybyś pragnęła czegoś więcej...

Ściągam kask i odwracam się do niego plecami.

— Zachowaj to dla kogoś, u kogo będziesz miał szansę.

Rozdział 32

Temperance

Po raz pięćdziesiąty spoglądam na zegarek. Nie wiem po co, bo oczywiście to niczego nie zmieni.

Rafe nie przyszedł. Jest już godzinę spóźniony. Jego telefon przełącza się od razu na pocztę głosową za każdym razem, gdy dzwonię. Nie odpowiedział na żadną z moich wiadomości. Gula w żołądku jest chyba wielkości mojej głowy.

Kelnerka zatrzymuje się przy stoliku i po raz szósty dolewa mi wody do szklanki.

— Czy chce pani złożyć zamówienie?

— Nie, chyba odpuszczę i pójdę do domu. Proszę rachunek. — Wskazuję na pół kieliszka ciepłego szampana, który stoi przede mną.

— Och, skarbie, to na nasz koszt. Przykro mi z powodu twoich urodzin. — Spogląda na mnie ze współczuciem, gdy sięgam po torebkę.

Już czas.

Muszę zadzwonić do Keiry.

Rafe powiedział mi, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, powinnam powiadomić Mouna.

Brat od dekady nie opuścił moich urodzin bez cholernie dobrego powodu i nigdy nie zdarzyło się, żeby urwał wszelki kontakt. Mam jednak wrażenie, że poinformowanie Keiry jest jak przyznanie, że może już być za późno na wszelką pomoc.

Odblokowuję telefon i przewijam listę kontaktów. Zanim zdążę wybrać numer Keiry, to ona dzwoni do mnie.

Zaskoczona odbieram od razu.

— Halo?

— Temperance — słyszę głęboki głos Mounta, nie mojej szefowej, i to sprawia, że zaczynam trząść się ze zdenerwowania.

— Czy jest bardzo źle? Czy on żyje? — Jestem dumna z tego, że udaje mi się odezwać tonem wypranym z emocji.

— Ransom? Tak, o ile mi wiadomo, to tak.

— Dzięki Bogu — szepczę.

— Ale jeśli ludzie, których wydymałeś, dostaną go w swoje ręce, szybko pożałuje, że tak jest. I będą próbowali dopaść również ciebie.

Zamykam oczy, czując narastającą słabość.

— Co mam robić?

— Jedź do domu. Teraz. Nigdzie się nie zatrzymuj, z nikim nie rozmawiaj, wysyłam kogoś po ciebie. To nie jest najlepszy człowiek do tej roboty, ale najlepszy, jakiego mam i ufam mu bardziej niż komukolwiek innemu. Rób, co ci każe. Nie kłóć się z nim.

— Kto? Jak? Gdzie?

— Temperance? — mówi.

— Tak?

— Przestań zadawać pytania. Im mniej wiesz, tym lepiej. Będzie czekał u ciebie w domu, zabierze w bezpieczne miejsce, żeby nie można cię było wykorzystać jako przynęty, aby dopaść twojego brata. To wszystko, co możesz teraz zrobić. Jeśli cię dopadną, Ransom ma przechłapanie i oboje będziecie martwi, przy czym nie będzie to lekka ani szybka

śmierć. Nie rozmawiaj z nikim, szczególnie nie ze swoim nowym znajomym gliniarzem.

Nie wiem, dlaczego jestem zszokowana, że Mount wie o moich nowych znajomościach, ale jestem.

— Skąd wiesz...

— Naprawdę teraz cię to obchodzi?

Potrząsam głową, chociaż oczywiście nie może tego widzieć.

— Nie, masz rację, już jadę.

— Dobrze. Uważaj na siebie.

Ledwie pamiętam, jak wypadłam z restauracji. Wszystko zlewa się w jedno. Jestem na wpół nieprzytomna ze strachu przed różnymi koszmarnymi scenariuszami.

Jeśli cię dopadną, Ransom ma przechlapanie i oboje będziecie martwi.

Słowa Mounta rozbrzmiewają mi w głowie i czuję, jak dreszcz przechodzi mi wzdłuż kręgosłupa.

Niech Bóg ma w opiece nas oboje.

Rozdział 33

Nie przybiegam na niczyje wołanie. Nie jestem pieprzonym psem. Ale tym razem... zrobię wyjątek.

Czekam w milczeniu w mieszkaniu Temperance Ransom. Słyszę brzęknięcie żelaznej bramy prowadzącej na ulicę, potem skrzypienie spiralnych schodów, gdy wchodzi na górę. Kilka sekund później dźwięczą klucze i drzwi się otwierają. Gdy Temperance popycha je, wychodzę z cienia w malutkim pokoju dziennym.

Całe jej ciało sztywnieje na mój widok. Wielkie brązowe oczy otwierają się jeszcze szerzej ze zdumienia i strachu. Torebka z głuchym łupnięciem upada na podłogę.

Nie podoba mi się spanikowany wyraz jej twarzy, zwłaszcza że reaguje tak na mój widok.

— Co, u diabła, tu robisz? — pyta schrypniętym głosem i jak za każdym razem, gdy się odzywa, jest to dla mnie porównywalne z ciosem w żołądek.

Nie powinienem jej nawet tknąć wtedy za pierwszym razem w klubie... ani za drugim... ani za trzecim... ale jak, u licha, miałem się przed tym powstrzymać?

Patrzy na mnie, niemal nie mrugając; czeka, aż odpowiem.

Banalne rozmówki nie są czymś, czego uczą w mojej branży, więc mówię krótko:

— Słyszałem, że potrzebujesz pomocy.

— On wysłał *ciebie*? Dlaczego? Co, u diabła, się dzieje?

Te pytania są zasadne, ale na żadne z nich nie mogę teraz odpowiedzieć.

— Musimy jechać. Szybko.

Robię krok w jej stronę, a ona się cofa. To mnie boli, ale nie mogę jej winić za to, że nie chce mi zaufać.

Nie powinna ufać nikomu. Dzięki temu może dłużej utrzymać się przy życiu.

— Kim jesteś? — szepcze.

To jedyne pytanie, na które muszę odpowiedzieć, chociaż nie będzie chciała tego słyszeć.

— Jestem człowiekiem, który przyjął kontrakt na pół miliona za zabicie twojego brata.

Ciąg dalszy opowieści o *Temperance* w następnym tomie.

O autorce

Meghan March, autorka bestsellerów „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i „USA Today”, nigdy nie pożałowała decyzji o porzuceniu kariery prawniczej na rzecz pisania romansów. Opublikowała ponad trzydzieści powieści, które sprzedały się w milionach egzemplarzy i zostały przetłumaczone na ponad dziesięć języków, dzięki czemu mogą się nimi cieszyć miłośniczki romansów na całym świecie.

Meghan ma duszę nomadki, jednak obecnie mieszka w lasach na północno-zachodnim wybrzeżu USA wraz ze swoim prawdziwym mężczyzną alfa.

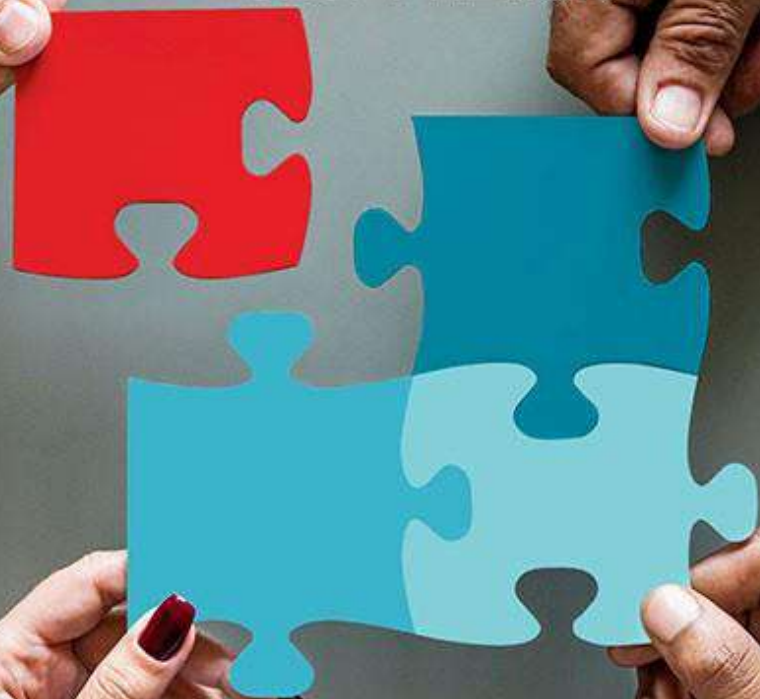
Uwielbia kontakt z Czytelniczkami.

Możesz go nawiązać za pośrednictwem strony:

www.meghanmarch.com

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion